

J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

IV.

MASŁAW.

Powieść z XI. wieku.

Tom II.

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH

Nr. 3465

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

Maurycy Orgelbrand.

Michał Glücksberg.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1877.



SN 21419



821.162.1-3

W DRUKARNI WŁ. L. ANCYCA I SPÓŁKI

M A S & A W.



~~Yra
Mas 11
8-3~~

3465



SN _____

I.

Następnych dni w dolinie się nie jeszcze nie zmieniło — nie przybywały siły nowe, te które nadciągnęły, nie ważyły się bliżej horodyszczu przystąpić; wewnątrz ciągle się pilno około obrony krzątano. Stary Belina z wałów prawie nie schodził, lub po podwórcach się przechadzał, albo do ostrokołów zaglądał, na oku ciągle mając ludzi, surowszy dla nich, niż kiedy, sam też nie spoczywając prawie. Gdy go głód znużył, szedł wołać, aby mu garnek podano, i tą samą strawą, która dla wszystkich służyła, posilał się stojąc, nawet za stół nie siadłszy.

Widok też tego starca i przykład jego, zmuszał drugich, by na małym przestawali, szemrać nikt nie śmiał.

Okopy od strony rzeczki i moczarów stały już

podsypane, nowym opatrzone ostrokołem, kłody i kamienie na pomostach leżały gotowe ku obronie, a od czasu ucieczki jednego z pospólstwa, nad ludem w podwórzu czujność była wielka dniem i nocą.

Tymczasem gromady zebrane w dolinie leżały bezczynne, jakby tylko grozić i niepokoić chciały, do niczego się nie biorąc. Kilka szubieniec postawili dla zabawki przeciw okopom, krzyząc i pokazując na gródek — to dla was! Na tém się cała ich robota skończyła. — Chodzili, śpiewali, jedli i pili — nocą palili ognie, dniem się puszczały na łowy.

Wszedorowi nie udało się namówić nikogo do wyjścia przebojem, sam on z bratem ani się mógł, ni chciał ważyć. — Spytkowa, której ten sposób ocalenia przekładał, brakło odwagi, słuchać o tém nawet nie chciała. -- Drudzy się odwracali, gdy mówić począł, ramionami ruszając, w Doliwie téż krew do czasu ostygła, choć uparcie myśli się swój trzymał i powtarzał, że siedzieć na ol-szowém horodyszczu, było to pewnej śmierci czekać.

Znano Doliwów z tego, że ciągle potrzebowali coś nowego przedsiębrać, dawano im więc wygadać się z jednem, pokiby co innego nie wymyślili.

Całą zabawką tych, co stali w dolinie i tych, co na ostrokołach czuwali, było codziennie wza-

jemne ujadanie i łajanie. Przychodziła gromadka, stawała w boki się wzięwszy i wyzywała do téj utarczki, w której sobie przezwisk i obelg nie żałowano.— Pluto na siebie i pięści pokazywano, szubienicami grożono, na których już dwa psy wisiały, czasem kto niecierpliwszy puścił kamień lub strzałę, i noc dawała spoczynek.

Doliwom to życie w zamknięciu, jednostajne, przykryło się codzien bardziej. W kilka dni zaczęli namawiać do wycieczki, ofiarując się prowadzić, ale i na to nie było zgody. Minęło już tak dni z dziesięć, a że się po kilka razy na dzień ścierali, u komina siedząc w wielkiej izbie, to z jednym, to z drugim, w końcu się ze wszystkimi niemal poróżniwszy, osamotnieni chodzili i posepni. — Spory to były niestraszne, nazajutrz zapomniano o nich, rozpoczynano rozmowę na nowo, która się jak pierwsza, kłótnią kończyła. Gdy wieczór nadszedł, z nim chłód i ciemność, przywlekali się oba do cieplejszej izby, siadali pospołu z drugimi, słuchali milcząc zrazu, potem się któremu co gorzkiego wyrwało, ząb za ząb zaczęto się kłócić i swarzyć i — tak wieczór przechodził.

Raz tedy, pono jedenastego dnia, nie zważając na to, że stary Belina wszedłszy po cichu, stał z tyłu, Wszebor, gdy poczęto narzekać a boleć, że się tak obleżenie ciągnęło, a nie było mu widać końca, odezwał się kwaśno:

— Co za dziw! Siedzimy w dziurze jak trusie! Chłopy sobie z nas drwią, nie mają nas za nic.— Ba — i prawda! Dawnośmy byli powinni im pokazać, że jaką taką siłę mamy, a przecie się ich tak nie bojemy, żebyśmy nosa za drzwi wytknąć nie śmieli!

— A jak im nosa pokażesz, to ci go obetrą— rzekł Lasota.

— E! no! — krzyknął Wszebor — żebyś tylko dziesięciu ochotników miał z takim sercem, jakie w sobie czuję, nauczyłbym ja tę zgraję! Na ich szubienicach, obok psów, oni by mi wisieli!

Kaniowa, który po łosiowém stratowaniu znacznie się już był wylizał i do siebie przyszedł — zawołał:

— Na zadatek dziesięciu — ja z wami!

— I ja! — I ja! — zaczęli wołać drudzy — a cóż?

— Ale — rozśmiał się Wszebor, który do Beliny starego żab miał — wszystko to daremna ochota, bo nasz wódz a kneź nie pozwoli, woli żebyśmy tu pognili...

Wtém z tyłu go ktoś ogromną dłonią po ramieniu uderzył, a razem głos się rozległ po izbie.

— A no! Szczęść Boże! ja pozwalam! krwi szkoda, ale krew nie woda! kiedy się miłości waszój tak zażądało koniecznie — Idźcie!!

Odwrócił się Wszebor, trochę zmieszany, poznawszy po głosie Belinę, który stał za nim.

— Gorącą krew macie — dokończył stary — nabiją wam guzów, to ostygnie... Idźcie, kiedy chcecie, a rozumnie.

— Pójdziemy! — zawołał, porywając się z ziemi Doliwa — jak Bóg miły, ja słowa dotrzymam! Nie mówiłem na wiatr, com rzekł, tom uczynić gotów, byle ci, co się ze mną ofiarowali, dotrzymali téż, a poszli ze mną.

Wszyscy ci, co się wprzód odezwali, poczęli wołać:

— Idziemy! idziemy! kiedy wola?

— Kiedy? — odparł śmiejąc się gorący Wszebor — a po co mamy odkładać? noc ciemna jak należy, z wierzehu nie ciecze, czerń się już pokładła spać przy ogniskach — Jakby to dziś gorzej było niż jutro? — Chodźmy!

Belina z tyłu stojąc, patrzył i słuchał.

— Abyście nie myśleli, że Belinom serca brankie — zamruczał odwracając się — Tomko téż będzie z wami. — Ode drzwi głos się rażny, ochoczy dał słyszeć.

— Gotowym!

Wszeborowi aż krew zakipiła, rzucił się do drzwi, drudzy za nim, do szop, po konie. Ten i ów chwycił z kofka kaftan łuskami naszywany i szłyk nabijany żelazem. Poczęli pospiesznie przypasywać mieczyki, oszczepów szukać, radzić się czy tarcze brać, czy zaniechać, topory porzucić czy zabierać, bo już onego czasu topór coraz

z użycia wychodzić poczynął. — Każdemu wolno było ubrać się i uzbroić jak zechce; czynił też każdy po swój myśli, kto więcej ufał mieczowi i miecz przypasywał; komu zręczniejszemu było z siekierą i młotem, ten ją brał do boku.

Po dworcu rozeszła się błyskawicą wieść o wyścieczce, ktoś ją zaniósł na wyżki, gdzie jeszcze dziewczęta z kądziółkami u ognia siedziały, tu się wszczął lament srogi i narzekania.

Belinowa nie bardzo syna puszczać chciała, lecz gdy mąż przykazał, wstrzymywać nie mogła. Zapłakała tylko po cichu nieboga i poszła łyż otrzeć do kąta. — Zdana zobaczywszy matkę we łzach, rozplakała się też, bo jej o brata tylko chodziło, a może choć się nie przyznawała i o Mszczuja.

Mszczuj Doliwa wpadł był w oko ładnemu dziewczęciu. Stało się to tak jakoś niespodzianie, przypadkiem. Zbliżył się do niej pochlebiając sobie, że przez nią do Kasi trafi. Zdana nań popatrzała, rozśmiała się; zagadała, zawiązała się dobra znajomość i już teraz spoglądali na siebie tak, jakby się z niej co innego urodzić miało.

Co miał Mszczuj biedny robić? Kasia nań patrzeć nie chciała, a ta się ani wzroku, ani rozmowy, ani śmieszków z nim nie wzdrygała. — Trudno znowu próżnować, zwłaszcza w obłączonym grodzie.

Rozplakała się i wystraszyła Kasia Spytkówna, tak że o mało z tajemnicą nie wydała się przed

matką. Wybiegła nawet na pomost ze Zdaną, aby uzbrojonego Tomka zobaczyć. Zapomniała się nieboga i nierychło dopięro, ochłonawszy, do izby powróciła, cichaczem skradając się pod ścianami. Szczyściem, że Spytkowa, opowiadaniem o sobie mocno zajęta, nie postrzegła, co się z córką działo.

Na wyprawę niespodzianą, znalazło się z obu Doliwami, dwunastu ochotników, chłop w chłopa, młodzież sama, gorąca, krzepka, silna, uzbrojona mocno, gotowa choć na tysiące, lekceważąca zgraję, przeciw której ciągnęła jak na łowy...

Szli ze śmiechami i weselem w sercach.

U wrót była już wszelka gotowość, aby cicho spuściwszy zapory, odemknąć je i czaty sprawiać, gdyby ścigani wracać mieli. Sobek, który nigdy pono nie sypiał, przyszedł z radą skuteczną.

Konie od gromady, na noc spędzane były pod stóg nawiezonego siana, który stał od ognisk w dali. Bartnik ofiarował się podpaść do stada i z cicha je dalej odegnać, ażeby do pogoni pod ręką ich nie mieli. — Wydawało się to trudnym i niebezpiecznym, ale Sobek był już wypróbowany, że się nigdy nie ważył na to, czego dokazać nie mógł. Puszczono go więc przodem, wysłiznął się jak mysz, i zaczekano, ażby stojący na czatach dał znać, że konie się od stogu ruszyły.

Oczekiwanie to niecierpliwój młodzieży trochę się długiem wydało; już narzekano na bartnika, gdy w końcu tentent biegnących koni słyszeć się

dał na horodyszczu, wrota po cichu otworzono, po jednym wysuwać się zaczęli ochotnicy, a spuściwszy z kopca i ścisnąwszy w gromadę, z krzykiem puścili się ewalem wprost na dogasające już ogniska.

Czat nawet około nich nie było, tak się czerń ubezpieczyła. Większa część jej już spała, gdy Wszebor, który na przedzie stanął i prowadził, jak piorun spadł na obozowisko. Popłoch się stał niezmierny, począwszy od tego miejsca gdzie leżących zabijać poczęto, aż do dalszych i najdalszych ognisk...

Przebudzeni porywali się nieprzytomni, nie wiedząc, co się działo, a liczniejszego niż był, domyślając się nieprzyjaciela.

Otoczeni ciemnościami, słysząc krzyki i jęki, ogarnięci strachem, poczęli się rozbiegać: jedni ku lasowi, drudzy ku rzeczce i błotom, inni sami niewiedząc w którą stronę uchościć i w ręce ochotników się dostając.

Wszebór i Mszczuj na koniach siedząc, bili, siekli i tratowali co napadli, toporami wywijając wściekle; inni też im dopomagali dzielnie, a choć szczęście służyło — bo się ona zgraja prawie broń zapomniała — opamiętali się wkrótce do powrotu; kilku postronki zarzuciwszy na szyję, Wszebor, Mszczuj, Toporezyk, Tomko, zawołali na swoich. Nim się opamiętali popłoszeni, ochotnicy już biegli nazad ku horodyszczu, i mieli czas

na przygotowanych szubienicach, pochwyconych powiesić.

Stało się to tak szybko, niespodzianie, szczęśliwie, że gdy nazad do wrót przypadli, ledwie oczom wierzyć chciano, widząc ich z powrotem.

Okrwawione topory, miecze i ręce świadczyły, że się nie darmo chełpili. — Tłum ich nawet nie ścigał po nocy, gdyż znaczna jego część w pierwszej chwili się rozpierchła, i nie prędko wrócić ośmieliła. Nim znowu ognie porozpalali, rozpatrzyli się, obliczyli, Doliwów już nie było.

Wszebor wracał jako zwycięzca, wesół, szczęśliwy, dumny. — Witano go, przyklaskując mu, tylko Belina syna uściskawszy, rzekł stłumionym głosem:

— Nie mogłem wam wzbronić. — Daj Boże tylko, byśmy krótkiej radości nie opłacili drogo!

Do rana nic nowego nie zaszło, w obozie ruch, krzyk, wrzawa panowały do świtu. Jak na brzask przyszli ludzie trupy z szubienic pozdejmować, aby ich wstydu nie widział dzień jasny.

Zrana jak byli zwykli, ogni nie rozłożyli, krzatali się tu i owdzie, miotając, kłóćąc, a kilku konnych pobiegło w lasy.

Dzień tak cały, minął na pozór spokojnie — wyprawa do rozmów i opowiadań dostarczała obfitego wątku. Na dole w wielkiej izbie, na wyżkach u kądzieli, o tém tylko rozprawiano.

Zdana się chlubiła bratem, a mówiąc o nim,

niewiedzieć jak wtrąciła czasem słówko o Mszczuju. Czerwieniła się potem sama, oglądając trwożliwie czy ją kto nie podpatrzył i nie odgadł — i serce jój biło.

Na starym Belinie nadzwyczajnej radości z odniesionego zwycięstwa wcale widać nie było, troska jak zawsze orała mu czoło, chodził po kątach, pilność nakazywał i mruczał.

Może przeczuwał, że między pospółstwem, które na widok jego pokorną przybierało postawę, coś się knuło i gotowało. Sobek podsłuchawszy rozmowę, nie spieszył z doniesieniem o niej gospodarzowi. Ucieczka jednego z tych ludzi, zaniepokoiła go, i wziął się do podsłuchów gorąco. — Widział już oddawna niedobre znaki, wejżenia kose, narady pokątne, szemranie, opór bierny, nieposłuszeństwo czasem, niekiedy jakiś wybuch rozpaczliwy, zaraz strachem stłumiony.

Nikogo się tak nie lękano, jak starego Beliny, był nieubłagany dla nieposłusznych, karał srogo, nie przebaczył nigdy. Serce miał miłosierne może, ale bez grozy się tu obejść nie umiał. Gdy nalażawszy starszyźnie, odgrażając się zuchwale, zbiegł jeden, na wszystkich padło podejrzenie; ostrzeg się wzięto do pierwszego podwórca, to zwiększyło rozdrażnienie. Sobek nie mówiąc jeszcze, chodził a podglądał. . . Chciało mu się bardzo znaleźć tych dwóch wodzów, których nazwiska zapamiętał. Próżne zrazu było staranie, imiona musiały

być przezwiskami, dopytać się ich nie mógł nigdzie. — Stary barnik, choć sam wyszedł z tego ludu, dawno już życiem i sercem zupełnie do ziemian przystał, od dziecka im służąc i będąc z nimi. Sprawa ich była jego sprawą.

Niespokojnie wziął się do tropienia dowódców.

Nie łatwa to rzecz była; dworskim nie dowierzało pospólstwo, unikało ich, a gdy się który pokazał, milkli wszyscy spoglądając po sobie, lub zaczęli gwarzyć o rzeczach obojętnych. Stary próżno się tu włóczył długo, udając pół głuchego, pół głuptaszka. — Gdzie się pokazał wierny służka, usta się zamykały, oczyma śledzono każdy krok jego.

Z twarzy posępnych, wejrzeń groźnych, domyślał się, że nie się tam dobrego nie gotowało. Belina też przeczuwać coś musiał, bo tu zaglądał często i do najmniejszego dotarł kąta...

Gdy Wszebor z ochotnikami nocą wybierał się uczynić wycieczkę, choć to była godzina, gdy zwykle w podworeach wszystko usypiało, między ludem powstał ruch, zakipiało po cichu, wszyscy powstawali rzucając się ku wałom, i gorączkowo przyglądali się, jak się śmiałkom powiedzie.

Sobek skorzystał z tego i z za węgła ukryty, podслуchał przekleństwa, groźby, narzekania, gdy na szubienicy trupy się pokazały. Lud ten w oblegających czuł braci, im życzył lepiej, a na zamku oprócz jednego jawnego nieprzyjaciela, drugiego

zaczajonego pod bokiem trzeba było strzedz się i pilnować. — Czerń ta czekała tylko chwili dogodnej, aby się rzucić na ziemian i wydać ich w ręce zgrai, a Sobek chwycił pewne znaki, iż między pospólstwem na horodyszczu a oblegającymi, było już porozumienie. Parę razy nocą spłoszył rozmawiających z za ostrokołów, do których podkradali się na wały jacyś ludzie. — Z każdym dniem rosło zuchwalstwo i jakby niecierpliwosć.

Bartnik straszyć nie chciał, ale szukał zręczności, by się sam na sam rozmówić z Beliną. Trudno mu go było pochwycić na uboczu i wstrzymać nie zwracając podejrzania.

Nazajutrz po wycieczce Wszebora, Belina był niespokojniejszy niż zwykle, wysunął się na wał od strony rzeczki i stanął tam zadumany, gdy Sobek zdala go najrzawszy, przybiegł do stóp mu kłaniając. — Belina skinął tylko głową, jakby na rozmowę czasu i woli brakło. — Już miał odchodzić, gdy Bartnik nieznacznie go za połę powstrzymał.

— Miłościwy panie! czasem i małego robaka posłuchać nie wadzi.

— A, co tam? — spytał Belina.

— Tam — wskazując ręką w podwórze — tam, szepnął Sobek — jest źle.

Stary popatrzał, czekając objaśnienia.

— Tam, bardzo gwarzą i mruczą — mówił Sobek. — Zwąchali się bodaj z temi, co za wałami

stoją... W zły godzinie, Bóg niech uchowa, mogą się porwać... Oka trzeba, miłościwy panie, oka trzeba.

Belina pomruczał coś tak niewyraźnego, iż Sobek wcale nie dosłyszał, ręką zamachnął.

— Miłościwy panie, to dla was nie nowina pewnie — dodał bartnik.

— Nie nowina — krotko rzekł gospodarz. — Patrzcie i słuchajcie — dobry z was człek. — Patrzcie, oczów nigdy nadto.

Uklonił się bartnik, trochę uspokojony; oba do rozmowy skłonni nie byli, kilka słów starczyło do porozumienia. — Złe znaki mnożyły się co dnia, bartnik chodził niespokojny. — Co zajrzał Belinie w oczy, to się na czas uspokoił, a wkrótce potem coś znowu poruszało.

Złe znaki mnożyły się co dnia.

Sobek jak w lesie i kniei, tak między ludźmi umiał rozpoznawać, któredy iść trzeba było i gdzie zwierza szukać, ale tu mu zacierano tropy i uchodzono zawczasu. Chytróści zażyć musiał.

Szopa, w której stały konie, jednemi wrotami ku podwórceu wychodziła, na którym lud leżał pokotem i całe dnie spędzał stękając i gwarząc.

Sobek tu sobie obrał na pniaku siedzenie, tak, że wrota na pół otwarte go zasłaniały. — Kręcił przewiąsła ze słomy, wiązał maty, dłubał coś nożem z drzewa, po całych dniach udawał tak zajętego robotą jakąś, że nawet nie podniósł oczu.



Patrzeć jednak umiał, choć się zdało, że nie widział.

Trzeba mu było, wśród tego snującego się próżniaczo przed oczyma tłumu, dopatrzeć wodzów tajemnych. — Czuć ich było a nie widać. Drugiego czy trzeciego dnia, najrzał Sobek barczy-stego, bladego, z czarnym długim włosiem spadającym na barki chłopca, który ręce trzymając za pasem, z czapką na oczy nasuniętą, włóczył się sobie, nie mówiąc do nikogo, ale na jakiś znak dany przez niego, jedni ustępowali, drudzy się podnosili, inni szli i rozbiegali się po kątach... Jak Belina po zamku, on nieustannie po podwórzu się włóczył, mało kiedy przysiadł, rzadko usta otworzył, a na skinienie jego posłusznie ruszało się co żyło... Dostrzegł raz Sobek, jak ruchem ręki kazał strawę, którą głodny zajadał cheiwie, oddać niewieście, co dziecko karmiła, a pokarmu jój w piersi brakło. — Biedak, który pożerał głodny, tylko co rozdaną zacierkę, ścisnął drewnianą miskę w rękach, zaiskrzyły mu się oczy — lecz nietknawszy jój, odniósł i postawił przed głodną. Stało się to, choć słowa nie rzekł do niego — oczyma dał znak tylko. — Gdy się dwu z sobą zwaśniło, szli o sąd nie do sotników postanowionych przez Belinę, a wprost do mileżącego chłopca, który coś pomruczawszy, spór rozstrzygał.

Spytał Sobek od niechcienia, jak się on zwał — nie mu nie powiedziano, dopiero dzieciak, któ-

tego kawałkiem mięsa ściągnął, nazwał go Miskiem — Wiechanem. Jednego już mając na oku, drugiego starczyńę spodziewał się odgadnąć, podpatrując, z kim najwięcej przestawał. Na to nocy było potrzeba. Bartnik miał w naturze, iż musiał się podkradać i śledzić, jeśli nie zwierza, to człowieka. Doszedł zaraz kędy się na nocleg kładł Misko Wiechan. Pewien był, że rady nocą się odbywać musiały. — Nie opodał od tego miejsca wśliznął się między leżących, uśpionego udając. Nadzieja go nie zawiodła. Późno w noc przypętnął drugi, układł się u boku Wiechana i szeptali z sobą długo. — Nic słyhać nie było, twarzy dostrzedz nie mógł, bo noc jak przepaść była ciemna — lecz gdy nad rankiem się rozchodzili, poznał w nim Sobek czleka, którego po dniu często widywał. Stawał on u ostrokołów jak na czatach, i gdzieś patrzył na lasy...

Był to ów Rzepiec, o którym ludzie wspominali, a oni dwaj przewodzili pospólstwu na grodzie zamkniętemu. Sobek już ich odtąd z oczów nie tracił. — Do Wiechana chodzącego ciągle, nie otwierającego ust, przybliżyć mu się było trudno; do Rzepca stojącego nazajutrz zaraz się przysunął.

Popatrzali sobie w oczy, ale jeden nie zagadał do drugiego. Rzepiec rad się go zbyć, zaraz wzrok odwrócił. Nie pomogło to. Sobek uparcie stał, na lasy też patrzył i stękał. — Tak niemal pół dnia bok w bok, stali, nie rzekłszy do siebie nic.

Rzepiec był człek mały, czerwonego zarostu plamistéj twarzy, oczu bladych, nie młody, straszny jakiś, jak węże pstre, co najgorszy jad mają. Gdy mu się na złość zbierało, jak dziki zwierz językiem po wargach wodził, niby się na pastwę oblizując. Znudzilo go widać sąsiedztwo.

— Zkąd ty? — zapytał Sobka.

Nie nie mówiąc, bartnik w stronę lasów pokazał ręką.

— Co za jeden?

— Bartnik.

— Pański? dworak?

— Jaki pański? — począł Sobek — u mnie panem las był.

Umyślnie więcej nie mówił, żeby się z chęcią wybadania nie wydać. — Znowu stękali i patrzali na lasy, aż nierychło ozwał się Sobek do Rzepca.

— Słyszysz? he! długo to tego będzie?

Rudy ramionami ruszył.

— Za co my tu głodem mrzemy?

— Za co? jaki ciekawy — odparł Rzepiec — bośmy głupi.

Zamilkł odwracając się i oba milczeli znowu. Dnia pierwszego na tém się skończyło — znajomość była zawarta. Nazajutrz stanął Sobek u ostrokołu znowu, zobaczywszy go Rzepiec, jakby plugawę zwierzę napotkał, popatrzał groźnie, plunął i odsunął się precz. Nie zagadał już ni słowa.

Dnia tego właśnie stało się, co Belina prze-
czuwał i czego się lękał.

Przed wieczorem do izby, w której wszyscy
u ognia siedzieli, wbiegł wyrostek, co za starym
Beliną miecz jego naszał i krzyknął:

— Idą! idą!

Porwali się wszyscy, a nim mieli czas wystra-
szonego zapytać, kto i co — już go nie było. —
Chłopak obiegał tak wystraszony wszystkie izby.
Ziemiańskie porwawszy się z ław, jak kto stał, na
wały pobiegli.

Wieczór był późnej jesieni mroźny już a po-
godny. Za lasami w łunie pomarańczowej a szkar-
łatnej zachodziło słońce; niebo zielonawe od dołu,
u góry czystym roztaczało się bladym lazurem.
Cicho stały puszcze czarne i brunatne w dali...

Z wałów widok na dolinę, dla obleżonych był
przeróżający. Nim nań oczyma rzucili, usłyszeli
zapowiedź jego, w powietrzu gwar jakby okrzy-
ków i pieśni, głuchy tentent koni i rżenie.

Z lasów wyciągały gromady tłumnie, jedna
za drugą, każda z nich ujrawszy horodyszcze,
przyszłą zdobycz witała okrzykiem strasznym,
który się nagle ze wszystkich piersi wyrывał,
a w horodyszczu we wszystkich piersiach odbijał.

Szli tak jedni pieszo, drudzy konno, niektóre
kupy niosąc na żerdziach znaki, pędząc z sobą
pobrane gdzieś po drodze trzody i konie.

Gromadka, która na te posiłki czekała w do-

linie, witała je, czapki wyrzucając do góry, podnosząc ręce, wyjąc niemal z radości.

Ze wszech stron sypało się to mrowie, zalewało dolinę całą, rozkładało się na nią, a gdy poprzednio w dali tylko nad rzeczulką stali, teraz się sunęli śmiało, niemal pod okopy same. Ryki i wrzaski tój zgrai tysięcznej, coraz wzrastające, śmielsze, szaleńsze, echem jakby szyderskiem odbijały się w lesie...

Wrzawą tą przerażającą, jak iskrą w suche drzewo wrzuconą, rozbudzone rycerstwo na horodyszczu, wysypało się wszystkie na pomosty i wały. Z drugiej strony sunęło się pospólstwo, ze złe tajoną na twarzach radością. — Wiechan i Rzepiec stali na przedzie, u ostrokołów, wychyleni na wpeł, oczyma śmiejącemi się spoglądając to na swoich, to na garstkę zamkową.

Dolina, gdzie tylko suchą nogą stąpić było można, wypełniła się ludem całą, z lasów tłumy płynęły ciągle jeszcze, coraz gęstszą ścianą opasując olszowe horodyszcze.

Wpółśród zbitęj gąszczy, gdzieniegdzie rozeznać było można dowódców na koniach, którzy gromadom swym miejsca na obozowiska wyznaczali i zatykali. Było ich kilkunastu.

Znaczniejszy oddział jeden natychmiast się pociął ku wałom posuwać, stanął na strzał i zdawał naradzać. Za ostrokołami też widać było wszystko co żyło, przypatrujące się w milczeniu.

Wołano już tu, że sam Masław nadciągnąć musiał, ale Wszebor, który oczy miał dobre, wyszedłszy napróżno go szukał i zaręczał że jeszcze pastuszego syna nie było. Prusaków też i pomorców, których po pasach i odzieży łatwo rozpoznawano, nie widział jeszcze. Ten to sam był tłum i czerń, co inne grody i dwory zniszczyła; lud pogański z lasów wybiegły, co wywracał krzyże i kościoły.

Stary Belina z innemi wyszedł też na waly, popatrzał długo na wsze strony, stojącemu Wszeborowi pokazał ręką i głową skinął, jakby mówił: *Sciagnęliście ich sami.*

Stali tak wszyscy wpatrzeni w niemém osłupieniu, gdy szmer się wszezał, ludzie zwolna rozstępować zaczęli i przyklękiwać. Z głębi dworca szedł Ojciec Gedeon w białej komży, w sztytej kapie, niosąc kielich w rękę... Chłopak przed nim niósł wielki krzyż drewniany. Ksiądz modląc się, wolnym krokiem postępował za nim, zatopiony w sobie, z głową spuszczoną, z powieki przymkniętymi. — Szli tak ku wrotom, po stopniach na pomost za ostrokołem wyniesiony.

Sztyki i czapki pozdejmowali wszyscy, niektórzy padli na kolana.

Ojciec Gedeon na pomoście stanawszy, ręce podniósł do góry z kielichem i hostją poświęconą, oczy ku niebu zwrócił, modlił się coraz głośniej

i na cztery strony świata zwolna żegnać począł, jakby tą potęgą złego ducha od grodu odganiał.

Białą tę postać wyniesioną wysoko i czarny krzyż, musieli postrzedz ci, co bliżej wałów się posunęli, widzieli ręce podniesione i ruchy ich, poznali że duchowny to był, który w imię Boga chrześcian — jak oni zwali — czary czynił.

Czarów tych i cudów obawiali się poganie.

Przodowników, na widok ten, strach ogarnął mimowolny, poczęli cofać swe konie i w tył się zawracać, a choć pierzchnąć im wstyd było — na miejscu ustać nie mogli. Jakby przed znamieniem krzyża cofać się byli zmuszeni, poczęli zjeżdżać niżej i wkrótce zniknęli w tłum się wmięszawszy.

Słońce już było zaszło, cień lasów okrywał dolinę, ostatnie promienie na podniesionym kopcu jeszcze tylko, blado go ozlaczając, świeciły. Mrok okrywał wijące się u podnóża jego gromady. — Część ich zaraz do lasu po łom i gałęzie poszła, słychać było siekiery, potem zabłysły po jednym rozpalające się ogniska mnogie. Dymy ich przyciśnięte wilgotnym powietrzem wieczornym, gęste, gryzące, rozwlokły się ponad rzeczka i łąką całą, otoczyły gródek, legły jak zasłona na tym obrazie groźnym, kryjąc go oczom obłązonych. — W dali już mało co rozróżnić było można, czerwone tylko płomyki ognisk migwały gdzie-nie-gdzie i czarne przesuwające się przed niemi postacie.

Z wałów nie schodził nikt, bo nie mógł oczów oderwać od téj groźby dnia jutrzejszego, walki nierównéj. — Gwar, śpiewy, wrzawa, jakby urągowisko dolatywały do zamku.

W izbie niewieściéj kądziele stały pod ścianami, wszystkie dziewczęta i starsze niewiasty klęczały ze złożonemi rękami, modląc się i zalewając łzami. — U ołtarza na górze, klęczał przed kielichem okrytym Ojciec Gedeon, niekiedy twarzą rzucając się na ziemię, to ręce wznosząc ku niebu, to składając je w pokorze.

Klęczącego tu zastała noc, z oczami załamionými, a gdy powstał nareszcie, oschły były już łzy i oblicze się rozjaśniło, jakby widzeniem lepszej przyszłości.

Starzec złamany wiekiem, czuł, że był tu powołany jako rycerz Chrystusowy do trudu, nie pozostał więc sam z sobą, ruszył natychmiast ze słowem pociechy, zagrzewać serca i rozbudzać męztwo.

Zaledwie obróciwszy się, na pierwszym kroku, spotkał starego Belinę.

— Ojcie — odezwał się, schylając do pocałowania ręki jego gospodarz — pobłogosław mi, pobłogosław nam wszystkim, jakobys na śmierć idącym błogosławił. Będziemy walczyli, póki sił i żywota stanie, aż pokonamy nieprzyjaciela...

Przed sobą go mamy, u siebie go mamy!

— Męztwa! — zawołał Ojciec Gedeon. — Nie

traćcie ducha — Bóg was nie opuści — Cuda się dzieją! Wojna to nie przeciw wam, lecz przeciw krzyżowi świętemu. — Modliłem się, nie wiem jaką sprawą, wstałem pokrzepiony, uspokojony, że nas ręka Wszechmocnego nie opuści.

Belina rękę podniósł do góry.

O kilka kroków stał za nim, kręcąc coś w palcach Sobek.

— Miłościwy panie — szepnął — słowo.

Zwrócił się ku niemu gospodarz.

— Dwóch ludzi zamknąć trzeba, ażeby nie-szczęścia nie było...

Cicho coś szepejąc, odeszli razem.

Belina skinął po drodze na zbrojnych ludzi, aby szli za nim. — Przeszli tak w pierwsze podwórze.

U ostrokołu Wiechan i Rzepiec stojąc, szeptali coś i patrzali na gromady. Sobek na nich ukazał. Gdy zbrojnych w tłumie spostrzeżono, szmer się wszczął, obudzeni ruszyli się dwaj starsi niespokojnie. Tknęło ich może, iż po nich wysłano. Wiechan rzucił się chcąc ostrokół przeskoczyć, Rzepiec puścił uciekać, schwycono obu... Powstał krzyk i szamotanie się, ścisnął się lud do koła, wrząc, miotając się, cisnąc, ogarniając ludzi zbrojnych i Belinę.

Bliżsi zaczęli się upominać o swoich zuchwale, za suknie targając starego; pięści podnosiły się

groźnie, wrzawa rosła. Belina od wyrostka miecz tylko wziął, nikomu nie odpowiadając słowa.

— Do jamy z niemi! — zawołał.

Bez sądu i winy nie się im nie stanie — jeśli się jedna ręka w obronie podniesie, głowy ich spadną.

Głuchém warczeniem całe podwórze się odezwało i uciekło nagle. — Rzepiec i Wiechan dziękami oczyma wodzili do koła, gdy zbrojni już ręce im w tył powiązawszy, prowadzili do jamy. Tłum pozbawiony starszyny, nie wiedząc co porządzić, stał wryty.

— Do jamy! — powtórzył Belina — i sam za prowadzącymi kroczyć zaczął z mieczem obnażonym.

Nie uszło to oczów rycerstwa, ziemiana i załogi, w niektórych obudziło trwogę, dłonie szukać mieczów poczęły, jakby już przyjsię miało do starcia.

Gromada, która z początku sunęła się za więźniami — cofnęła się i na podwórceu legła, zawodząc żałośnie.

Padaly na ziemię kobiety, mężczyźni w kupę pozbierani, szemrać i radzić poczęli po cichu. — Sotnicy szli, nakazując milezenie.

Noc już była gdy za Wiechanem i Rzepcem drzwi więzienia zapadły. — Postawiono przy nich straż zbrojną, Na wałach podwojono czaty; rycerstwo z pomostów zwołna ku izbie wracać za-

częło, aby do jutrzejszój walki się sposobić. — Cisza panowała na grodzie, przerywana chodem straży i brzękiem mieczów — niekiedy płaczliwy głos dziecka doleciał z podwórca.

W izbie u ognia rozprawiać już o czém nie było, ni się czego domyślać, rzeczywistość gróżna, straszna, stała naga przed oczyma.

Lasota, któremu ręce słabe nie służyły już do łuku i oręza po ostatniej walce, począł spokojnie ogień na kominie przykładać i poprawiać, drudzy krzatali się zawczasu około mieczów i zbroi. Wszyscy niemal, jakby się zmówili, sięgnęli po oselki do ostrzenia i rozpoczęli robotę; drudzy wzięli się cięciw u łuków próbować i strzał ostrza na palcach. — W izbie ruch i życie wielkie się wzięło — każdy, usiadłszy gdzie mógł, toczył, czyścił, sposobił oręż, opatrywał pancierz i naprawiał.

Wśród tego milczenia nagle Wszebor się odezwał.

— Widzę, że stary chce na nas złożyć winę, żeśmy naszą wycieczką tłumy te ściągnęli. Wskazał mi to nie mówiąc, alem zrozumiał. Jako żywo? Przecież gdym był w Płocku u Masława, już się na Olszowe Horodyszczce zprawiano, a ja z tą wiadomością spieszyłem z powrotem.

— Prędzój, później byłoby do tego przyszło, dodał z kąta Toporezyk. — Ja Panu Bogu dziękuję za to, iż mi dał czas trochę sił odzyskać,

nie będę przynajmniej siedział w kącie z założonymi rękami.

To samo prawie powtarzał Kaniowa, który choć jeszcze guzy miał i sińce, już się ochoczo poruszał.

Do późna tak przy łuczywach trwały przygotowania, przerywane czasem kilką słowy rzuconymi za wiatrem; na całym grodzie, oprócz niewiast, nikt prawie nie zmrużył oka. Belina nie przysiadł nawet. — Lękając się, aby go na ławie sen nie zmorzył, gdy poczuł, że mu się powieki kleją, oparł się o ścianę, ręce na mieczu skrzyżował, oczy trochę przymknął i tak zdrzemnął się tylko stojący.

Już trzecie kury piały i brało się na dzień, gdy straszliwy wrzask jakiś przeraził przebudzonych tylko co i śpiących jeszcze. — Porwali się wszyscy, zląkszy jakiego podejścia nieprzyjaciela, powybiegano z izb i szop, dopytując się co się stało. — Nikt nie wiedział jeszcze — krzyk pochodził od drzwi więziennych, gdzie się gromadnie skupili zbrojni, a na ich głos ze wszech stron się zbiegano.

Wszebor, który z mieczem dobytym na hałas biegł pierwszy, znalazł tu już stojących Belinów obu, dwornię ich i wielu innych ludzi.

Widok, któremu zrazu oczy wierzyć nie chciały, przedstawił się u wrót jamy, do której Rzepca i Wiechana rzucono. — Wpóśród stojącej tu gro-

madki leżały dwa trupy, w miejscu gdzie stała straż nocna. Nie było na nich ani krwi, ani śladów walki; powrozy mieli pozarzućane na szyje i ściśnięte tak, że im oczy na wierzch powyskakiwały, języki z ust wyszły. Broń leżała przy nich na ziemi.

Wrota do jamy stały wylamane, nikt nocą najmniejszego nie słyszał hałasu, nie poruszyło się tu nic, z podwórca nie widziano nikogo przechodzącego, a Rzepca i Wiechana w jamie nie było. Brakło w niej i innych więźniów, którzy z nimi uszli wszyscy, jeden tylko stary dworak Belinów, za gwałt jakiś tam osadzony, żyw i cały pozostał. Ten nie powiedzieć nie umiał, prócz, że gdy się ze snu przebudził, poczuł drzwiami otwartymi wchodzące świeże powietrze.

Rozbiegli się po całym grodzie ludzie szukać więźniów, którzy jak się zdawało, za ostrokoły ująć nie mogli, bo przy nich gęste czuwały straże.

W całym grodzisku zamęt się stał i zamieszanie — wrzawa w pospólstwie, jęk i płacz kobiet słyhać było i krzyki tych, których zbrojni bić musieli, aby ich w porządku utrzymać, gdyż lud się rwał i burzył.

Zbudzone niewiasty wybiegły, pookrywawszy się czém mogły na prędcę — dowiadując się co się stało? Niektórym zdało się, że już korzystając z ciemności, oblegająca czerń wtargnęła i bój się na samym horodyszczu poczynął.

Mężniejsze z nich chwytaly za topory i nie mało bronić się było gotowych, raczej niż poddać sromotnie. Inne łamiąc ręce płakały.

Dzień nadchodzący zastał całą załogę w tym popłochu, a strażę obchodzące wszystkie kąty, przetrząsające komory, rozglądające się na poddaszach, czy się gdzie zbiegowie nie skryli...

Nie było śladu ich nigdzie.

Ta ucieczka zwiększyła jeszcze i tak już wielką trwogę, gdyż Rzepiec i Wiechan długo na horodyszczu przebywając, dobrze je znali, mogli więc dla czerni być najlepszymi przewodnikami, wskazując jej słabe strony.

Wschodzące słońce, nim się z gęstej mgły wybiło, nie dawało w dolinie nie rozpoznać, oprócz ruchu, jaki wśród gromad coraz żywszy być poczynał.

Sposobiono się już do napaści, kupy szykowały się i postępowały ku wałom z okrzykami.

Moczary nie były jeszcze zamarzłe, rzeczka jesienném wód wezbraniem rozlała, z téj więc strony nie obawiano się napaści; lecz gdy rozedniało, ujrzano za błotami gromadę znaczną ludzi, rzucających kłody i płoty w grzędawicę, hacie i mosty przysposobiających do przejścia. Musiano patrzeć na te przygotowania cierpliwie, nie počając nie mogąc, bo na taką odległość żaden pocisk nie sięgał. — Obrona wkrótce stać się mogła prawie niepodobną, gdyby tłuszcze ze wszech stron razem

się rzuciły. — Rąk było mało, ludzi skapo, a lud w podwórceu strzeżony być musiał i pod dozorem ledwie na małe kupki go rozbijając, do noszenia ciężarów użyć było można.

Widok tych przygotowań nową obudził trwogę, spojrzano po sobie w milczeniu tylko.

Gdy na wałach żwawo się uwijali wszyscy, O. Gedeon o wschodzie słońca, wedle zwyczaju wyszedł ze mszą świętą przed ołtarz na pomoście. Wytoczyły się niewiasty wszystkie, dzieci i starcy, klękając na modlitwę. — Rycerstwo ledwie się przeżegnawszy, musiało zbroje wdziać i stanąć przy ostrokołach.

Gdy mgły nieco opadły, u wrót zjawiała się gromadka jezdnych, wśród których Sobek poznał i pokazał Rzepca i Wiechana. — Nie potrzeba ich już było szukać po horodyszczu. Zbiegli wskazywali rękami na kopiec, opowiadając dowódczom, kędy i jak trzeba było gródka dobywać.

Napastnicy jakoś się nie spieszyli z rozpoczęciem szturm, czy na kogo czekali, czy im pilno nie było, powoli robili przygotowania. — Chcieli może ze wszech stron razem, gdy hać gotową będzie — uderzyć. — Do południa strzały nie było puścić do kogo... Zdawało się niektórym, że na noc czekali i z pomocą zbiegów coś przedsiębrać chcieli, gdy ciemności zapadną.

Horodyszcze całe teraz wyglądało inaczej. — Dopóki niebezpieczeństwo nie było tak blizkie,

ludzie czas mieli spocząć i poswarzyć się, podrażnić z sobą, słowami się nieraz zetrzeć; a powaga Beliny tylko powstrzymywała ich, że na siebie mieczów nie dobyli. Teraz wszystko się to zapomniało, wróciło braterstwo i zgoda, męztwo się obudziło w tych, co leżąc, byli zgnuśnieni.— Czuli, że nadludzkich prawie sił było potrzeba, aby się temu rojowi napastników opierać, przeciągnąć walkę i może doczekać, niepewnej odsieczy. —

Na nią była nadzieja jedyna. Gdyby się odsiecz spóźniła, zmorzeni głodem, wysileni czuwaniem, znękani walką, obrońcy horodyszcza upaść by musieli. Ani ludzie, ni ostrokoły nie wytrzymałyby nacisku.

Dzień ten zszedł na czatach i drażnieniu się wzajemném. Kupki to się przybliżały, to odchodziły, snuły i przeciągały, stawały miotając odgróźki, wyśmiewając się, wyzywając. Za ledwie znużone rycerstwo padło na pomosty spocząć, gdy jedni odciągnęli, wnet następowała nowa gromada z krzykami i łajaniem. Jechali jezdni, wlekli się piesi, podglądając, przypatrując się, podkradając...

Jezdni na strzał stawali, tak, aby głosy ich słyhać było, i wywoływali po nazwiskach zamkniętych na horodyszczu...

— Belino! stary wilku — a wylaż z jamy! —
Belina! hej!

Drudzy bezczescili Doliwów, Lasotę i ilu ich tam było. — Wiechan i Rzepiec dobrze im rozpowiedzieli o wszystkich.

Szczególniej na starego Belinę wykrzykiwano. Słyszał to, ale ścierpiał. — Gdy się ciągle powtarzało łajanie, wyszedł w końcu na pomost naprzeciw, na mieczu się sparł, stanął oko w oko i dał się lżyć nie mówiąc słowa.

Poznali go widać, jeden szydersko czapkę zdjął, pokłonił się, potem nacisnąwszy ją na głowę, pięść wyciągnął.

— Hej! stary zbóju, co piłeś krów naszą, przyszła na ciebie pora! Słysz! nie wywiniesz się z pazurów chłopskich. Wiemy my, co się u was dzieje, breczką żyjecie, ludzi nie macie, nie długo was wykurzymy! Lepiej się zdajecie zawczasu! — Tak czy owak wisieć będziecie, a choć męczyć nie damy, jak otworzycie wrota... Dzieciom żywot zachowamy! Wziąwszy gwałtem, żywój nie zostawim duszy.

Drugi ryknął ze śmiechem dzikim:

— A nu, żywo, psy parszywe! wrota otwierać. Łajać zaczęto z pogańska i wyklinać...

Belina stał, słuchał, nie drgnął, ni mu się usta otwarły; drudzy na ostrokołach mniej cierpliwi, rzucali się wściekając, krzyczeli, i łajaniem im odpowiadali; — jeden i drugi nie wytrzymał, i choć kupka stała daleko, a strzał daremnie wyrzucać było szkoda — zaczęły i one

świstać, a z proc ciskano kamienie. Kilku śmielszych ugodzono, ale w końcu cofnęli się z łajaniem i krzykiem...

Dnia tego więcj się na nic nie zebrali — czekali na coś... Wszebor myślał, że się Masława spodziewano.

Na błocie pomost wyciągał się coraz ku okopom przybliżając, rachowano patrząc, że ledwie trzeciego dnia hacie i mosty będą gotowe.

Noc zapadła wśród téj niepewności i oczekiwania stokroć gorszego od samego boju i niebezpieczeństwa; bo nie tak nie wycieńcza i nie nuży, jak groza wisząca nad karkiem, którój spadnięcia ciągle się spodziewać trzeba.

Nazajutrz zmieniła się pogoda, miasto mgły nadszedł deszcz chłodny, wiatr zadał silny, lasy szumiały od półnoocy, jakby wtórowały wrzawie oblegających. Zdala widać było gnące się drzew wierzchołki i oblamywane gałęzie, z ognisk dym rozbiegał się po dolinie z iskrami. Niektóre z nich wiatr i deszcz pogasiły. Gromady się nie ruszały jeszcze, a nad haciami pracowano.

W południe dopiero od lasów krzyki się rozległy głośnie i poszły echem po całym obozie. — Ludzie wstawali co żywo, szykując się oddziałami.

Z lasu pokazał się wysuwający orszak jezdnych, przed którym na żerdzi czerwona niesiono chorągiew. Ubiorów ani twarzy rozeznać jeszcze nie było można, jechali szybko, przerznięli się przez

obozowisko, zdążając wprost drogą ku wrotom zamkowym.

Stojący na zaborolach Wszebor, pierwszy zawołał.

— Masław!

Biegli wszyscy oglądać go, z rycerstwa bowiem mało kto za młodu nie znał Masława na dworze Mieszka i Ryksy, każdy chciał zobaczyć, co się z pyszałka owego zrobiło. On to był w istocie. Jechał na czarnym koniu z grzywą długą, we zbroi całej, w hełmie z kitą na głowie, w płaszczu jakby królewskim czerwonym ze złotem, otoczony drużyną, w której znać było, że królewską naśladować chciała. — Pacholek jeden tarczę za nim wiózł, drugi łuk i strzały, trzeci miecz wielki. Gromada strojna i zbrojna, otaczała nowego knecia, który w bok się ująwszy, z podniesioną głową, prost jechał na wrota, pogardliwem okiem rzucając na horodyszcze.

Już miał Mszczuj, zmierzywszy z łuku, puścić ku niemu strzałę, obrachowawszy, że dosiędź może, gdy go powstrzymano. Cała czereda pańska stanęła z obnażonemi głowami, otaczając go i słuchając wydawanych rozkazów.

Z ruchów rąk wnosić było można, że i o haci, którą z drugiej strony kładziono, opowiadać musiano.

Masław słuchał stojących przed sobą, roztrągniony, okazując im niemal pogardę. Zawrócił

się potém i o kilkoro stajania wskazał naprzeciw wrót miejsce, gdzie chciał mieć obóz rozbity.

Nadciągały wozy pańskie i reszta dworu. — Z horodyszczu widać było, jak wbijano koły do rozwinięcia namiotu, doły kopano dla ognisk, wiązano konie i przysposabiano się do spoczynku.

Wnet miejsce to pańskie, ciekawa czerń, rozmaicie pouzbrajana, otaczać zaczęła; przychodziła starszyzna z pokłonami, zdejmowano z wozów beczki, pojono gości... Gwar wesóły dochodził do wałów, zwiększając się i rosnąc.

Na ten obraz zapadł mrok wieczora, ostatniego może, co miał śmiertelną walkę poprzedzać.

Wkrótce rozpocząć się ona musiała.

Belina spodziewał się nawet zamachu jakiegoś w nocy, ogień na wałach rozniecić kazał, ludzi tylko połowie dał spoczywać, resztę na czatach postawił.

Nie myślano już téj nocy o oszczędności, na horodyszczu też odbito z piwem beczki, mięsa uwarzono podostatkiem. — Do izby na dole wniesiono kadkę miodu, aby ludzi pokrzepić i odżywić.

A na wyżkach nikt nie prządl dnia tego, nikt nie śpiewał. Szeptaly dziewczęta, płakały starsze niewiasty, modliły się cicho niektóre. Jedna to druga wymykały się z izby, aby coś zobaczyć, coś usłyszeć, i z tego zamieszania korzystając, słówko przemówić do kogo. Nawet Kasia wysunęła się parę razy ze Zdaną, popatrzały tuląc się do siebie

w dół, spojrzały ku okopom. — Ani Tomka ani Mszczuja widać nie było. — Tęskno szeptały coś z sobą, rączkami opasawszy się wzajem i główki schyliwszy ku sobie. — Słuchały dalekiego szmeru, rozeznając w nim głosy.

— Słyszysz! to głos mego brata! — a! jabym go wśród tysiąca poznała!

Kasia główką potakiwała, choć się jój wstyd przyznać było, że ona pierwsza przed siostrą nawet, wołanie to poznała i powitała je twarzy rumieńcem.

— A to? słuchaj no! — szepnęła cicho odwzajemniając się — przysięgłabym, że to głos Mszczuja Doliwy.

Zdana potrząsała głową niby niedowierzająco.

— Co mi tam Mszczuj! — rzekła roztargniona.

— O! nie prawda! Tyś pierwój głos jego niż Tomka posłyszała!

Zdana nie zawsze przyznawała się do tego, że się do niej Doliwa uśmiechał, ona jemu. Tego dnia jakoś mu nie wierzyła, trochę nań była gniewną. — Mszczuj był na straży. Przez cały dzień nie szukał jój i nie spotkał, od wczora jakby jój znać nie chciał, ona też wiedzieć o nim niby nie chciała.

— E! Mszczuj! odezwiała się — czy to tam myśleć o tém. Miły Boże! Co to się stanie z nami! Ci chłopci, ta czerń straszna.

Kasia spojrzała na nią, i w niebieskiem jéj oku błysnął ogień rycerskiego dziecięcia.

— Same sobie śmierć zadamy — zawołała — niżbyśmy się w ich ręce dostać miały! nigdy! nigdy! Ale O. Gedeon powiada, że Bóg uczyni cud i wyzwoli nas, a O. Gedeon świętym jest człowiekiem i Bóg mu nieraz prorokować dozwala!

Mówiła jeszcze Kasia, gdy Tomko się ukazał na dole. Wyrazy jéj na ustach zamarły, spuściła oczy, bo idąc tak, spojrzał na nią, strasznie jakos, przesywajaco, że spojrzenie to uczuła w sercu, oddechu jéj nawet zabrakło.

Zdana łajala go, że je obie, nagle tak wchodząc, nastraszył, a Kasia już mu się uśmiechała.

W tém z izby na wyżkach, ode drzwi głos Spytkowej dał się słyszeć.

— Kasia... ten wichur dziewczyna! gdzie się znów ona podziała?

Dziewcze z objęcia Zdany wrywając się nagle, spojrzało raz jeszcze z uśmiechem ku Tomkowi i znikło.

II.

Spały jeszcze niewiasty na górze, długiem znużone czuwaniem, gdy straszna wrzawa dzikich głosów, zmieszanych ze stukiem i chrzęstem, od których domostwo drżało, zbudziła je przerażone. Pierwszy głos co ucho ich uderzył, był wojenném, bojowém hasłem...

Łoskot podnoszonych do góry i spadających kłód i kamieni, mieszał się z głosy wściekłemi, wśród których to jęk rannego, to łajanie rycerzy słychać było. Na dachy z dranic padały kamienie z proc przez obiegających rzucane, ściany się trzęsły, bieganiem po pomostach dokoła tętniało na Horodyszczu całém.

Jak burzę słychać było przenoszące się gromady ludzi około ostrokołów, zbiegających tam gdzie niebezpieczeństwo groziło.

Czasem górą grzmiał głos dowodzocego, to gdzieś tonął zagłuszony wrzaskami. Słysząc było jakby trzask i łamanie ostrokołów, i huk toczących się głazów, i jęki tych, których one przygniatały...

Z płaczem pozrywały się z posłania niewiasty, chwytając przyodziewki, żegnając się krzyżem świętym, biegając, wołając, potracając się i tracąc przytomność... Żadna nie znaleźć nie mogła i włożyć nie umiała.

Jedna Hanna Belinowa stała w pośrodku izby, blada ale spokojna, odziana już, z twarzą posępną, poglądając miłosiernie na to rozbite i spłoszone stadko swoje.

— Dobijają się już do wrót! — zawodząc okrutnie wołała z komory Spytkowa...—Boże miłosierny! co czynić! co poczynać! Ratuj kto żyw!

Co chwila wpadały dziewczki służebne.

— Już się cisną od Olszanki! — woła jedna — przeszli błoto...

— Od wrót idą całą siłą! — mówiła druga.

— Kamienie lecą jak grad, za strzałami dnia nie widać — krzyczała trzecia...

— Hełę postrzelono gdy wodę niosła — mówiła zdyszana wpadając inna, rzuciła dzban ze strachu i stłukła.

— Dzban mój! — przerwała ręce łamiąc Hanna Belinowa — polewany mój dzban!

Nie tyle jój postrzelonej dziewczki, co dzbana żal było.

Ledwie słów tych dokończyła, gdy nie młoda kobieta wpadła splakana z ręką skrwawioną.

Strzały już w ranie nie było, ale z rany sączyła się krew, a z oczów płynęły łzy, i mówić nie mogła ze strachu. Zdana wnet przybiegła obwiązać ranę, Kasia zobaczyć ją i pomagać. Pozałamywały ręce.

Nie przeszła jeszcze ta pierwsza trwoga, gdy do drzwi zastukano. Wszystkie pierzchnęły od nich ze strachu.

— Ojciec Gedeon ze mszą wychodzi! — -za wołał głos za drzwiami.

Niewiasty o mszy były zapomniały, a modlitwa teraz tak była duszy potrzebna! Żwawo poczęły się przyodziewać, aby przed ołtarz pospieszyć. Nawet, trochę do wstawania leniwa Spytkowa, coś na siebie schwyciła, aby Mszy świętej nie opuścić.

Wśród ścian od walki drżących, Ojciec Gedeon na zwykłym swém miejscu, pod daszkiem na który się sypał grad kamieni, odprawiał już nie krwawą ofiarę, tak spokojny i bezpieczny, jak by był jeszcze w swoim cichym klasztorze za dawnych, szczęśliwych czasów.

Na pomoście odkrytym, w podwórku, walkę na okopach daleko wyraźniej, głośniejszą i straszniejszą słychać było niż w izbie. Niewiasty, zaledwie

wyszedszy, struchlałe popadały na kolana, modlić się nie mogąc, oczy zapłakane zwracając na kapłana, którego ani ten szum, ni łoskot kamieni toczących się po dranicach, ni ranionych jęki, nie zdawały się poruszać. Starzec był cały w modlitwie i w Bogu, duszą na innym świecie.

Same niewiasty dziś i dzieci małe go otaczały. Starsze chłopaki choć je odpędzano, nie wytrzymały, dziecinnych swych proc i małych łuczaków poszły próbować na okopach... Walczący pozbyć się ich nie mogli. Wśród niewiast rozplakanych, jedna twarz Belinowej spokojną była, jednej Kasi oczy otwarte szeroko, usta w pół odemknięte, całe lice dziczące jeszcze, prawie męzkim tchnęło duchem. Zdało się, jakby co chwila zerwać się chciała i biedz a walczyć. Najmniejszej już obawy nie zdradzała zmarszczona twarzyczka, pałająca gniewem i niepohamowanym pragnieniem skoczenia tam, gdzie wrzał bój. Kilka razy zdumiona spojrzała na nią Zdana — Co tobie?

— Mnie! poszłabym się bić! — odpowiedziała oddychając ciężko Kasia — a — poszłabym się bić!

Belinowa usta jój dłonią zamknęła.

Walka, której od ołtarza widać nie było, tém sroższą się przez to zdawała, że głosy jój tylko tu dolatywały. Uszy modlących się niewiast, dziewcząt, dzieci, przy każdym głośniejszym okrzyku,

boleści lub gniewu, starały się pochwycić wyraz jego, odgadnąć pierś, z których wychodził.

Głowy wszystkie zwracały się ku wrotom, przez które buchała ta wrzawa bojowa.

Gdy nakoniec Ojciec Gedeon odwrócił się i zakreślił wielki krzyż w powietrzu, żegnając nim razem żony, dzieci i tych, co niewidzialni za nie walczyli — niewiasty padły na twarze płacząc... Kapłan już znikł, a one jeszcze powstać nie śmiały. Kasia tylko zerwała się jedna i z oczyma obróconemi ku wałom, drżała, że nie mogła biedz ku nim.

Zdana ją pochwyciła za rękę i gwałtem niemal do izby nazad zawiodła.

Jakże zazdrościła Kasia starój Hannie Belinowej, która nie wytrzymawszy, choć strzały dołatywały, choć kamienie padały wśród podwórza, wyszła własnemi oczyma spojrzeć na to, co się tam działo, i czuwać nad panem a mężem swoim. Serce miała hartowne a mężkie, przetrwało ono już stratę dwóch córek, skon jednego syna. Z pięciorga dwoje jój tylko zostało. Z tych dwojga, jeden był tam na wałach, pewnie gdzie najgorętsza wrzała walka, gdzie największe było niebezpieczeństwo

W izbie na dole pusto było, starzy, ranni, osłabli, wszyscy, z czém kto mógł, powlekli się na wały. Nie mogło ich tam być nadto dnia tego, gdy każda i najslabsza nawet ręka na coś się

przydać mogła. Świeżo pokaleczeni zbiegali tu na chwilę, aby obwiązać ranę, zatamować krew i wracać na wały. Toporezyk postrzelony zębami sobie zawiązywał rękę, z której się krew toczyła obficie, aby biedz do swoich...

Horodyszcze zewsząd było, jak mrowiem opasane tysiącami ludu, cisnącego się nań przebojem. Ci co szli na ostatku i pozostali jeszcze w dolinie, pchali i naciskali tych, co się w pierwsze dostali szeregi. Czerń się cofnąć nie mogła, choćby chciała, choć na jej głowy i karki spadały kłody ogromne, a kamienie tocząc się, gruchotały ręce i nogi. Naciskano i parto z tyłu. Po upadłych i zgniecionych wdrapywali się żywi, i z trupów wał leżał u ostrokołów.

Masław stał na uboczu, w rogi tylko każąc trąbić, aby zagrzewać do boju. Tłумы tak szczelnie opasywały gródek, że nie było miejsca na wałach, gdzieby się im obraniać i opędzać nie było potrzeba. Od rzeczki nawet przez hacie i mosty na prędce poklecone, dostała się przededniem gromada, z tej strony naciskając i dobijając się wścieklój, bo rachowała, że tu obrona będzie najslabszą.

Ludu z pierwszego podwórza, któremu zawieźć nie było można, choć ręce jego bardzoby się były przydały, użyć nie mógł Belina inaczej, jak kupkami rozdzielając go między rycerstwo, a pilne nań mając oko. U wrót nie postawiono

z nich nikogo. Szli chłopci pod grozą niechętni, chmurni, leniwie, ledwie spełniając dawane im rozkazy. Na twarzach ich malował się gniew tłumiony, jakby lada chwila miał wybuchnąć. Dźwigali oni kłody, toczyli kamienie, nosili wrzątek, dozorowani jak niewolnicy...

Rzepiec i Wiechan uwijający się w pośród gromad, coraz ku swoim nawoływali, dawali znaki, aby się zwrócili na obleżonych. Po bladych twarzach przelatywały błyski, lecz ręce się porwać nie śmiały. Belina z mieczem swym nieustannie miał ich na oku. Najmniejszy opór karany był śmiercią...

Pozostałe niewiasty z niemowlętami i dziećmi, wybiegały zagrzone wrzawą z rozpuszczonemi włosami ku mężom i braciom, aby ich do buntu nawołać, lecz spychano je jak trzody do szop, z których tylko jęk i krzyki dochodziły.

Położenie było rozpaczliwe, straszniejsze się stawało z każdą godziną. Od strony rzeczulki, gdy na świeżo podsypany wał i ostrokoły nowe napadła gromada wielka, w pierwszym nacisku obwaliła się znaczna część ogrodzenia... Wyłom już był zrobiony. Rzucili się kto żyw ku niemu, zawalając wszystkiem, co się pod ręką znalazło. Szczęściami płoty i koły od szop, które rozerwano, dopomogły do obrony... Dwaj Doliwowie stojący tu cudów dokazywali, we dwu starcząc za dziesiątek.

Oba czasu pokoju, w beczynnym życiu swarliwi i niespokojni, duchy gorące, skore do kłótni i zwady — tu byli w miejscu czynni, niezmordowani, a choć już z nich krew ciekła obficie, choć strzały w nich tkwiły jak kolce na jeźach, kamienie natłukły sińców i guzów, żaden z nich nie jęknął i obwisać się nie poszedł. Każdy pocisk jeszcze ich czynił zapalczywsiemi. Siła się w nich dwoiła, dźwigali ciężary, jakichby pospolitego czasu żaden z nich nie poruszył, nie czuli znużenia, śmieli się uradowani niemal. Belina patrząc na nich drżał szczęśliwy, a Mszczuja wśród boju w pół chwyciwszy w głowę go pocałował. Kupa ludzi, która z téj strony się dobywała, w dość niebezpiecznym była położeniu. Choć liczna i ciągłym zwiększającą się napływem, szła ona przez jedną hać wązka, od reszty gromad odcięta będąc z obu stron płynącą rzeczką. Wszebor rozpatrzywszy się tu, zbiegł z wałów do Beliny.

— Ojcie — zawołał — ulituj się, daj mi ludzi garsteczkę! dużo nie trzeba! Ale daj! Puśćcie mnie jaką dziurą na ten motłoch, ja go w błocie wytopię...

— Gdzie? co? — odezwał się Belina.

— Spójrzyjcież, hać wązka. Oni się nie spodziewają, by ich kto zaskoczył. Wpadniemy na nich, ujdą. Nie zbrojne to i nie rycerskie, od cepa i brony. Hukniem to się rozproszy...

Belina bronił się, ręce podnosząc.

— Poszlibyście na zgubę! Was szkoda.

— Wrócimy cało, mój ojcze — puść, bo nie wytrzymam, sam się rzucę na gromadę! — wołał Wszebor.

Szalone to było przedsięwzięcie. W kilkunastu, bo więcej oddzielić nie było można, napaść na kilkuset, zdawało się niepodobieństwem. Lecz tłum ten spędzony pod horodyszcze, prawie bezbronny, w koszulach i siermięgach, z pałkami i kijmi, bo połowa toporów nawet nie miała, nie mógł się mierzyć ze zbrojnemi. Wszebor ręczył, kłął się, przysięgał, że tę czerń przegoni, byle mu kilkunastu zbrojnych dano.

Spędzić ztąd oblegających, było wielkiej wagi, gdyż jedną stronę mając wolną, z innych się silniej było można opierać.

Belina lękał się, wahał, zezwolić nie chciał długo. Samo wypuszczenie nie było łatwem.

Wnijscie główne na horodyszcze znajdowało się z przeciwnej strony, od rzeczki była tylko furta mała, zabita i zasypana dawno, tak, że jęj wśród ostrokołów rozpoznać było trudno. Tę trzeba było otworzyć, narażając się na to, że w razie niepowodzenia, zgraja się przez nią na horodyszcze najłatwiej mogła dostać.

Stary bronił się, niepozwał, na horodyszczu gotów był walczyć do upadłego, na niebezpieczne próby nie chciał się puszczać, ni siebie ważyć ni

drugich. Lecz z Wszeborem trudno było, gdy się zapalił, zmógł starca nadzwyczajną gwałtownością, napaścią, uleganiem, przymusem niemal do zezwolenia.

Gdy Belina głową dał znak zgody, Wszebor polecał jak szalony, na wołanie jego, co było gorętszego zbiegło się natychmiast.

— Pójdziemy szczęścia probować!

W tej ciasnocie bić się stojąc nikomu nie smakowało, Wszeborowa myśl wycieczki pozawracała głowy. Napastnicy wcale się ztąd nie mogli spodziewać napaści.

Zaczęto furtę odwalać, ziemię odkopywać, a nim się to stało, gromadka Wszeborowych już do wyskoczenia była gotową...

— Mieczów tu nie trzeba — toporów i oszczepów jak na dzika! — wołał dowódzca.

Chwyciwszy więc topory i oszczepy, cali pokrywani pancerzami, kilku z tarczami, czekali tylko, by się na wrzeciędzach wrota podniosły.

Ciążba, co się na wał cisnęła, nie spodziała się wycieczki, gdy furta się rozwarła, myśleli, że zdradą ją otwarto i lud chciał się łączyć z niemi... Cofnęli się niepewni... W tej chwili Wszebor z towarzyszami na wahających się padł, prąc ich i rąbiąc... Z ostrokołów dopomagano...

Na dany znak puszczoneo kłody ogromne, na bliższych poczęto lać wrzątek, cofnęli się. Wszebor już nacierał z wrzaskiem, z krzykiem, bo

w ówczesnej walce głosy też i piersi nie mało miały do czynienia. Napastnicy zaskoczeni nagle, spłoszeni, rzucili się tłumnie ku haci i mostom... Tu ciasno było, uchodzący sparli się z nadchodzącymi; znaczna część przed toporami oszczepami uciekając, w wodę i grzęzawicę wskoczyć musiała...

Z tej pierwszej chwili popłochu umiał Wszebor i jego towarzysze korzystać. Parli tém silniej i nacierali...

W dzikim tłumie dość zawsze by jeden tył podał, za nim biegną wszyscy. Ruszyło się to mrowię do ucieczki... Ci co szli dalej na haci, zawróciwszy się z wrzaskiem uciekali nazad, staczali się w moczary, padali w rzekę. Wszebor bił, mordował i pędził pomostem dalej. Co zostało odcięte pod horodyszczem, padło pod toporami. oblegający z drugiej strony, oddzieleni wodą, zasłonięty mając widok horodyszczem, niedomyślali się nawet, co tam się działo i w pomoc rychło przyjść nie mogli.

Na podziw więc szczęśliwie powiodło się śmiałym Doliwom w pierwszym starciu, a co dziwniej, nie zapędzili się zbytnio... Do pół pomostu doszedłszy, wnet go rozrywać zaczęli, kłody ściągając, burzyć i na zamek cofać się znowu.

Odparty tłum nie śmiał już i nie mógł powrócić, oparł się aż na brzegu przeciwnym.

Zuchwałej, szalonej wycieczce Wszebora win-

no było chorodyszcze, że się dzielniej z innych stron bronić mogło. Belina widząc, że przynajmniej do jutra jeden bok mieć będzie wolny, małego ludzi tu zostawiwszy, resztę pchnął tam, gdzie główne siły Masława zgromadzone były.

Lik ich ogromny wrzawę przerażającą powiększał, ale w rzeczy nie pomagał wiele. Znaczniejsza część przystępu nie mając, stała, wrzeszcząc w dolinie, cisnęła swoich, rzucała z proc kamieniami, które często własnym towarzyszom na głowy spadały, a przybliżyć się nie mogła. Okopy całe już były niemal trupami i rannymi zawalone. Kłody niektóre na wpół ludzi przygniotłszy, trzymały ich do ziemi przybitych, nie mogących się ani wyrwać ni skonać. Po ich ciałach, po trupach drapali się drudzy nie tak natarczywie i śmiało, bo z ostrokołów grad się sypał na głowy, strumienie wrzątku oblewały, smołą zażegnietą w garnkach ciskano na tych, co się bliżej dobili.

W tej walce zajadłej przeszło południe. Masław, który spodziewał się wszystko w parę godzin dokończyć, wściekał się, widząc zajadłą obronę, która tyle ludzi kosztowała, a pozostałym odebrała odwagę. Coraz się sam ze swoimi przybliżał, podjeżdżał, wybrał wreszcie najsprawniejszych, aby pod główne wrota podpadłszy, podpalili je i rąbali.

Nad wrotami temi oddawna się gotowano do obrony najdzielniejszej. Samo ich położenie ułatwiało tu opór. Znajdowało się bowiem wniście główne w rodzaju wąwozu, w którym ledwo kilku ludzi w poręcz stanąć mogło.

Belina od rana deski kazał wodą oblewać, aby namokłe, nie łatwo się zażedz dawały.

Na górnym pomoście nad bramą, daszkiem osłonionym, stali najmężniejsi ludzie, najśmielsza młodzież. Od łuków i kamieni kawał rzadkiego ostrokołu ich okrywał, mogli więc bronić się ztąd, nie bardzo będąc wystawieni na pociski. Kamieni pod ręką mieli stosy, belek kilka grubych do ciśnięcia, a rąk nie brakło. Masław sam podbiegłszy, pędził swoich na wrota ukazując, podbiegło kilkudziesięciu z tarczami lipowemi skórą poobijanemi, które w polu były dobre przeciw mieczom, a od kamieni i belek obronić nie mogły.

Dano im się podsunąć do wąwozu w wałach, z zapalonemi żagwiami przybiedz aż pod wrota niemal, dopiero runęła na nich kłoda przysposobiona, od której uciekać chcieli zapóźno. Zabiła ona kilku na miejscu, reszta cofnąwszy się stała zdala... Widząc, że się tu podkraść trudno będzie, suchy chrust poczęli gromadzić wiązkami, opodal nieco, chcąc go potem podpalony podtoczyć.

Nim się na to zebrali, zmierzchać zaczęło. Najkrótsze dnie późnej jesieni, chmurne tego czasu niebo skracalo jeszcze; ludzie byli straszliwie

znużeni, tak, że ze dniem i szturm znacznie wolnieć zaczęli. Pozostawały tylko zapaleczone gromadki ochotników, ale i te się już przerzedzały. Obleżeni wyglądali nocy jak wybawienia, choć wiedzieli, że całkiem ubezpieczeni spoczywać nie będą mogli, częściami jednak mieniając się, odechnąć się spodziewali.

Pierwszy ten dzień niezmiernego wysiłku, znużył rycerstwo, wielu zmusił do ustąpienia dla ran i zmęczenia; był wprawdzie szczęśliwym, lecz gromadom nie zadał klęski wielkiej, pobudził je tylko do wściekłości. Strata kilkudziesięciu, choćby kilkuset ludzi, nie w tych tłumach nie znaczyła. Spędzeni od strony rzeczki pierzełnawszy ze sromem, wściekali się, odgrażali i tém zajadłej sposobili tą samą powrócić drogą.

Widok licznych trupów, które na wałach i pod wałami leżały dokoła, rozbudzał chęć zemsty w tłumach, które ściągając je miały obelgi i łajania... Gotowano się obyczajem pogańskim sprawić im pogrzeb, paląc je na stosach. Noc nadchodząca choć nie rozproszyła całkowicie zgrai, kręcąc się ciągle dokoła, zmusiła jednak do niejakego odpoczynku.

Na strzał z łuku od wałów pozapalano ognie i porozkładano się tak blisko, że gwar, śpiewy i plugawe przekleństwa ciżby do horodyszczu dolatywały.

Tu nie próżnowano też. Kilkanaście godzin walki znacznie wyczerpało to, co do niej było przygotowanem: kłody, kamienie, pociski, które na daleko dłuższy opór zdawały się starczyć, w ciągu tego jednego straszego dnia wyszafoowano niemal wszystkie.

Ludzie walką zagrzani nie zawsze oszczędzać chcieli, padało wiele daremnie i staczało się z okopów nie raziwszy nikogo.

Na horodyszczu belek, drzewa, głazów nie wiele już było, zostało to, co na budowach sterczało i w ziemi pod niemi. Stary Belina wieczorem kazał stajnie i szopy rozrzucić. Spędzono lud do roboty przy łuczywach, postawiwszy dozorców. Słupy, belki, krokwie nawet, kamień z fundamentów, musiały się nocą na jutro gotować.

Gdyby obrona, przeciągnąć się miała, za szopą jedną musiały pójść drugie, choćby sam dworzec walić przyszło i pod gołem niebem koczować.

Noc to była bez snu i spoczynku, na nieprzyjaciela w domu trzeba było zważać pilno, by mu się nie dać naradzać i skupiać, strzedz na wałach i u wrót, aby z zewnątrz się nie pod kradli Masława ludzie. W izbie na dole po kilku tylko i na krótko odpocząć mogło. Tu opatrywano rany, dawano jedzenie, starsi przychodzili wyciągnąć się na podłodze, by im ręce i nogi po tej młóćbie nieustanniej odeszły.

W kilku miejscach, gdzie napaść była żwawsza, nie tylko strzałami i kamieniami, ale oszczepy i toporami obraniać się musiano... Nim kłodę dźwignięto, gdy czerń po trupach już na ostrokoły się parła, twarz w twarz, piersi z piersią spotykać się przychodziło. Chwymano się za włosy i rąbano toporami. Stary Lasota, który miał tylko posługiwać, choć słaby rzucił się w gąszcz, nie strzymał, krwią był zbryzgany i ranny.

Mało też kto dnia tego został całym, choć rany straszne nie były, najwięcej guzów i sińców nabiły kamienie, ran drobnych a bolesnych narobiły strzały kamienne. Oblegający więcej mieli i straszniej pokaleczonych.

Przez całą noc w obozie szeroko rozłożonym, sięgającym aż do zameczyska, ruch był i jakieś przygotowania. Świeciło w namiocie Masława, ludzie zeń wychodzili i przybiegali doń ciągle... W mroku kilka razy oblegający podkraść się usiłowali, lecz znaleźli przygotowanych i strzałami gęstemi wystraszeni pierzchnęli. Straże chodziły wszędzie.

Krótszym się pewnie dzień ten pamiętny wydał tym, co go w bojowym spędzili wrzątku, niż biednym niewiastom, skazanym na przysłuchiwanie się bezczynne, ciągłą trwożą, którą każdy większy łoskot obudzał. Słyszac krzyki gwałtowniej wybuchające, wybiegały wszystkie, patrząc, ażali się już nie wdarła czerń przez wrota, lub

nie wywalila gdzie ostrokołu. Dziewki służebne, które mimo boju dla wszystkich przecież strawę i napój przygotowywać i roznosić musiały, wracały przez cały dzień, przynosząc niedorzeczne trwogi, zwiastując niemal ostatnią klęskę, tak, że Zdana odważniejsza z Kasią wybiegać musiały, aby się o prawdzie przekonać.

Spokojne dziewczę w chwili niebezpieczniejszej, zmieniało się w bohaterkę, tak, że Spytkowa oczom swém, patrząc na nią wierzyć nie chciała. Dwa, czy trzy razy musiała jęj nakazać porzucić siekiarę, za którą porwała.

Co się działo ze starym Beliną, tenby mógł powiedzieć chyba, co za nim krok w krok chodził. Widziano go wszędzie, gdzie najgoręcej było. Milejący stawał na pomostach i ogromnym swym mieczem, do którego obu rąk potrzebował, wywijał i rąbał potężnie. Nigdzie miejsca nie zagrzewając, przenosił się ciągle, gdzie była potrzeba, i niekiedy tylko dobywał ogromnego głosu, pędząc ludzi...

Wieczorem on i znaczniejsza część wojowników ledwie się na nogach utrzymać mogła. Padali jak podcięci, dysząc długo, nim cokolwiek sił wróciło. Jadła i napoju nie brakło teraz, dla kogoż oszczędzać je mieli? godziny były policzone...

Na jedną tylko opatrność chyba, jak mówił ojciec Gedeon, rachować było można, ona jedna

pozostała. Dzień, dwa takiej napaści gromadnej odcinaćby się zdołali obleżeni; nie ich nie mogło ocalić, jeżeliby osada dłużej trwała... Widzieli to wszyscy, choć nikt o tém mówić głośno nie śmiał, by drugim nie psuć serca i nie zwiększać trwogi. Ukradkiem starsi szli pod oltarz, do spowiedzi i gotowali się na śmierć.

Przecucie końca, a postanowienie bronienia się do ostatka, uroczystą powagą oblekało tę garstkę ludzi, co się do skonu gotując, uśmiechali, nie okazując trwogi po sobie.

Gwarzono o rzeczach obojętnych, aby o tém, to w myśli było nie wspomnieć. Rodzina, żony, dzieci, ojcowizny spustoszone, wszystko co rzucić mieli na wieki, stawało w oczach téj godziny ostatniej, a oczom męzkim łzy uronić nie było wolno...

Łagodnie podżartowywali z siebie, pokazując sobie wzajem rany i opowiadając dnia tego dzieje... Oczyma tylko potajemnie mówili sobie, jak rzymscy gladyatorowie.

— Na śmierć przeznaczeni jesteśmy.

Przez całą noc izba się nie zamykała, wchodzili jedni, wysuwali się drudzy nasłuchując; ledwie przysiadł lub przyległ który. Większa część przychodziła milcząca posepnie, poobwiązywana, krwawa; jeden przy drugim szukał miejsca na słomie, by rozprostować skurczone członki...

— Ot tak — odezwał się stary Lasota, śmiejąc się do blizn swoich — komu co przeznaczone, nie ujdzie losu. Za trupa już rzucony leżałem na pobojwisku, skołałem prawie, odżyć mi trzeba było i przywlec się aż tu, aby drugi raz umierać! Wyciągnęli mnie z Gdecza, gdzie pod ścianą byłbym spokojnie oczy zamknął, nie cierpiąc więcej — a tu — tyłkom Belinę objadł i ginać muszę!!

Belina stęknął.

— Co tam ginać! ginać to ginać! Nam starym, to przystało. Młodych szkoda, dzieci naszych dziewczynek, synów.

— Na to co się dziś dzieje, niech lepiej i oni nie patrzą! — krzyknął ktoś z barłogu.

Tuż przy ogniu siedział ziemianin od Poznania, a zwał się Poturga. Najmniej pono wojował choć się dużo kręcił, głośno stękał i wyrzekał, a wszystko mu złe było. Ten podniósłszy głowę zawołał ku Belinie:

— Po co się już tu i bronić! sprawa przegrana! i koniec!

Belina obrócił się nadąsany.

— A cóż lepiej, od stryczka ginać czy od topora! Zdać się na wolę? he?

— Cóż pomoże bić się, kiedy się nie wybijemy.

— To poginiemy w boju — krzyknął Belina drżący z gniewu. Poginiemy, bośmy powinni. Mo-

łoch tylko pada twarzą o ziemię, aby sobie życie wyprosił!

Poturga kiwał głową milczący.

— Chce się wam do Masława iść — dodał Belina, ja wam wrota otworzyć każę, lub spuścić na postronkach...

W tém z drugiego kąta ciemnego, w którym nie dojrzec nie było można, chrapliwy głos z podłogi ozwał się przerwana ciągnąc rozmowę.

— Co prawda to prawda! Tak było uczynić, jak zawczasu radził Doliwa, bo on rozum miał. Przebojem było iść i w lasach się schronić.

— A potem! — spytał smutnie Lasota.

Na to nie było odpowiedzi, tylko po za niemi szmer się dał słyszeć, jakby kto wchodził po cichu. Od ogniska przygaszającego mało blasku na ciemną izbę padało.

Obejrzeni się, za niemi stał z rękami założonemi na piersiach, w czarnej swój sukni, w kapтурku na głowie ojciec Gedeon. Błada twarz jego była dziwnie smutno uśmiechnięta, jakby politowaniem. Patrzał na płonący ogień, choć gdzieindziej był myślami.

Gdy wszyscy milczeli, mnich powiódł oczyma dokoła.

— Bracia mili — rzekł głosem słodkim, w którym przebrzmiewało niezrozumiałe dla słuchaczów wewnętrzne wesele. — Bracia mili! Ani na przeszłość narzekać, bo ta się nie zmieni, ani przy-

szłość zgadywać i trapić się nią zawczasu, nie godzi! Najlepiej człowiek ten czyni, co spełnia dziś to, co na dobie, a jutro zdaje na ręce Boże. Takeście uczynili dziś właśnie, a zaprawdę, dzień to był rycerski, wielki, piękny! Bóg co patrzy na nas z góry, nie miałby téj walki za żony i dzieci, tak świętej i pocziwój, ukoronować zwycięstwem!!

— Eh! eh! ojezaszku — śmiejąc się szydersko, zawołał z kąta Poturga. Eh! eh! co bo z nas sobie żarty stroicie! Gdyby i sam Pan Bóg nawet się w to wdał, to nas nie ocali! Wpadliśmy w matnię i po wszystkiém...

Ojcu Gedeonowi słuchając téj mowy bezbożnej twarz zapłonęła, podniósł ręce do góry.

— Człecze bezbożny! — zawołał oburzony — milcz, abyś gniewu Bożego na dom ten nie ściągnął! Cóż dla Boga niepodobnym? co dlań niemożliwym?

Portuga ręką kiwając, śmiał się. Kapłan z prostodusznego i pokornego przed chwilą, poważnym stał się i groźnym, rósł w oczach, ogień przebiegł mu po licu bladém, zmienił się, przybrał postać nakazującą, proroczą. Nie władał sobą.

— A ja ci mówię nieszczęśliwy człowiecze, iż oczy twoje ocalenie widzieć będą, a ty, coś w nie uwierzyć nie chciał, nie ufając bożkiej potędze, ty jeden ocalonym nie będziesz!

Wskazał nań palcem i umilkł. Przerażeni tém wszyscy spoglądali nań. Ojciec Gedeon stał, zwolna powracając do zwykłego twarzą wyrazu... Poprawił kapturek, który mu się był zsunął z głowy, spuścił oczy i jakby zawstydzony tém, że się uniósł zbyt, powolnym krokiem wyszedł z izby.

Poturga siedział blady, lecz śmiech zszedł mu z twarzy, drżał cały.

Belina powstał wpręde i popatrzawszy nań, wysunął się także.

Na wałach paliły się ognie wszędzie, chodziły straże, od doliny dolatywały gwary, niekiedy głośniejszém łajaniem odpowiadały czaty na zaczepki podchodzących. Stary gospodarz wdrapał się nad wrota, aby popatrzeć w dolinę. Noc była ciemna, wśród dymów gdzieniegdzie czerwieniały gasnące, żółtymi płomieniami paliły się świeżo nałożone ogniska. Mało kto zasypiał. Czarne cienie snuły się pojedynczo i kupkami, szczególnież około namiotu Masława, głuchy gwar mieszał się z poważnym lasów szumem. Na dole widać jeszcze było niepościągane trupy, leżące wśród belek i kamieni. Skradających się ku nim, straże raziły strzałami. Psy wyjąc, włóczyły się po poboju, w dali rżały konie i prychały. Jak zajrzeć, rząd ognia wyciągał się daleko aż na brzeg lasów, w których stare smolne sosny podpalone z dołu płonęły jak świece olbrzymie. Niebo było czarne,

obłoków nawet na niém dojrzyć nie było można, tylko w dali luną odbijały się na nich czerwone dymy, to rożarzając się, to gasnąc...

Belina stał na grodzisku swych ojców i myślał. Jutro będzie stosem popiołów, a my legniem może jak te trupy!

Na wyżkach z niewiast żadna kłaść się do snu nie chciała, lękały się nocnego napadu. Palił się ogień ciągle żywiony, siedziały wszystkie dookoła, po ławach, na ziemi, żadna nawet do ręki nie wzięła kądzieli. Nie chodziły palce, drżały dłonie, stały tęskne kądziolki pospierane po kątach, dziewczęta z pozakładanemi rękami dumwały. Śpiew na usta nie przychodził.

Rzadko która szeptem się do drugiej odezwała cichym. Stara Spytkowa, której usta mało odpoczywały, narzekaniami ciągłemi trapiła swe towarzyszki.

— O! żebym ja to była przeczuwała — stękała biedna — żebym ja była wiedziała, co mnie czeka w tym waszym nieszczęśliwym kraju, nigdybym z Rusi uprowadzić się nie dała. Miałam Kniazowskię, Bojarów, Starostów swaty, w mурowanym grodzie, bezpieczna, wielu bym dożyła, czy w Kijowie złotym, czy w Połocku, czy w Nowogrodzie, choć tych nowogrodzian cieślami wszystkich przezywają! A tu! tu! — Ruszyła ramionami.

— Za grzechy mi tu żyć przyszło!

— Albo to na Rusi wojen nie ma? — spytała Zdana nieśmiało.

— Ale nie takie, jak wasze! — odparła Spytkowa. — Potłuką się czasem Waragi z naszymi, porzną na polu, a nam niewiastom co do tego! Wyjdą za gród, wyciągną na doliny, w zamkach spokojnie.

Nikt nie przerywał Spytkowej, gdy Zdana, która się była wychyliła do ciemnej komory, nagle krzyknęła wielkim głosem.

Zerwały się wszystkie wtórując.

Na gródku gwar się jakiś wszczynął. Przez szczeliny ścian komory przeglądało światło wielkie, blizkie, czerwone — widać było jakby iskry przelatujące.

— Gore! gore! — wołała Zdana.

Wszystkie się ku drzwiom cisnąć zaczęły z krzykiem...

— Ogień! gore!

Coraz rosnąca wzmagała się wrzawa.

Gorzało w istocie na horodyszczu, podpalone ręką złych ludzi płonęły szopy, a że wszystkie budowle dachami się łączyły z sobą i wiatr płomień niósł na dworce, pożar groził grodzisku, pomostom i ostrokołom, które całą stanowiły obronę.

Czerń, która pod wałami zaczajona leżała, rachowała na tę chwilę popłochu i z okrzykiem rzuciła się ku okopom.

Suche chruściane szop ściany, słoma i siano pod niemi, gorzały jak jeden stos płomieniem ogromnym. Połowa rąk rzuciła się gasić ogień, druga musiała bronić ostrokołów, ku którym cisnęli się napastnicy.

Zdało się, że nadeszła chwila ostatnia, zostało do wyboru, albo ginąć w płomieniach, lub z rąk dziecizy. Sam Belina z garścią swoich pobiegł w ogień, nie straciwszy męstwa, Tomko z Doliwani na wały.

Zawrzało znowu istném piekłem... Trzask padających budowli wtórował okrzykom dzikim...

Lecz jak gdyby Bóg litościwy w pomoc chciał przyjść nieszczęśliwym, których rozpaczliwe jęki wznosiły się ku niebu, nagle puścił się deszcz rześisty, ulewny, który dopomógł do ugaszenia pożaru, więcej niż ludzie, co go zalewali i rozrywali. Na ostrokołach broniono się ostatkiem kamieni i drzewa, w końcu z pożaru chwytając rozżarzone główne i ciskając je na oblegających.

Ci spostrzegłszy, że ogień, na którego pomoc rachowali, przygasał, omyleni w nadziejach, zwołna ustępować i chronić się zaczęli od nawalnicoy. Z nieba lało owym deszczem łaski i cudu: jakby go modlitwa ojca Gedeona sprowadziła.

Niewiasty biedne, nierychło po tym postrachu przyszły do siebie. Kilka z nich jak nieżywe z przerażenia popadały. Spytkową zanieść musiano na jój łożo, inne cucić i trzeźwić wodą.

Krzyki niewieście tak były przerażające, że Belina, aby ludziom serca nie odbierały, dwakroć z groźbami do nich wysyłać musiał.

Na dzień się brało, gdy pożar został ugaszony i deszcz też zaczął ustawać, a co rzadka w jesieni; po gwałtownej ulewie nad rankiem wiatr się obrócił, porozrywał gęste chmury, odsłonił niebiosa, zapowiadać się zdawała pogoda...

Byłóż to wróżbą, czy losu urągowskiem??

W dolinie dymy się wlokły, od powodzi wezbrana rzeczulka i moczary, jakby jednym wielkim wydawały się stawem. Stogi siana dla koni poskładane, widać było pochwycone i rozsypane. Stada cisnęły się ku lasom, ludzie brodzili w kałużach... Blask dnia przeglądał się w obmokłych łąkach. Ranek coraz jaśniejszy się robił.

— Na wały! do ostrokołów! — krzyczał stary Belina.

Ściągali się wszyscy na stanowiska, a gospodarz znów nad wrota wszedł popatrzeć, co się dokoła działo...

A działo się tu coś dziwnego, czego trudno było zrozumieć.

Choć dzień rósł i słońce już wschodzić miało, w całym obozie poruszenie widać było gorętsze, żwawsze, pospieszniejsze niż wczora, lecz jakby ku innemu jakiemuś skierowane celowi. O grodzisku zdawano się zapominać.

Namiot Masława widać było jak na dłoni. Tu konie uzdano, ludzie się kupili pospiesznie, robiono coś około samego namiotu, jak gdyby go zwijać miano. Wybiegali zeń ludzie jedni, przyjeżdżali czwałem drudzy... Nawoływano i trąbiono w rogi.

Kupy ludzi, wczoraj rozpierzchłe bez ładu zbierały się, ustawiały. Krzyki i odgrążania się ustały, cała ta ciżba jakimś przygotowaniem pilnym była zajęta. Ci nawet co pod samym horodyszczem całą noc przesiedzieli, rozeszli się od pogaszonych ognisk precz i z gromadami w dolinie połączyli.

Nad wieczorem i nocną porą przed ulewą, Sobek słyszał i podpatrzył, że przy ogniach na nowo hacie i mosty na rzeczce i trzęsawiskach naprawiać zaczęto — teraz dano znać Belinie, że robotę porzucono i ludzie ztamtąd także odciągnęli.

Co miało znaczyć to zbieranie się nagle w dolinie, ruch niespokojny, zapomnienie nadewszystko o grodku zagrożonym, nikt sobie wytłumaczyć nie umiał. Jedni widzieli w tém cud zapowiedziany, drudzy lękali się napaści nowój, z większym ładem i siłą przygotowanój.

Niezrozumiałe te ruchy tém straszniejszemi się wydawały.

Gdy słońce weszło, namiot Masława ściągnięty już był i na wóz rzucony. Sam on w stroju

pańskim, w którym tu przybył dnia pierwszego, wyjechał z drużyną w dolinę. Przejeżdżał od gromady do gromady, jakby je opatrywał i ustawiał.

Tłum ten wczoraj wrzawliwy i zuchwały, milczący był jakiś i zaprzątnięty. Nikogo nie zostawiono przy horodyszczu, tak, że załoga mogła znużona pokładwszy się za ostrokołami, spocząć bezpieczniej, dopóki do walki powołana nie była.

Czasu tego użył stary dowódca, nakazując z rozebranej szopy, z niedogorzałych stajen znośić kłody na górę i przysposabiać się do odparcia nowej napaści.

Trochę swobodniej oddychali wszyscy. Niewiastom, jak to zwykle trwoga i wesele, smutek i uśmiechy łatwo i prędko po sobie prychodzą, wróciła zaraz nadzieja i umysł swobodniejszy.

Tomek miał czas pójść do matki i Zdany, a że Spytkowa po nocnym przestrichu nie ozdrowiawszy jeszcze, leżała, a Kasia w pierwszej izbie była z siostrą jego, mógł się i do niej przybliżyć. Błada jego twarz, ślady krwi od ran, obudziły w dziewczęciu uczucie, które się śmiałem objawiło wejrzeniem.

— O! — śmiała się Zdana — ktoby temu uwierzył, że ta słaba Kasia wczoraj się do siekiery brała i ledwie ją było można utrzymać!

Wydane z tajemnicy dziewczę zarumieniło się, odwróciło oczy, ukryło twarz, chciało się tego zapierać, lecz stojące niedaleko dziewczęta poświadczały. Tomko patrzył na nią z radością i dumą.

— Jeżeli nam Bóg życie ocali cudem jakim — odezwał się Tomko do siostry — będziemy kiedyś mieli co przypominać. Co się tu działo, przeżyło, temu się później uwierzyć nie zechce...

— O! prawda — mówiła Zdana, wyręczając Kasię, której oczy mówiły za usta — prawda! Mnie się i teraz wszystko, gdyby jakim snem wydaje! Nie wiem już sama kiedy śpię a marzę, a kiedym na jawie.

Spytkówna główką potrzęsała, to patrzyła śmiało, to wstydząc się spuszczała oczy, to je podnosiła zuchwale, to spotkawszy wzrok śmielszy jeszcze od swego, musiała zmrużyć powieki.

— Bolał was rany? — zapytała po cichu, chcąc przecie coś powiedzieć.

— Nie — rzekł Tomko — Co to za rany! Boli mnie to, że wy u nas taką złą i niespokojną macie gościnę, że się aż do siekiery brać musicie...

Zarumienione dziewczę potrzęsało główką, długa kosa złocista zawinęła się jój na ramię. Zajęła się kosą.

— A bez tej gościny — rzekła wreszcie — to-
byśmy chyba w lesie z głodu mrzeć musiały!

Widząc jak im słodko oczy latają, Zdanie się Mszczuj przypomniał niewdzięczny. Cicho spytała brata o niego, on tymczasem wzroku z Kasi nie spuszczał. A było mu dziwnie, jakby ta czerń nie stała już u progu, jakby życie nie wisiało na włosku, jakby na świecie stała się wiosna i pokój. Zapomniał o wszystkim, bo było mu błogo:...

— A! kiedyż się to skończy! — westchnęła Zdana.

— O! skończy się i szczęśliwie! — dodała Kasia. Ja się nie lękam! Ojciec Gedeon mówił, że Bóg cud uczyni!

— Dla mnie choćby najszczęśliwiej poszło, to mi nigdy szczęśliwie nie będzie — odezwał się Tomko cicho. — Jakby lepsze czasy nadeszły, wy ztąd od nas wyciągniecie w świat, a z wami!!

Kasia się przestraszona cofnęła, chwytając rękę Zdany — Tomko nie śmiał dokończyć.

Popatrzały na siebie dziewczęta. Dobra siostra Kasię przyciągnęła ku sobie, z nią razem zbliżając się do brata.

— Posłuchajno, co Tomko ci mówi — szepnęła natrętnie — ja ręczę za niego, on prawdę powiada! Ja wiem! Resztę skończyła na ucho — Kasia cofała się, oglądała, niby słuchać nie chciała, a słuchała z uśmiechem i rada.

— Ej! Matusia jak podsłucha! jak zobaczy — mówiła żywo — ja się boję...

— Byle Bóg dał koniec temu — począł spiesząc się Tomko — jak miłościwa pani, matka wasza, posłuchać mnie nie zechce — jak... mi was odmówią, Bóg widzi, choćby gwałtem porwać przyszło, a będziesz moja!

To mówiąc zawrócił się Tomko i pierzechnął. Kasia dokoła powiodła przestraszonymi oczyma, czy kto nie podsłuchał... Zdana jedna tylko, a ją pocałowała w czoło i uściśniła milcząca.

Starszyzna cała stojąc nad wrotami, radziła.

— Co się stało z niemi? co się stało! — mówiono. — Po co się oni tam kupią i gromadzą? Dlaczego nam dali spocząć? — Co się tam dzieje w dolinie!

— Ani chybi — mówił podejrzliwy Lasota — to chytry wybieg tego motłochu. Chcą żebyśmy się ubezpieczyli, aby potem napaść i wziąć nas łatwiej, jak pilności nie będzie. Jużci tak nas opuścić nie mogą!

— Tyle trupa zostawiwszy! — dodał Toporczyk... — Nawet stosów nie ponakładawszy, porzucili je!

— Mają nas chyba za głupich ludzi — rzekł Belina — myśląc, że się im jak dzieci wziąć damy.

— Kto wie, co Masław wymyśli — mówił Wszebor Doliwa — to pewna, że nas nie rzucają po dobrej woli!

Rozprawiano, patrzano, nikt nie rozumiał co się działo i dlaczego tak nagle się zmienił szturm wczorajszy w dzisiejszy spokój... Wyszedł i Benedyktyn na pomosty.

— Ojciec Gedconie! — zaczęto wołać — ty nam powiesz chyba, co się to dzieje!

— Wojennym mężem nie jestem — rzekł kapłan spokojnie, oczyma wodząc po dolinie — jedno tylko wiem i widzę, dniem i nocą, że kogo Bóg łaską swą ocalić zechce, temu z niebios zsyła pomoc niespodzianą... Na pożar ulewę, na znużenie spoczynek. Bóg wielki!

Gdy w serca jednych wstępowała pociecha, drugie rozpacz ogarniała i trwoga. Groźny wczoraj opierający się lud, doczekawszy ranka, gdy ujrzał Masławowe gromady uchodzące w dolinę, zawiedziony w nadziejach, jęczał i przeklinał.

Rozbici i porozdzielani małemi kupkami po okopach, siedzieli starzy pogrążeni w sobie, młodzież się po ziemi tarzała. Niewiasty z dziećmi odosobnione w podwórzu, płakały. Wszyscy obawiali się zemsty, przeklinali swoich, zawodzili pieśni pogrzebowe. Pospólstwo także nie wiedziało, co znaczył ten pokój nagły po wczorajszej walce, gdy dziś horodyszcze słabsze jużby się obronić nie mogło...

Wczoraj gwarny grodek olszowy, stał się milczący, zdawał pusty. Z okolicy ledwie gwar nie-

zrozumiały dochodził niekiedy z wiatru szumem; ozwał się róg wojenny i umilkł.

Tłumy się jednak nie rozchodziły. Obozowisko wróciło po nad rzeczkę, oparło o las jedną stroną i tak się na coś oczekiwać zdawało. Myślano, że na posiłki nowe. Lecz do zdobywania horodyszczka nie były one potrzebne, mieli nań siły aż nadto wystarczające.

Poturga nawet, co wczoraj w cud Boży nie wierzył i Bogu mocy poratowania oblężonych zaprzeczał, stał zamyślony, sam nie wiedząc co miał trzymać. Przepowiednia wczorajsza ojca Gedeona przychodziła mu na myśl jak groźba i mrówie po nim przebiegało.

— Teraz to — zawołał mimowolnie Belina — zdałby się ów zachwalany Sobek Spytkowój.

Bartnik, który pod ścianą stał na uboczu, uśmiechnął się i nisko pokłonił.

— Niechno się trochę zmierzchnie — rzekł szepleniąc — jeżeli się nic nie odmieni, to się spuszczę z wałów i powlokę.

Nie zmieniło się nic do wieczora, krzątanie się, ruch, ciągle trwały na dolinie, a nawet powiększały. O mroku, szybko idący oddział nowy z lasu się wysunął, witany krzykami i z Masławowými kupami się połączył.

Ci co ludzi umieli poznawać po odzieży i broni, wołali, że to byli Prusacy. Wszebor też potwier-

dzał. Inni za pomorców ich mieli. Oddział ten osobno się położył obozem w pobliżu.

Horodyszczu na dziś nic się nie zdawało zagrożać. Rozstawiwszy czaty, starszyczna poszła do izby spoczywać.

Sobek zniknął o mroku.

Wieczora tego nie było rozmów ani sporów, wszyscy, gdzie kto padł, pospali się radzi, że oczy zamknąć mogą. Straże się tylko mieniały, budzono starszyczkę po kolei, szli jedni, pokładali się drudzy. Na horodyszczu cicho było aż straszno. Niewiastom zdawało się ciągle, jakby je miały znowu rozbudzić łuna i wrzaski.

Nadedniem starsi, którzy długiego snu nie potrzebują, poruszyli się wcześniej, młodzież jeszcze odpoczywała snem kamiennym, niekiedy przez sen wydając okrzyki wojenne, gdy stary Sobek zjawił się w izbie i ognisko zgasłe począł rozpałać, bo i sam się rozgrzać potrzebował.

Zastał go tu Belina i pospieszył ku niemu.

— Tyś to? — spytał.

— Jamci panie — jak widzicie! Tyle, żem po ziemi pełzając, zwał się cały.

— A przyniosłeś co?

— Jak nic! — westchnął pomięszany Sobek. — Pod same namioty się wkraść udało, a nic nie zdobyłem. Zdaje się, że nieprzyjaciela jakiegoś się spodziewają. A no kogo? zkąd! pochwycić niepodobna. Masława ludzie chodzili po obozie,

zapowiadając, że kupka jakaś nieznaczna się tu wlecze, że ją jak robaka po deszczu zdepczą.

Od wczoraj piwem lud poja, broni rzucać i kłaść się zakazano, a kupy się trzymać...

Sobek był widocznie zgryziony tém, że mu się wyprawa nie powiodła i tak jak z niczém powrócił. Spytano go, czy nie słyszał co o horodyszczu.

— Lekko oni sobie nas ważą — odparł stary — mówią, że wezmą kiedy zechcą, ani się o to troszczą. Pilno im teraz znieść nieprzyjaciela, na którego się zasadzili.

Poczęto tedy odgadywać, kto mógł być tym nieprzyjacielem Masława, który z Czechami uniikał walki. Godzili się na to wszyscy, iż to być musiała jakaś garść rycerstwa polskiego.

— Jeżeli to ci, na których myśmy trafili — dodał Wszebor — którym stary Trepka dowodzi, zaprawdę zyszczemy tylko tyle, że nim sami klęskę poniesiemy, na ich rozbicie i rozproszenie oczy nasze patrzeć będą musiały.

Wszyscy posmutnieli.

— Ale nie może być — dodał Doliwa — ażeby oni ze szczupłą garstką, ważyli się na tłum ten porywać.

— A jeżeli o nim nie wiedzą i wpadną w zasadzkę a tłum na nich się porwie? — rzekł Lasota.

Nie odpowiedział Wszebor rychło.

— Bóg niech strzeże — odezwał się ponuro w końcu. — Mężni to ludzie i rycerstwo najprzedniejsze, ale jeden na dwustu lub więcej stać nie może, chyba w bajce. Gdyby najlepiej zbrojny był i największego serca, dziesięciu powaliwszy, w końcu sam paść musi.

Westchnienia z piersi się wyrывały.

— Miałże Trepka ciągnąć w tę stronę? — pytali, patrząc na Wszebora.

— Jako żywo, w myśli tego nie mieli, owszem, gđym ich o to prosił, odmówili mi.

— A jakież inny oddział mógłby być, gdyby nie oni? — zapytał Lasota — o żadnym dokola nie wiemy, ani być może.

— Wszakże i o Trepce nie mieliśmy wiadomości — rzekł Doliwa — a przecie się znalazł? Dlaczegożby i inni tak samo nie mieli się tu zabłąkać? Trudno tylko przypuścić, aby kto szedł nieopatrznie i nie wiedział o Masławie, lub wiedząc o nim, chciał się z nim mierzyć. Policzcie co tam tego mrowia.

— Czerń jest! — rzekł Belina.

— A między czernią są i lepiej zbrojni, których Masław dobrał i nauczył — mówił Doliwa. — Sama ta tłuszcza nie wieleby mogła, a gdy wojaków poprze — straszną będzie.

Tak rozprawiali smutni, Sobek z głową spuszczoną wycofał się, mruczając, nierad z siebie. Radość i otucha powzięta zrana zmieniała się

w obawę. Męczeństwo obleżonych przedłużało się, spodziewać się polepszenia losu, oswobodzenia, nie śmiał nikt. Na sercach było ciężko. Nie mówili sobie co myśleli, lecz z oczów czytali straconą nadzieję. Długoż się jeszcze miała przeciągnąć ta niepewność i oczekiwanie??

Wieczór cichy, spokojny, mroźny, zwolna zstępował w dolinę, niebo się na chłód wyiskrzało, gwiazdy wschodziły wesole, w dali znowu znane zapalały się ogniska i dym z nich słupami podnosił się nad lasy... Gwar jak z ula słychać było od obozowiska, rżenie koni i trąbienie w rogi. Niebo ciemniało, gwiazdy błyszczały coraz jaśniej, noc nadeszła bezsenna.

III.

Nad ranem czatowały straże na ostrokołach, czy się gromady nie ruszą ku horodyszczu — stały one w miejscu jak wczoraj, czekając rozkazu, skupione w porządku. Jeźdźcy trzymali konie przy sobie; zawczasu je pobrawszy od stogów, kilku wysłynców w pędzie rozbiegło się na różne strony. Dzień wszedł jasny i mroźny, szronem okrywając drzewa i trawy, w miarę jak słońce podnosiło się ku górze, biała jego powłoka znikiała.

Na gródku wszystko stało w oczekiwaniu trwożném, tylko O. Gedeon wyszedł ze mszą o zwykłej porze, a dokonczywszy ją, klął przed ołtarzem i ze złożonemi rękami długo się modlił.

Tu go jeszcze na modlitwie zastał okrzyk,

którym się pomosty całe i okopy horodyszcza rozległy.

W dali postrzeżono występujące z lasów i rozwijające się szeroko, naprzeciw gromadom Masława wojsko jakieś.

Możnaż je tak nazwać było?

Był to raczej silny oddział zbrojnego rycerstwa, w którym ci, co stali na wałach, łatwo swoich poznali. Liczbą nie mógł się on mierzyć z temi, których Masław za sobą prowadził, ale rycerstwo te inaczej, świetniej, niemal z cudzoziemska wyglądało, szło tak jakby za procesją, w powadze wielkiej i majestacie.

U Masława lepszego żołnierza, napozór pokąźnego, zaledwie paręset było, reszta tłum z pałkami i obuchami, orężem lichym w sukmanach, bez żadnej zbroi i żelaza, straszny był chyba mnogością swoją.

Oddział, który powoli z lasu się wysuwał, składał się cały z ludzi od stóp do głowy zbrojnych, w znaczniejszej części konnych. — Lasota i Belina poznali na jedném skrzydle, po uzbrojeniu i dzidach z małemi trójkątnemi chorągiewkami, po czapkach okutych, nad któremi gdzieś kity powiewały, niemieckie wojsko jakieś.

W pośrodku głównego pułku widać było gromadkę, w której się wodza domyślać było można. Kilkunastu jezdnych w błyszczących pancerzach, z tarczami na ramionach, w pasach nasadzanych,

kołem stali przy jednym, którego za niemi trudno dostrzedz było. — Tu powiewała chorągiew nowa z godłem jakimś malowaném. Na wierzchu jój krzyż połyskiwał złocisty.

Obu starym lży się z oczów potoczyły na wspomnienie czasów Bolka wielkiego, gdy rycerstwo podobne na tysiące się liczyło. Teraz została tylko ta garść niedobitków.

Gdy z lasu wyciągając szeregi owe coraz się pomnażające, szerokie zataczając półkole, jak do boju się ustawiać zaczęły, ruszyli się też Masławowi, zatrąbiono w rogi, widać było jak sam ów kneź nowy, biegał pomiędzy kupami, naznaczając miejsca, gdzie która stanąć miała...

Liczbą chciał zastraszyć nieprzyjaciela, ludzi rozsypał na wielkiej przestrzeni, wyciągnął ich, jakby chciał szczupłą garść przeciw stojącą pochłonać, rogi odzywały się dziko a coraz głośniej i gromady kołysały się jak zboże na polu, gdy je wiat ugina. — Lecz tłum ten naprzód się nie ruszył.

Stojąca zdala żelazna ściana była jeszcze nieruchoma, milcząca. Po za nią z puszczy wypływały coraz nowe szeregi, a nieme jak pierwsze, ustawiały się za niemi.

Trąb ni rogów nie słyhać tam było, ludzie stali jak posągi śpiżowe. Ze strony Masława wrzała się poczęła, rosła, podnosiła się, jakby nieprzyjaciela nią chciano zastraszyć; ludzie podno-

sili pałki i grozili, wyzywali i śmieli się — lecz wrzaski te rozbijały się o żelazną ścianę...

Drgnęły naostatek szeregi rycerskie, konie się poruszyły, dzidy pochyliły, powiały kity, zaszeleściła chorągiew, zachrzęszczały zbroje, i cały ten zastęp jako jeden mąż sunął się, zrazu wolno, potem coraz szybszym krokiem, wprost na sam środek gromad, gdzie Masław miotając się dowodził i do boju zagrzewał.

Ciążba w dolinie niby się też dźwignęła, ale lękliwie i leniwo.

Wtém żelazni, ze wzgórza malego spuściwszy się ku niej, spadli całym ciężarem swym i pędem na tłum, który nacisku nie strzymał, i rozpierzchł się, rozbryznął na wsze strony, przy pierwszym starciu.

Nie długo jednak trwał ten popłoch, Masław ze swemi stawił czoło. Zwarli się z obu stron na siebie przypadając, splekli, zmięszali, i ręczna walka mieczów i toporów, dzid i pałek poczęła.

W środku widać było Masława, który sam mężnie do boju wystąpił; z mieczem podniesionym godząc ku temu miejscu, gdzie wodza przeczuwał.

Rycerstwo go zewsząd osłaniało. — Trzy razy rzucał się tu Masław, i zasypywany ciosami mieczów cofać musiał, za każdą razą wracając z pozbieranymi towarzyszami... Pierwszy szereg ludzi jego padł cały od mieczów i dzid rycerzy, drugi po

nim zajadłe szedł do boju, lecz i ten już łamał się, padał i szczyrby widać w nim było.

Wpółrodku przy wodzach bitwa się prawdziwa toczyła, na dwu skrzydłach mniejsze zbrojnych oddziały wpadłszy na piesze pospółstwo, od razu je rozproszyły, gnały do lasów, siekły i mordowały. Tu popłoch jakiś straszny, bronić się nawet nie dawał, tłum, który na oko tylko powiększał kupy knezia Płockiego, niemal cały zbiegał do pobliskich lasów, zostawując wodza swojego z jego żołnierzem, mało co liczniejszym nad zastęp niemców i polaków.

W tych czuć i widać było wojaków starych, nawykłych iść na nieprzyjaciela, jak na wesołe łowy, gdy młodzi nowo zacieężni Masława, w pierwszym polu nie dostawali im kroku. Skupiali się koło niego, bili zajadłe, namiętne, uchodzili nagle, powracali zrozpaczeni, a męztwo zimne żelaznych ludzi, brało widocznie górę.

Gdy gromady w lasy z krzykiem rozbiegły się i skryły, a główne dwa oddziały toczyły jeszcze bitwę zajadłą, której końca trudno przewidzieć było, na horodyszczu Wszebor, Toporczyk, Kaniowa, co było młodszych a gorętszego ducha, nie pytając nawet starego Beliny, pozbiegali ze swych stanowisk.

Strzymać ich było niepodobna.

— Na koń! — krzyczał Wszebór — weźmiemy ich z drugiej strony — na koń, w pomoc naszym.

— Na koń! — rozległo się z końca w koniec horodyszcza.

Co żyło, biegło, skakało z pomostów, rwało się do szop po konie, bo od rana wszyscy mieli na sobie kaftany i zbroje.

Z końmi uwinęli się rażno, nie bardzo je strojąc, nie było na to czasu — lada kawał sukna i uzda starczyła.

Belina, który na to patrzył, nie mówił nic, więc jakby pozwalał — oprzeć się nie mógł, serce mu też biło ku swoim. Tomko, syn jego, przyłączył się do wycieczki; odbito co najrychlej wrota i ledwie staremu udało się cząstkę jakąś ochotników powstrzymać, aby horodyszcze nie opustoszało.

Masławów oddział zwarłszy się w dolinie z polskiem rycerstwem, tyłem był zwrócony do horodyszcza, nie spodział się też pewnie wycieczki, i dopiero gdy nad karkami jego tentent się dał słyszeć i okrzyki, część jego się zwróciła. — Postrzegli, że nieprzyjaciela, choć nielicznego, mieli z drugiej strony.

Wszebor, Mszczuj i ich towarzysze wpadli na tylne szeregi, nim się ku nim ozas obrócić miały. Masław wzięty między dwa żelaza, nie uszedł z placu, trzymał się uparcie, odcinał wściekle.

Widać go było z zakrwawionym mieczem, z rozpaloną twarzą, biegającego od jednej do drugiej gromadki swoich, gdzie ludzie słabli i po-

parcia było potrzeba. Wszebor, który nań czatował i ku niemu zmierzał, ścigał go napróżno, sam chcąc się z nim potykać. Rozdzielał ich jeszcze szereg, broniący się i osłaniający swojego dowódcę.

— Ty psie ryży! — krzyczał z całego gardła Doliwa, podjeżdżając z dzidą na Masława. — Sobako ruda! chodź tu, nie tchórz, zbliź się, popróbujmy się z sobą...

— Zmijo jakaś — odparł Masław, postrzegłszy go — mam ja ci zapłacić za służbę! Chodź lisie śmierdzący, co się do kurnika podkradać umiesz! Chodź! Zobaczym, czy się bić potrafisz tak, jak pęlsać.

— Chodź, pastuszy synu! Chodź — odpowiedział Doliwa — gdzieś to trzodę zostawił?

— Czekaj parszywcze! dam ja ci biczem pastuszem! — wrzeszczał, nacierając Masława.

Łajali się tak i becześcili przedzierając ku sobie, lecz ile razy Masław ku Wszeborowi się zwracał, napierano go z tyłu, odcinać się musiał. Doliwa wyzywał ciągle.

— A nuże! a nu! ślimaku! co to ci tak nie-
sporo. — Chodź psiarczyku do mnie — czekam.

Wydobyszy się w końcu Masław, stanął przeciw niemu, ale dzidy już okutej nie miał, tylko obłamany jęj kawalec, który z całych sił cisnął na Wszebora i tylko go po ramieniu drzazgą po-

drapał. Wszebor oszczepem rzuciwszy, konia mu ranił w szyję.

Zbliżyli się już tak ku sobie, że walka na miecze tylko dalej iść mogła. Masław miał obo-sieczny, szeroki, ogromny miecz saski, którym oburącz zmierzył, chcąc ciąć w szyję Doliwę. — W téj chwili Wszebor swoim zamachnął tak, iż cios odbił. — Miecz Masława zadźwięczał, jakby jęknął, wywinął mu się z dłoni, zwisnął, lecz nie wypadł z ręki. Klnąc pochwycił go mazur natychmiast i konia naparłszy powtórnie, zamierzył się do cięcia.

Stało się to właśnie, gdy żwawszy Wszebor już go swoim żelazcem w bok uderzył, Masława cięcie straciło siłę, jednak padłszy na kark Wszebora, krew z niego dobyło.

Walczyliby dłużej, bo Doliwa nie czuł krwi utraty, lecz z tyłu Masławowi pierzechali, naci-skani przez polaków i niemców — obejrzał się, słysząc ich krzyki, uląkł, widząc, że ze zbyt małą garścią pozostał, zawrócił nagle i, nim Wszebor w pogoń się mógł puścić, znikł mu z oczów za tłoczącą się zgrają. Pod nogami téż konia leżały trupy i ranni, tak, że ścigać nie mógł Doliwa i oszczep tylko na przepadle, za nim puścił.

Zamięszanie, walka ostatnia ogarniętych szalem prawie, straszliwe były; żelazne rycerstwo nawet miało się dobijając, upojone krwią, nie oszczędzając nikogo...

W dolinie widać już tylko było uchodzących konno i pieszo, pojedynczo i garściami, pogonie i rozpaczliwe starcia, w których Masławowi żołnierze padali. Niektórzy z uciekających, ranni, zsuwali się z koni na ziemię, inni wieszali im na szyjach, niektórzy pieszo uchodzili krwią brocząc, przyklękając co kroku, podnosząc się, czolgając, póki nie padli twarzą o ziemię raz ostatni.

Masław z temi, co go jeszcze otaczali, przebił się z pośrodka rycerstwa, ogromnym głosem rozpaczy i gniewu pełnym nawołując ku sobie, nakazując trąbić w rogi i gromadzić rozpierzchłych. Udało mu się niedobitki pościagać...

Jeszcze raz uderzyli na zwycięzców, których liczba tak była stosunkowo nie wielka, iż mazur mógł się jeszcze na nią pokusić. Ostatni ten wysiłek nie trwał długo, świeży oddział z horodyszcza z dawnemi zarazem bojownikami, z taką zapalczywością rzucił się na mazurów, iż kupka ta rozsypała się i pierzchnęła... Widać było, jak Masław sam konia w tył zerwał, zawrócił, puścił się ku lasom, a na ten znak odwrotu, co żyło jeszcze, poczęło uchodzić, miotając przekleństwa i groźby.

Odbiegłszy stai kilkoro, kneź zatrzymał się na pagórku i podniósł miecz krwawy.

— Nie zostanie z was ni nogi! — krzyczał — zaleję was, zasypię — nie daruję życiem nikogo. Wróć ja do was! znajduj ja was! Z niemcy waszemi razem i z psami wisieć będziecie na jednej gałęzi!

Wrąc z gniewu, urywanemi wyrazy, namiotawszy przekleństw, zwrócił się wreszcie, widząc, że się za nim puściło kilku i w las uszedł ze swemi.

Zwycięztwo zostało przy rycerstwie, które znużone podniósłszy ręce, poczęło wołać na pojowisku:

— Hosanna!

Dopiero teraz mógł się Wszebor przybliżyć i przypatrzeć tym mężnym rycerzom, którzy w tak szczupłej liczbie na Masławowe gromady się wazyli...

Większa część wojowników posiadała z rannych koni i popadała na ziemię, inni zdejmowali żelazne hełmy ze skroni i chowali miecze, z których krew ciekła... Wszystkim twarze pałały jeszcze bojem i jaśniały zwycięstwem.

Wszebor zbliżał się ku nim, gdy nagle rozstąpili się na koniach stojący jeszcze w pośrodku i z poza nich ukazał się oczom jego — królewicz, a teraz król Kazimirz.

Polacy i niemcy kołem go otaczali winszując dobrej wróżby zwycięztwa.

Z oczyma spuszczonemi ku ziemi, jakby się modlił po cichu lub zadumał, Kazimirz stał nie okazując twarzą wielkiej radości.

Oblicze jego było piękne, młodzieńcze, lecz już próbami przecierpianemi, ciszą klasztorną, zawodem doznany od ludzi, smutkami wczesne-

mi wielu — odarte z wyrazu młodzieńczego wesela i swobody.

Był przedwcześnie dojrzałym i jakby zestarzałym. Królewski majestat miał na twarzy, chrześcijańską obleczony pokorą, wielkim spokojem ducha i męztwem.

Słusznego wzrostu, postawy zręcznej, gibki i silny, Kaźmirz twarz miał nieco bladą, cerę śniadawą, czarne wyraziste oczy, długimi ocienione rzęsami, włos ciemny w puklach spadający na ramiona.

Rycerski to był mąż, ale w rycerzu wodza i króla zarazem widać było, tak wielką obleczony powagą, smutny prawie stał na tém pobojowisku pierwszym, po pierwszym swém zwycięstwie.

Wpółśród niemieckich wojowników i polskiej swojej drużyny wiernej, najmłodszy może, najbardziej pańsko wyglądał, królewsko, choć najmniej starał się o to.

Strój jego był wspaniały acz skromny. — Na frankońską suknię krótką, wdziany miał pancerz naszywany wielkimi blachami żelaznymi, które jasno na piersi jego świeciły; pas rycerski drogiemi kamieniami sadzony, utrzymywał miecz obosieczny, i tuż przy nim na łańcuszku mniejszy, ozdobny mieczyk z rękojeścią złocistą się zwieszał. — Na nogach także żelazne blachy miał naszyte, a u lewej widać było długą, śpiczastą ostrogę.

Tuż za nim stojące młode chłopię, trzymało piękną tarczę, w której środku śpiczasty kolec i otaczające go wieńce złotem połyskiwały. Na brzegach też jej gwoździe złote na tle szkarłatnym jak gwiazdki siedziały.

Z wielkim mieczem obosiecznym, oznaką pańskiej władzy, stało drugie pachole.

Na głowie hełm miał pozłocisty bez pióra, z żelazcem, które część twarzy i nos okrywało, lecz teraz właśnie zdjął go Kaźmirz i czarne pukle włosów świeciły połyskując od słonecznych promieni.

Na szyi dostrzedz było można u góry na łańcuszku złotym, krzyżyk z relikwiarzem, który odjeżdżającemu, wuj w Kolonii dał z błogosławieństwem na drogę.

Oczy Kaźmirza padły były właśnie na szerokie, rupami zasłane pobojowisko. Widok to był dla rycerzy, co się na placu ostali zwycięzko, radosny może, ale dla ludzkiego serca smutny.

Po całej dolinie aż do lasu samego, widać było eżące kupami i pojedynczo zastygłe już pobitych ciała, pokrwawione, poszarpane, ze sterczącymi strzałami i oszczepami w piersiach rozbitych.—Gdzieś wśró d nich dogorywający jeszcze usiłowali się porwać i bezsilnie opadali na ziemię.— Wśró d ciał tych leżały konie pobite, stały pokaleczone, pasły się zbiegłe grzebiąc z obojętnością zwierzęcą przymarzłe i przyschłe trawy na łące.

Z tych gromad tak licznych nie zostało nic — oprócz tych, których w ucieczce pozabijano. Prusacy pierwsi spróbowawszy z wrzaskiem się rzucić przeciw męzom żelaznym, odparci, pierzchli całym oddziałem — i nie powrócili więcej. Wielu z nich potopiło się w rzeczce wezbranėj, pogrzęzło na trzęsawisku, z którego dobyć się nie mogąc, pomordowani zostali.

Ze strony Kaźmirza jeden też prawie całym nie został, ranni, potłuczeni, krwawi byli wszyscy, ale nie zginął żaden. Broniły ich pancerze i tarcze. Zsiadali teraz z koni, dzidy połamane wbijając w ziemię, a hełmy ciężkie zdejmując z czoła.

Wszebor ujrzawszy tego pana, którego był towarzyszem w pierwszych latach, później dworzaniem i sługą, rzuciwszy konia, radośnie pobiegł ku niemu. — Na twarzy jego malowało się szczęście i nieopisane wesele. Dla niego zjawienie się króla, było, jakby zapewnieniem zwycięstwa! Kaźmirz zdala już zdawał się go poznawać, gdy Wszebor do nóg siedzącemu jeszcze na koniu przypadł z okrzykiem, obejmując je.

— Tyżes to, miłościwy panie! — A co za dzień szczęśliwy!

Wzruszenie mu mowę odjęło, zakończył okrzykiem radosnym.

Nadbiegali już Mszczuj, Kaniowa, nareszcie Toporezyk, szczególnież Kaźmirzowi ulubiony,

wszyscy z wołaniem wielkiem, z radością niezmierną, z twarzami jasnemi, obstępując go, chwytając za ręce, wykrzykując...

— A witajże nam! witaj! miły hospodynie nasz!

Każmirz słysząc i widząc te oznaki wesela, zarumienił się wzruszony, łza mu się zakręciła w oku, ręce rozpostarł.

— Witajcie, witajcie dzieci moje! — zawołał. Daj Boże, aby dzień ten, istotnie lepsze nam i królestwu temu zwiastował. Amen...

— Panie! ty jesteś z nami! — w uniesieniu krzyczał Toporczyk — ty z nami i szczęście będzie z nami. Ciebie nam brakło! Wszystko ginęło bez pana i głowy! Teraz się zmieniło wszystko, powrócą dni dobre!

— Daj Boże — ale nie rychło! dorobić się ich musimy! — rzekł Każmirz poważnie. — Wszystko w Bożej mocy...

Okrzyki i wrzawa nie ustawały. Radość zdawała się i była powszechną, choć, ktoby się pilniej wpatrzył w twarze tych, co Każmirza otaczali a do serca ich zajrzał, zobaczyłby tam razem trwogę, zgryzoty i nieufność.

Część tych, co się teraz do króla garnęli, miała na sumieniu jego wygnanie; obawiali się zemsty pana i nieprzyjaciół swoich, pamiętali swe winy i nie wierzyli, aby król młody miał o nich zapomnieć. W samym obozie Każmirza, na zamku

Beliny, mnogo było tych, których głos powszechny obwinał, że się Masławowym zabiegom uwieść dali. — Ci trzymali się zdaleka, patrzali nieufnie, i wąpili o przyszłości.

Radość więc była z obawą zmieszana, z zazdrością przeciw tym, co wierni Kaźmirzowi, teraz się o zapłatę upomnieć mogli.

To samo rozdwojenie, które było przyczyną wygnania syna Ryksy, już w obozie jego, stłumione czuć się dawało.

Wśród radości na pobojuwisku, na chwilę może zapomniano dawnych nienawiści i swarów, lecz jutro z pozostałych nasion odrodzić się one mogły.

Na Olszowem horodyszczu patrzącym na zwycięstwo, serca rosły. — Nie wiedzieli jeszcze, kto był przez Boga zesłanym wybawicielem, ale cud przez pobożnego zapowiedziany kapłana, już się ziścił.

Co żywo na oścież rozwarło wrota... Belina ze starszyzną zaledwie teraz dowiedziawszy się o Kaźmirzu, chciał biedz do nóg jego.

Zbierali się wszyscy z pokłonem i dziękczynieniem, gdy Poturga wielce frasobliwy, aby się na nim też nie ziściła przepowiednia O. Gedeona, przyodziawszy się biegł do niego, chcąc kajać się, przebłagać i odwrócić co mu groziło.

O. Gedeon razem z Beliną zbierał się właśnie wychodzić przeciw królowi, gdy Poturga wylękły,

zaplakany do nóg mu padł i objawszy je, wołać zaczął.

— Ojcze! na miłosierdzie pańskie — winienem! zgrzeszyłem! — Nie karzcie mnie, oto się kajam i spowiadam przed wami, miłosierdzia prosząc. — Zlitujcie się nademną!

Kapłan cofnął się zdziwiony.

— Czego żądacie odemnie? nie rozumiem was? — odparł łagodnie.

— Jak to? ojcze! wyście mi przepowiedzieli, iż cudu dożyję, a sam tylko go nie doznam na sobie, dla tego, iż weń wierzyć nie chciałem.

O. Gedeon stanął zdumiony, nie pamiętał już wyrazów wyrzeczonych w zapale i uniesieniu.

— Jam to mówił? ja? — zapytał, oglądając się po przytomnych.

— Tak jest, ojcze! wyście to rzekli! — odezwał się głowę schylając Belina — Rzekliście!

— Nie wiem! nie pomnę! chyba duch jakiś mówił przezemnie! — odparł Ojciec Gedeon oczy spuszcżając. — Nie pomnę! Niech Bóg ci grzech twój przebaczy! Idźcie w pokoju! Jam człowiek. Bóg tylko mocen jest zmienić los nasz. Modlić się mogę i modlić będę.

Poturga chwycił za nogi kapłana, jeszcze nie rad odpowiedzi. Nie puszczał odchodzących, rozbijał się, ręce łamał, płakał, napróżno się go uspokoić starano.

Działo się to właśnie u wrót otwartych, po

nad któremi na stolowaniu leżał stos kamieni do obrony przygotowany. — Belina dawał znak, aby iść dalej, spiesząc na powitanie, gdy wrzask się dał słyszeć z góry, pękła deska i głąz ogromny z hukiem stoczył się z powały — pierzchnęli wszyscy, rozstępując się. Poturga, który klęczał, nie miał czasu się zerwać, głąz spadł nań, trafił na głowę i zabił go na miejscu.

Stanęli wszyscy przerażeni, pokłękł przy nim Ojciec Gedeon, chwytając głowę, która już trupią okrywała się bladością.

Zaczęli modlić się po cichu. Byli to przypadek czy palec Boży? Sam kapłan, który wyrzeczony w natchnieniu groźby zapomniał, nie umiał tego wytłumaczyć. Zapłakał nad zabitym.

Odniesiono zaraz zwłoki nieszczęśliwego, aby widok ich radosnej nie zatruwał chwili.

Belina w odświętnych szatach, wraz z synem, ze starym Lasotą i pozostałymi na horodyszczu władykami, szedł na powitanie pana. — Wszyscy oczy mieli zwilżone, uśmiechające się usta, niewysłowioną radością biły serca wyzwolonych.

Każmirz już z konia zsiadłszy, obozować się zabierał na pobojuwisku, nie chcąc na oblężeniem długim wycieńczone horodyszczce, z dworem swym ciągnąć. Wiedział już co tam wycierpiano, chciał by wypoczęli oswobodzeni.

Gdy Belina ze swemi przyszedł zapraszając do grodka, Każmirz już był przybycie swoje na dni

następne odłożył.— Chciał też być razem z towarzyszami swemi i dzielić z nimi niewygody i trudy. Niemcy i polacy już się na pagórku tym samym, który Masław wprzód zajmował, z namiotami i końmi rozkładali.

Czasu też na gnuśny spoczynek nie było. — W jednej bitwie pokonany Masław, nie mógł się poddać losowi swemu. Siły miał jeszcze znaczne, sprzymierzeńców, którym ludu nie brakło, wiedział, że Kaźmirz był słabym, i nie miał się na kim opierać. Był to początek walki, lecz do końca jej, odzyskania królestwa, przywrócenia ładu, ukrócenia buntu, obalenia bałwochwalstwa zwyciężkiego, wiedzieli wszyscy, jak było daleko.

Sam charakter Masława, znany tym, co z nim na dworze razem żyli lat wiele, zapowiadał bój długi i krwawy.

Powrót Kaźmirza dla sprawy przywłaszczy ciela stokroć był niebezpieczniejszym, niż zgromadzone przeciw niemu siły. Osobą swą i imieniem król stał za zastęp cały. Około niego teraz skupiać się musieli, nawet ci, co w obłędzie dawniej, występowali przeciw niemu, ci co z Masławem razem do wygnania go się przyczynili.— Widok sam tego odważnego młodziana, wnuka Bolesławowego, który z niewielką garścią ludzi, wchodził do spustoszonego i zwichrzonego kraju, obudzał radość, zapal, męztwo.

Po drodze, z pustych dotąd okolic, jakby ou-

dem wychodziły ocalone gromady, ludzie wyblekli, niewiasty odarte, dzieci wychudłe, wyciągając ręce, zbawcę w nim witali.

Serca zwątpiałe nabierały męztwa... Po wiekach wielu, na kartach kronik odbrzmiewa ten okrzyk, którym cały kraj witał naówczas, jakby głosem jednym młodego króla.

— A witajże nam! witaj! miły hospodynie!

Pomimo tych wróżb, téj radości, która była przecuciem lepszych dni, walczyć trzeba było o pokój, o oswobodzenie z nieprzyjacielem dziesięćkroć liczniejszym, niż była garstka wiernych co się do króla garnęła.

Gmin obawiający się pomsty, gotował do rozpaczliwej obrony, Masław lękający się kary, musiał walczyć w życia obronie, bo dlań przebaczenia nie było. — Kaźmirz szedł w sprawie krzyża i chrześcijaństwa; Masław w imie konającego pogaństwa, spadku wieków, który lud bronił zjadle. Bój musiał być strasznym, śmiertelnym, bez przebaczenia i miłosierdzia.

Czuł to król spoglądając na pobojuwisko trupem usłane, dla tego zwycięstwem cieszyć się nie śmiał, bo ono było zaledwie niepewnym zadatkiem przyszłości.

Zaczynano rozbijać namioty, Kaźmirz stał otoczony swojemi, rozglądając się po okolicy, gdy Belina, O. Gedeon, Lasota i inni posłowie z horodyszczą, z odkrytymi głowami przyszli do kolan

się pańskich pokłonić. Podnieśli potem ręce do góry, wołając:

— Witaj! miłościwy panie! Witaj zbawco nasz!

Kapłana ujrawszy król, ruszył się natychmiast ku niemu, schylając do ucałowania ręki jego z pokorą, i prosząc o błogosławieństwo.

Rozrzewniony starzec, krzyż zakreślił nad pochyloną pana głową.

— Bóg zwycięstwa niech będzie z tobą — zawołał.

Po nim przystąpił Belina do ręki pańskiej, który zawsze do wiernych sług królowej i syna jej należał.

— Dzieckiem cię widywałem, panie — odezwał się — a oto mi dziś przychodzisz aniołem wybawicielem.

Bez ciebie żywot mój, wszystkich moich, stare domostwo i ubóstwo moje całe, stałoby się tój czerni łupem. Bądź błogosławiony panie!

Napróżno potem zapraszał stary króla pod ocalony dach dla spoczynku, Kaźmirz zawczasu objawił wolę swą, aby obleżeni wolni byli od wszelkiej załogi. Powtórzył więc Belinie obietnicę późniejszego przybycia.

Cisnęli się i otaczali Kaźmirza wszyscy, całując ręce i kraj szaty, nie mogąc się nasycić widokiem tego pana, który przynosił krajowi nadzieję pokoju... Wszystkie te oznaki przyjmował młody

król z pokorą i skromnością wielką, niemal z boleścią. Mimowoli na myśl mu przychodziła ta noc straszna, gdy z pod ojców swych dachu, jak zbieg i tułacz, gnany przez własne dzieci, ucho-dzić musiał z sercem ściśniętém.

Nie jedno czoło, z tych co się przed nim schylało, rumieniło się także téj przeszłości wspomnieniem.

Po chwili król zobaczywszy namiot swój rozbity i wiernego sługę Grzegorza *) u drzwi jego, wymknął się z pośrodku otaczających, wszedł do namiotu i nim zasłona za nim zapadła, widzieli stojący w pobliżu jak padł na kolana, Bogu dziękując.

Na straży pańskiego namiotu stanął mąż, na którego wszystkich się oczy zwracały, który się jak znajomym dawnym uśmiechał wielu i do niego przychodzili téż witać się starsi nawet, choć pod-żyły już człek, cale niepocześnie wyglądał. Był to Grzegórz, wierny sługa pański od dzieciństwa. Siwiejący już teraz, pamiętał na dworze dawne czasy, niegdyś Kaźmirzowi był niańką, pierwszy go sadzał na konia, łuk mu chłopięcy naciągał, strzelać uczył, mały mieczyk przypasywał, ptaki dlań hodował.

Przywiązał się do królewica jak do własnego dziecięcia i już go nie opuścił. Człek to był prosty,

*) Grzegórz wspomniany u Długosza.

niepozorny, milczący, ciężki, nieobrotny, ale bacznego na wszystko oka i wielkiego serca.

Gdy królowę Ryksę wygnano z kraju, a Maśław począł szczuć i podżegać rycerstwo i możnych przeciwko jej synowi — Grzegórz płacząc, trwał przy przesładowanym i znękanym panu swoim. Gdy potem i jemu uchościć przyszło, poszedł za nim na tulaństwo, powłókł się do klasztoru, i, choć zamknięcia w murach znieść nie mógł jak niewoli, dał się z nim w benedyktyńskim monasterze uwięzić.

Gdyby Kaźmirz oblókł był suknię zakonną, Grzegórz wprosiłby się pewnie za braciszka i wdział czarną oponę, ażeby z nim być i przy nim. — Kaźmirz płacił mu tę miłość zaufaniem zupełnym i sercem niemal dziecięcym.

Gdy z klasztoru wywiedziono napowrót syna Ryksy na tron dziadowski, Grzegórz uradowany jak wierny pies poszedł za nim. — W bitwie stał zawsze u jego boku, z mieczem gotowym na odparcie ciosu, któryby wychowawcowi zagrażał, na noc kładł się w poprzek drzwi, aby nikt nie wszedł do niego, we dnie nie opuszczał też progu.

Starszyzna i rycerstwo otaczający Kaźmirza, szanowali Grzegorza, który choć niczym nie był, w istocie stał za wszystkich. Stary, gdy go o co proszono, milczeniem zbywał, do niczego się wdawać nie chciał, pokornie się usuwał przed drugimi, lecz gdy mu się co wydało szkodliwym,

umiał po swojemu przeszkodzić i niedopuszczyć.— Często niewidzialny, zawsze był tam gdzieś w pobliżu, gdzie Kaźmirz się znajdował; ubogiego jeszcze pana on był zarazem skarbnikiem, płatnikiem, szafarzem, często posłem, a odźwiernym i podkomorzym od rana do nocy. Nie pysznił się tępem weale, władcykom z poszanowaniem ustępując z drogi i z miejsca.

Ci co dawniej znali Grzegorza, teraz widząc go znowu, kłaniali mu się nisko, co w nim tajony czasem śmiech obudzało. Człowiek to był co kochać umiał i nie więcej, o to mu szło, aby mógł bez przeszkody czuwać nad swym kochaniem.

Gdy król się w swoim zamknął namiocie, ci co przybyli z horodyszcza, poczęli się swobodniej rozglądać po twarzach królewskiego orszaku.— Sciskali się i witali jedni, drudzy na widok dawnych przeciwników odwracali z czołem zamarszczonem.— Okrzyki słyszeć się dawały, imiona i pozdrowienia.

Wszebor znalazł Samka Dryję, Toporezyk ojca swego, inni braci i krewnych a powinowatych.

Radości nie było końca, ale i smutek niejedną przeczytą się sprawdził. Dowiadywano się o zabitych, o popędzonych w niewolę.

Z Kaźmirzem razem przybywał stary Trepka i wszyscy ci, których Wszebor znalazł na obozowisku w lesie.— Inne też błąkające się oddziały

przyłączyły się w drodze, zasłyszawszy o przybyciu pana.

O kiju z przewiazaną głową, stał tu też i Spytek, nieco podleczony z ciężkich ran swoich, któremu wśród dawnych nieprzyjaciół ciężko się obracać było; tym bowiem, co go uratowali, Trepce i królewskim zwolennikom, pamiętał stary — własne swe winy.

Wojewoda Topor ściskał syna po długim niewidzeniu, oplakawszy już zgon jego. Janko należał do tych, co niegdy odepchnięci od dworu, teraz poszli szukać króla po krajach niemieckich i umieli go skłonić, znaglie do powrotu.

Chwili téj szczęśliwój brakło tylko, ażeby nad nią świeciło jutro równie szczęśliwe, i nie groziła jej zmiana. Cieszyli się wszyscy, a wśród radości zasepiały czoła trwogą — co jutro będzie?

Przyjaciół i nieprzyjaciół Belina na horodyszcze dla spoczynku zapraszał, choć nie bardzo ich miał czém ugościć. — Ciągnęli z nim niektórzy, inni woleli zostać po namiotach przy królu.

Wprzód jeszcze, nim gospodarz sprosił gości, Sobek jakimś przecuciem wiedziony, przybiegł tu szukać swojego starego pana, choć w orszaku króla, przeciw któremu zawinił wiele, trudno się go było spodziewać. Nie omyliło go przecucie, Spytek stał sam jeden prawie z wozu zlazłszy, gdy bartnik do nóg mu upadł i natychmiast naglie począł, aby szedł do żony i córki.

I jemu spocząć było pilno, więcęj może niż żonę i dziecię zobaczyć, bo surowy dla ludzi, szorstki ze wszystkimi; z niewiastami, cale im nie okazując czułości, był Spytek twardszym jeszcze niż ze swą bracią. Znano go z tych usposobień, z tój dzikości i gorącej krwi, choć w rzeczy złym ani okrutnym nie był. — Mężny wojak, w domu tóż po wojennemu życie prowadził, rozkazywał, a ładu i posłuszeństwa przedewszystkiém przestrzegał. Drżało przed nim co żyło.

Nigdy może nie spotkały się w małżeńskim sojuszu dwie istoty mniej z sobą zgodne i dla siebie stworzone, jak Spytkowa i jój małżonek. — Stary był milczący gdy nie łajał, szczebiotania nie rad słuchał, w niewieście chciał mieć służebnicę milczącą. Marta lubiła mówić wiele, oczyma rzucać i zalecać się choćby dla zabawy, chciała po troszę tóż rządzić w domu, małżonkiem kierować z cicha... Wszystko to się nie udawało.

Ze Spytkiem wojna była niemożliwą, musiała ulegać, bo się lękała — i milczeć, bo nie słuchał.

Wiek tóż obojga nie bardzo szły w parze. — Stary wojak miał już pono do szczęściu dziesiątków, żona zaledwie trzeci kończyła.

Długo się nie żeniąc, bo nie miał czasu, Spytek na Rusi będąc, skusić się dał pięknym, załotnym spojrzeniom młoděj dziewczeczki, nad którą w życiu nie widział śliczniejszej.

Dostał ją łatwo u ojca, choć mimo jój woli,

bo wcale zań wychodzić nie życzyła. Nie zważano na lzy i dąsania. — Małżeństwo to późne ciężko pono Spytek opłacać musiał, lecz nie poskarżył się nigdy. Żony pilnował i trzymał ją w grozie. Kasię kochał po swojemu, a no do niej srogi żal miał, że chłopcem nie była, bo mu więcej dzieci pan Bóg nie dał. Dziecko więcej się go lękało niż kochało, bo od ojca oprócz groźb i łajania, rzadko posłyszało co innego.

Niewiasty na horodyszczu, na ową bitwę w dolinie, patrzyły przez cały czas jęj trwania. Hanna Belinowa wywiodła je z sobą, aby tęż ciekawość zaspokoily.

Trudno bo było utrzymać rozgorączkowane. Gdy walka się rozstrzygnęła, radość wybuchła tak wielka jak wprzódy była obawa. Padły wszystkie z okrzykiem na kolana.

Potém rozpierchły się na podwórku, pomostach, na dole i górze wszędzie ich było pełno. W tēj chwili zapomnienia, szalu, nikt nie zważał co się działo z niewiastami — dano im, albo one sobie dały zupełną swobodę.

Dopiero gdy się nieco uspokoiło, rozpierchłą gromadkę swą stara Belinowa, począwszy od czeładzi, zwoływać zaczęła na górę. Od rana o strawie, o napoju, o ogniu, o tēm co do życia było potrzebném, zapomniano.

Nagle twarze, głosy — wszystko się zmieniło. Cicha wiedzawno izba na górze, trzęsła się od śpie-

wów, chichotania i bieganiny. Zapomniano o wczorajszej trwodze śmiertelnój, nie myślano o jutrze, porządku, nawet powaga gospodyni utrzymać ich nie mogła. Wyrывało się z pod jej panowania cało to niewieście kółko jej podwładne, które wprzód tak potulnie się do niej garnęło.

Spytkowa zarumieniona, rozogniona, spragniona rozpytywania i rozprowadania, nie mając mężczyzn, z któremi by rozmowę wolala — zwracała się do płci swój — zatrzymując z kolei wyrывające się jej dziewczęta.

Żadnego jakoś przeczucia nie miała, aby mąż jej miał być tak blisko. Wiedziała od Sobka, że żył, lecz smutne jej przychodziły myśli, stary, porąbany, wśród niewygód obozowych, mógł umrzeć. Była prawie pewną, że go to spotkać musiało. Sobek obszernie jej rozpowiadał jak straszliwie był rannym, jak leżał bezwładny, nie spodziewała się weale, aby mógł przybyć z tém rycerstwem, a dowiedziawszy się o królu, któremu Spytek się naraził, tém mniej go tu przewidywała.

Na horodyszczu oczekiwano przybycia gości, niewiasty gotowały się witać, pytać — znaleźć przyjaciół, krewnych i znajomych. — Z tą myślą i Marta Spytkowa, jak mogła, przystroila się najpiękniej. Sama Kasi zaplótłszy kosy i wybrawszy suknię, jej kazała swe czarne pod czepiec biały poukładać włosy i pomagać sobie do ubrania. — Dobyto suknie ocalone, klejnoty, łańcuch na szyję,

kolce złote; dla dziewczęcia naszyjnik, dla matki pierścienie. — Marta po przecierpianych trwogach i niewygodach, blada była trochę, lecz oczy jej zawsze tym niewygasłym ogniem błyskały, który jej jeszcze istną młodość dawał.

Stała już przybrana na wyżkach, podparta na białej ręce, czekając azali się kto z pobojuwiska nie zjawi z jaką nowiną, gdy — usłyszała w dali gruby głos — głos jakiś, co ją niezmierną naba-wił trwogą, tak dziwnie był podobny do tego, jakim Spytek zwykł był łajać ją, za dobrych czasów.

Zerwała się przestraszona nasłuchując, niedo-wierzając uszom, więcéj strwożona niż uradowana.

— Nie myląż uszy? onżeby to miał być?

Spuściła oczy ku wnijściu w podwórze i—oto — ujrzała widmo meżowskie. Tak! Spytek to był! Spytek, którego nigdy pięknym nazwać się nie godziło, który młodym dawno być przestał, teraz zjawiał się o jedném oku krwawém, z wargą siną obwisłą, z głową chustą zawiązaną, o kiju, zesta-rzały, kaléka. Wierny Sobek podtrzymywał wlo-kącego się powoli.

Na widok ten jeżeli nie zemdlala piękna Marta, to chyba dla tego, że mąż jej żadnych podobnych oznak czułości nie znosił, krzyknęła tylko i po-czuwając się do obowiązku, zbiegła z wyżek, wielkim głosem wołając na Kasię.

Spytek stał, znanym głosem obudzony, jedném

okiem szukając żony do koła. W tém poczuł ją już u nóg swoich, bo niewiasty za onych czasów inaczej mężów nie witały. Schylił się starzec milczący i pocałował ją w głowę. — W tém i Kasia z krzykiem dziecięcym nadbiegła, obejmując ojcowskie kolana.

Na te wszystkie miłości oznaki, wojak nie odpowiedział ni słowem, pocałował córkę w głowę, a natychmiast obejrzał się za ławą, bo mu nogi zbolale drżały i ledwie na nich się trzymał.

Marta zapomniawszy, że mąż zbytliwosci nie znosił, załamała ręce, puściła wodze językowi.

— A! panie nasz! panie — wołała — gdybyście wiedzieli cośmy tu przecierpiał! Boże miłosierny! Tysiące śmierci! Głód, łzy, strach! Któż to zliczy. Ogień, chłopski bunt! kto to wypowie!

Znanym żonie rzutem ręki; który usta zamykał, Spytek pohamował jej żale. Zwrócił ku niej zakrwawione oko, podniósł chustę, którą głowę miał zawiązaną, odsłonił jej krwawą powiekę, pod którą tylko ślad drugiego oka pozostał — i mruknął.

— Kawalka ciała całego nie mam! — Głowę potrząś! — Cud, że dusza w ciele została.

Kasia płacząc, ręce ojca całowała. Stary przyglądał się ciekawie postrojonym niewiastom — jakby chciał odgadnąć, co tu one bez niego poczynać mogły.

— Nie rychło się pogoją rany moje, nie rychło nasze wszystkie, nie rychło staną dwory popalone i kościoły! Nie ma dziś dokąd powracać! Kupa gruzu z Ponieca!

Drżące ręce do góry podniósł i zamilkł. Spytkowa gadatliwa wtrąciła zaraz, jak wiele była winna Wszeborowi i Doliwom. — Wszebor zawsze był u niej w łaskach. — Dostrzegła pewnie na te sprawy bystre mająca oko Marta, że się Tomko zalecał do Kasi, ale Belinów, choć im schronienie winną była, cierpieć nie mogła. Tysiąc do nich żalów miała, Hanna jej powieści nie słuchała nigdy jak należało, wielu jej zachceniom nie dogadzano, Tomko się jej nie zalecał wcale.

Wszebor i w oczy ładnie patrzył, i słuchał przykładowo i posługiwał pani Marcie, choćby się innym przez to naraził. — Sama teraz wydać się za niego nie mogąc, gdy nieboszczyk zmartwychwstał, choć córką mu życzyła się wywdzięczyć.

Spytek o Doliwach wspomnienia wysłuchał chmurno:

— Wiem ci o tém, że was ratował — rzekł sucho — co za dziw? gach młody, że się babami zajął!

Zarumieniła się żona.

— Król Kaźmirz będzie musiał teraz za nas wszystkich długi płacić — dodał — po tośmy go przywiedli.

— Młody król! — plaszcząc w dłonie, przerwała Spytkowa — chwala Bogu, że nam powrócił.

— A, młody! — z przekąsem powtórzył Spyttek — tylko babom z tego nie przyjdzie nic, bo na poły mnich!

Zatém, jakby zmęczony, znikł stary, na kiju się sparłszy i zamyślił. — Zonę i dziecię znalazł, a co teraz z nią i dzieckiem poczynać dalej miał, ba i z sobą, nie wiedział. Wracać nie było dokąd, wojować nie było czém, zostać tu ciężarem na łasce Belinów, nie w smak téż było możnemu niegdy władcyce.

Z krwawego oka spadła kropla, jakby łza.

Na horodyszczu coraz hałaśliwiej być poczynało — schodzili się goście. — Na tak wielką uroczystość zwyciężką, nie wahał się Belina, zakopaną beczkę starego miodu, który się nazywał Mieszkiem, kazać dobyć z ziemi. — Dziewki warzyły już solone mięsiwo, pieczono podplomyki, aby chleb zastąpiły, gotowano kaszę...

W wielkiej izbie na dole ściągało się co z obozu szło i na grodzie było słyhać tych, co Kaźmirza z sobą przywieźli.

Szedł stary Janko Topor, siwowłosy wojewoda, któremu syn rękę podawał, przybył Trepka, siedział Lasota i mnogo innych.

Wielu przybycie Kaźmirza niemal cudem się zdawało. Wiedzieli wszyscy, iż zbolwały, kraj opuścił, wyrzekając się go na wieki, że Ryksa kró-

lestwa tego niewdzięcznego dla syna nie chcąc, korony jego nawet do skarbcu cesarskiego oddała.

Chodziły wieści, że Kaźmirz przy wuju w Kolnie oblec miał suknię zakonną, by po nim wysokie w kościele dostojenstwa dziedziczyć.

W ostatku z czémże miał wygnany pan na nowo zdobywać królestwo, zawojowane na pół przez Czechów, wpół przywłaszczone przez zuchwałego Masława?

Gdy goście obozowi weszli do izby dolnej, rozstąpili się przed nimi wszyscy, zapraszając ich bliżej ogniska i pierwsze czyniąc miejsca. — Ciekawi byli słuchać, a nim starzy otwarli usta, już ich pytaniami zarzucano niecierpliwemi.

Topor Janko na pierwszym miejscu siedział. Mąż to był letni, lecz silny i zdrów jeszcze z obliczem jasnem i wesołem, z brodą siwą kędzierzawą, a włosami białymi, które mu się w pukle zwijały. Rumiana twarz odbijała dziwnie od tych śnieżnych strojów. Męztwo i rozum lata mu wypisały w twarzy, wśród tysiąca domyśliłby się w nim każdy rycerza i męża do rady.

Ani na dłoni, ni na sercu i głowie jego, nikt się nie zawiódł.

Dopóki słuchał go Mieszko, dobrze mu z tém było, póki za radą jego szła Ryksa, nie żałowała. Ludzie zazdrośni podali do uszu pańskich, że Topor panować chciał i władać. Odpychano go powoli od dworu, od progu, od ucha — i poszedł

w końcu na Tęczyn siedzieć spokojnie, na jelenie polować.

Dopiero gdy i Kaźmirza wygnano, gdy Kraków, Poznań, Gniezno Czesi złupili, gdy Masław świętokradzką ręką po koronę sięgnął, wstał stary Janko na nogi i rzekł:

— Nie czas już u ogniska siedzieć!

On to zgromadziwszy ocaloną starszyznę, nakłonił ją, aby szła z nim szukać pana, zamiast ręce łamać i podać je w pęta. On z gromadką wierną Piastom, puścił się po dziedzica korony...

— Cuda miłosierdzia Bożego! — zawołał Lasota stojąc przy Janku, który u ogniska miejsce zajął. — Jakże się to wszystko stało? Jakeście znaleźli króla, jak matkę nakłonili, ażeby go nam oddała?

— Aniśmy próbowali tego, co niepodobnym było — odparł Topór. — Któż z was królowej nie znał? Święta to pani była, a no pamiętna zawsze, iż się z cesarkiej rodziła córki. — Na naszej ziemi mieszkając, nigdy jej nie umiłowala, gościem będąc między nami. Sercem i duszą zawsze w Niemczech swych żyła. — Myśmy jej świeżemi pogany cuchnęli. — Słyszac co się u nas dzieje, jakżeby była mogła syna dać nam na ofiarę?

— A jakże się to bez niej stać mogło? — zapytał Belina.

— Wolą Bożą i łaską — ciągnął dalej Topór. Wiedziałem ja, że się bez cesarza nie obej-

dziemy, i że od niego ratunku tylko spodziewać się możemy. — Czech co nas niszczył i wojował, z czasem i jemu stać się mógł groźnym. Pojechaliśmy więc na dwór Henryka, gdy inaczej być nie mogło.

Cesarz z razu ani przyjmować nas, ani słuchać nie chciał. — Precz nam iść kazano. — Musieliśmy cierpliwości zażyć. Odpędzeni z podwórców, szliśmy za murami, na pośmiewisko czeladzi, wyczekując zmiłowania Bożego.

Mijał nas Henryk Czarny nie jeden raz, spoglądając tylko, aż mu się widzieć tę gromadę upartą sprzykrzyło. W szczęśliwą jakąś godzinę cesarz w poczcie świeckich i duchownych panów na zamek powracał; pokłoniliśmy mu się, wedle obyczaju. Ujrawszy nas, oczy zatrzymał długo, a w chwilę potem zawezwano, już do gospody powracających, abyśmy szli do niego.

Nimeśmy pokłoniwszy się, mówić poczęli, sam on odezwał się, iż napróżno doń przybywamy, gdyż dla nas i nie może i nie chce nic uczynić.

— Najmiłościwszy panie! — odparłem — mam nadzieję lepszą w Bogu i w miłości waszjej. — Kościół stracił kraj już nawrócony, cesarstwo też nie zyskało na tém, że się Czesi wzmogli przewrotni, którzy się z posłuszeństwa jego chcą wyłamać. Nie wołająż o pomstę do Boga, jakby przez pogan zburzone przez nich kościoły, złupione skarby, zajechane bez prawa kraje?

Jeśli papież rzymski a wy, miłościwy panie nie ujmiecie się za nami, zginie kraj nasz, zaleje go pogaństwo, a Rzym i cesarstwo równą poniosą szkodę.

Mówilem gorąco i ze łzami, Cesarz dał ucha. Stał się początek sprawy od tej godziny. Naza-jutrz usłyszałem z ust Henryka, iż ujmie się u Pa-pieża za kościołami naszymi, a Kaźmirzowi, jeśli-by się do Polski dał nakłonić, sześćset ludzi zbroj-nych w pomoc dać przyrzeka.

Z pociechą w sercu jechaliśmy ztąd, szukając już tylko pana przyszłego.

Na dworze królowej Ryksy tajemnicę z tego nawet czyniono, gdzie Kaźmirz był ukryty. Wie-dzieliśmy tylko, iż między duchownemi na naukach przebywa, gdyż matka radaby go oblec suknią duchowną. Mówili jedni o Kluniaku, drudzy o Kor-bei, inni o różnych klasztorach, gdzieby go szukać należało. Jechaliśmy tedy od jednego do drugiego, pukając do drzwi, jako biedni wędrowcy, o go-ścień prosząc. Z obawy, aby przed nami nie skryto tego, któregośmy szukali, nie głosiliśmy nawet, po co i dokąd jedziemy, nie śmieliśmy się przy-znawać, iż od Gniezna jesteśmy...

W klasztorach gdyśmy o synu Ryksy napo-mykali — milezano, nie chcąc czy nie mogąc nie o nim powiedzieć.

Smutna była ta włóczega nasza, ludzi bie-

dnych, sierot szukających pana swojego, który uciekał przed niemi.

— A jakżeście go znaleźli? — wtrącił Lasota.

— Jak? cudem istnym! — rzekł Topor wzdychając — nadziejęsmy już byli prawie stracili. — Jednego wieczora gdyśmy w małym klasztorze Benedyktynów na noc przyjęci, za stołem siedzieli pomiędzy innemi pielgrzymami, przybyły z Leodium mnich począł braciom swym opowiadać o pobożnym młodzianie, który od niedawna tam z Salfeldu przysłany, naukom się oddawał. A miał być, jak głoszono, możnego, bodaj królewskiego rodu, z cesarskim Ottonów szczeniem spokrewniony, chociaż nazwisko jego tajono skrzętnie.

Tknęło nas, słuchając jakoby zrządzenie Boże, iż ta powieść mnisza, skazówką dla nas z nieba zesłaną być mogła. Nazajutrz, nie mówiąc nikomu, puściliśmy się w drogę do Leodium, jako wędrowcy, a po długim i utrapionem błakaniu się na niebezpiecznych gościńcach, wreszcie zastukaliśmy do klasztoru przy kościele Ś. Jakóba.

Wiedziono nas tedy do opata Olbert'a, który badał nas o cel podróży, a gdyśmy mu rzekli iż ciekawość i pobożność prowadzi nas do miejsc świętych, przyjąć w klasztorze rozkazał.

Już w podwórzec wjeżdżając za ledwie, los zdarzył, iż niektorzy z naszych, sami niepostrzeżeni, poznali sługę królewskiego Grzegorza, który przy nim był od dzieciństwa, zatem pewniśmy

byli, iż go tu znaleźć musiemy. Z sercami bijącemi szliśmy na wieszczę do wspólnego refektarza. Lat wiele ubiegło, jak wielu z nas Kaźmirza nie oglądało, przecież rysy jego młodzieńcze mieliśmy wszyscy w pamięci, i gdy, odziany czarno, wszedł, zabierając naznaczone mu miejsce przy opacie, na widok jego poruszyły się wnętrzości nasze. Królewicz też, choć się pewnie nie spodziewał, abyśmy za nim gonili, i twarzy naszych może nie pamiętał — obaczywszy nas zdala siedzących, poruszył się jakby wspomnieniem jakimś. — Uspokojony jednak milczeniem naszym, wkrótce oczy odwrócił.

Gdy się wieszczę skończyła, i modlitwa dziękczynna odmówioną została, Kaźmirz wstał też z innymi, mając odchodzić. — Niepokój ogarnął nas i dłużej w niepewności pozostać nie dał, zaszliśmy mu u drzwi drogę, padając na kolana.

Przeraził się i cofnął ręce składając a wołając.

— Czego chcecie ode mnie? Kto jesteście? Mnisi też otaczać go zaczęli, jakby go bronić i odbierać nam chcieli. Wtedy całując kraj jego szaty, począłem dobywszy głosu, wołać doń o ratunek i zmiłowanie, jakby przezemnie wszystka ta ziemia go błagała.

— Panie nasz miłościwy! ulituj się nad nami! Przyszliśmy aż tu za tobą, szukać cię utajonego. Zmiłuj się nad spustoszoną krajem, w którymś się rodził, nad powywracanemi krzyżami, nad

spustoszonemi kościoły, w których dziki zwierza ma legowiska, nad rycerstwem twém na rzeź wydaném, nad łzami i krwią, które płyną niepomuszczone. Błagamy cię, wróć do nas, bądź panem naszym.

Królewiczowi z oczów łzy pocięły, i rzekł głosem wzruszonym.

— Stało się to z wami, na coście zasłużyli zdradą względem matki méj i mnie samego. Krew królów waszych wygnaliście sami... Dajcie mi spokojnie dokonać żywota mego. Zrzekłem się na zawsze korony ziemskiej, abym niebieską pozyskał. W ciszy, na służbie Bożej żyć chcę tylko...

A gdy się posunął, jakby odchodzić chciał, myśmy na klęczkach zaparli mu drogę i iść nie dali...

— Jeżeli nie nas, dzieci twoje, ratuj wiarę chrześcijańską, panie miłościwy — zawołałem ręce wyciągając ku niemu — wiarę, którą dziad i pradziad twój zaszczepili krwią swoją, a którą ty strzedz i pielegnować obowiązany jesteś. Nie do zakonnej ciszy narodziłeś się panie, ale do sądu, do rządu, do walki. Kraj nieszczęśliwy ręce wyciąga ku tobie — ratuj! zginiemy bez ciebie...

— Ratuj! — zawołali za mną wszyscy — obejmując nogi jego.

Placz nam mowę przerywał, ale i królewicz i mnisi przytomni plakali także. Kaźmirz na zaklęcia i prośby odpowiadał ciągle.

— Nie mogę iść z wami. — Cesarski rozkaz, matki mój wolę, własną Bogu uczynioną ofiarę, spełniam.

Pokładliśmy się u nóg jego, aż nareszcie mięknąc począł i wahać się w swém postanowieniu.

Szliśmy potem z nim, rozpytujacym się o Polskę, o kościoły i grody, o nieszczęścia nasze — do własnego mieszkania jego, które tuż przy klasztorze miał wyznaczone.

Żył tu prawie jako duchowny, niemal jakoby mnich, z małym dworem, wcale książęcej godności nieodpowiednim, na jednym z mnichami stole, w równości z niemi, na wspólnych modlitwach. — Nie zdawał się ani pożądać więcej, ani tęsknić za panowaniem.

— Miłościwy panie! — mówiliśmy mu — nie przynosimy ci złotój korony, ale cierniową, dla tego przyjąc ją winienesz w imię Chrystusa, który ją nosił. Ulituj się nad biednemi! Czech spustoszył ziemię, pogaństwo na wskrós ją ogarnęło znowu, Masław z prusakami wojuje i zabiera rycerstwo twoje. Dacież dziełu krwi waszej ginąć marnie?

— Chociażbym wam dał krew moją — odparł Kaźmirz — wyleję ją na próżno. Dwoje rąk nie starczą na nieprzyjaciela, co ich ma tysiące.

Naówczas dopiero wyznałem mu, iż wprzódty nimeśmy tu przyszli, chodziliśmy do cesarza o jego pomoc się upewniając. Poruszył się tedy, poczyna-

nając badać czyśmy u królowej matki też byli— aleśmy wyznali mu szczerze, iż nie szliśmy do niej dotąd, wiedząc, że tam błaganie próżnym będzie.

Późno w noc, gdy w chórze już na modlitwę dzwoniło, rozstaliśmy się z nim, żadnego słowa nie wzięwszy. Nazajutrz rano szliśmy wszyscy na mszę świętą do kościoła Ś. Jakóba, a tuśmy Kaźmirza znaleźli krzyżem leżącego.

Po ukończeniu nabożeństwa, skinął na nas, byśmy mu do mieszkania towarzyszyli. Nie wiedzieliśmy, co z tego rokować mamy.

Rzekł nam w progu:

— Natchnienia i woli Bożej szukałem w kościele; podał mi Bóg do serca — ażebym szedł z wami. Niech nie będzie rzeczone, żem wam życia poskapił i krwi mojej żałował. Oto mnie macie.

Padliśmy wszyscy na kolana przed nim z płaczem radośnym.

Wesele było wielkie a niewypowiedziane. — Natychmiast poczęliśmy do podróży czynić przybory, chociaż opat Olbert i mnisi zrazu nam opór stawili, do biskupa Nitharta, który miastem i krajem rządzi, uciekwszy się o pomoc, ażeby Kaźmirza nie puszczano.

I myśmy tedy pozwani na zamek biskupi udać się musieli, przed pana tego, który tam z rąk cesarskich władzę wszelką trzyma, krzyż w jednej,

miecz w drugiej ręce, a we zbroi mszę świętą sprawia, i jako król siedzi na tronie biskupim.— Ten wysłuchawszy nas, gdyśmy o wiary chrześcijańskiej wyniszczeniu i upadku rozwiedli się, króla nam wydać rozkazał. — Sam też Kaźmirz, raz postanowiwszy iść z nami, trwał w swém postanowieniu, i dnia trzeciego jechaliśmy z nim do Regensburga, do cesarza Henryka naprzód, przypominając mu jego cesarską obietnicę.

Strzymał też przyrzeczenie swoje, nas i Kaźmirza przyjmując wielce łaskawie. Korony obie ze skarbcza wydać nam rozkazał, a poczet ludzi sześciuset dobrze zbrojnych, natychmiast wysłać z nami polecił.

— Cóż się to Niemcowi stało, że tak dla nas miłosiernym się poczuł? — bąknął Lasota.

— Nie dla naszej on to miłości uczynił pewnie — rzekł Topor — ale ze słusznej obawy, aby Brzetysław nie wzmógł się w zbytnią siłę, granicę Czech rozszerzywszy.

Z Regensburga król do matki chciał jechać, aby ją pożegnać i wziąć od niej błogosławieństwo. Na próżnośmy się starali odwieść go od tego, jako syn, nie chciał przeciw woli macierzy i bez jej wiedzy iść. Uleż musieliśmy.

Przyszło nam królowej Ryksy szukać aż w Koblency, gdzie budową kościoła wspaniałego, cała zaprzątłona była. Z Leodjum wieść już jej podano, iż syn bez pozwolenia na dwór cesarski

z nami ujechał, zamysłając udać się do Polski.— Zastaliśmy ją wielce zagniewaną i oburzoną.

Każmirza przybywającego z nami i z poczem cesarskim, zaledwie dopuścić do siebie chciała; co on z pokorą zniósłszy, czekał na posłuchanie, a my też z nim, aż przyjąć nas raczyła. Szliśmy razem. — Patrzaliśmy, jak się do kolan jej schyliwszy, u surowej matki, niemacjerzyńskie znalazł przyjęcie.

— Widzę — rzekła doń — miłościwy panie, iż namowy tych, co nas już nieraz zdradzili, większą u was miały wagę, niż przestrogi i wola matki. Chcecie jechać do niewdzięcznego i dzikiego kraju, na łup poganom i nowej zdradzie, opuszczacie spokojne schronienie, żywot szczęśliwy. — Cóż ja mam rzec na to, aby słowo moje zaważyło? Cesarz zezwala, wasza miłość wyrzucasz się, na niepotrzebne narażając niebezpieczeństwa — ja nie mam siły, abym was powstrzymała.

Raz jeszcze tylko powtórzyć muszę, iż się to nie po mojej woli dzieje, że tego nie chciałam i nie chcę. A jako miłość wasza woli matki nie znasz, tak matka mieniem swém dziedzicznym na chwałę Bożą rozporządzi, a nie na rzecz waszą.

Ci ludzie wygnali mnie precz sromotnie, zmusili miłość waszą do ucieczki, i mamy się jeszcze dobijać tego mizernego królestwa?

Tak mówiła królowa, a pewnie, gdyby nie owo natchnienie Boże i wola cesarza, trudnoby

było Kaźmirzowi oprzeć się naleganiom i namowom matki. Do ostatniej bowiem godziny odradzała synowi, ze skarbów wywiezionych z Polski nie mu dać nie chciała, powtarzając, że woli je na chwałę Bożą obrócić, niż wyrzucić na łup poganom.

Takeśmy się z nieprzeblaganą panią rozstali, i król pojechał z nami...

— I pan Bóg mu już dał jedno zwycięstwo— wykrzyknął Lasota. — Około niego skupi się rycerstwo, odwaga w serca wstąpi, trwoga padnie na Masława... Bóg z nami!

— Bóg z nami! — rozległo się po izbie całej, i jakby duch nowy wstąpił w piersi wszystkich, powstali podnosząc ręce, a powtarzając:

— Bóg z nami!!

IV.

Nie było w pobliżu innego bezpiecznego schronienia, w którémby Kaźmirz mógł tymczasową swą założyć stolicę; Olszowe horodyszczce musiało się nią stać na chwilę. Wnuk Bolesława, co przepych dworu jego pamiętał, tu wśród lasów, na lichym gródku starym, musiał gościem być u ziemianina ubogiego. Zamki jego w gruzach leżały.

W spustoszonych na wskrós ziemiach, po cze-skiej łupieży, nie został ni jeden gród cały, ni jedna miescina, któraby, jak Gdecz, całkowicie wyludnioną nie była, jak Poznań i Gniezno zniszczoną. Tu więc, gdzie Bóg dał pierwsze zwycięstwo, postanowił Kaźmirz czekać na drugi oddział cesarski i na gromadzące się rycerstwo własne, ztąd rozesłano po kraju gońców, aby zwoływali kto żył i pozostał. Ztąd gotowano się

ciągnąć przeciwko Masławowi, wiedząc, iż on ze sprzymierzeńcami swemi silny opór stawić będzie.

W pośród tych lasów, na świeżem pobojuwisku, pogrzebłszy trupy, następnych dni zaraz na obóz miejsce wytknięto i okopywać się już poczynano. Wkrótce zaczęły nadciągać gromadki rozbitków, które odgłos o przybyciu Kaźmirza z posiłkami cesarskimi ku niemu zewsząd powoływał.

Belina opróżniwszy część dworca i zabudowań, pana i otoczenie jego na horodyszcze wprowadził.

Wszelkimi sposobami starać się zaczęto o przysposabianie żywności. Co gdziekolwiek ocalało, zwozili i znosili wszyscy, ale dostatku nie było.

Wiść o bitwie pierwszej zwyciężkiej cudem prawie z ust do ust się rozchodziła. Roznosiły ją te kupy które rozproszono, czerń przerażona, rozbiegająca się po chatach leśnych i chłazach, w trwodze o zemstę, za dokonane okrucieństwa, sami nawet Masławowi żołnierze. Ci co się dotąd po lasach tulili i błakali, spieszyli pod opiekę Kaźmirza. Smutny był widok tych przybyszów, w większej części odartych, wynędzniałych, zbiedzonych, którzy już byli stracili wszelką ocalenia nadzieję, a teraz odzyskawszy ją, jak upojeni biegli witać wybawiciela.

Gdyby syn Ryksy nie miał w sercu silnego postanowienia dźwigania kraju z téj niedoli i upadku, widok tych ludzi sam natchnąłby go męztwem i wytrwałością.

Ilekroć się ukazał Kaźmirz, z płaczem mu się do nóg cisnęli, witając go imieniem wybawiciela, które było na ustach wszystkich.

Małe zrazu obozowisko, wkrótce rozrosło się znacznie, niemal wyrastając z ziemi; mnożyli się przybysze coraz nowi. Namioty i szałaszy codzień liczniejsze stawały, przybywały wozy, zapalały się coraz gęstsze ogniska. Ruch był i czynność wielka, każdy przybywał wycieńczony, ze stępioną i poszczerbioną bronią, ze zbroją poszarpaną, odarty, tak że oszczepy, dzidy, tarcze pogięte na nowo sposobie było potrzeba, miecze odostrzać, topory kuć, odzież popsowaną łatać. Lecz ktokolwiek co miał, a od grabieży uchował, dzielił się tём, składał na ofiarę ohocho.

Niepokój nie dawał spoczynku; sposobili się jedni, drudzy szli lub wysyłali na zwiady ku Wiśle i Mazowszu, dowiadując się co się z Masławem działo. W otoczeniu króla zdania były podzielone, nie godzili się na jedno wszyscy. Część rycerstwa polskiego i cesarsey byli za tём, ażeby, nie dając Masławowi wzbić się w siłę i ściagnąć sprzymierzonych prusaków i pomorców, natychmiast napaść na niego.

Kaźmirz, starszyzna, Topor, Trepka i innych wielu mówili, że gdy szło o bitwę walną co o losach królestwa stanowić miała, lepiej było ważyć dobrze, czekać pory i siły wszelkie gromadzić.

Dawniej już wysłano z tém do Kijowa na Ruś, i ztamtąd się odpowiedzi rychło spodziewano.

Stary bartnik znowu wyruszyć musiał, choć Spytek nie bardzo był rad temu. Ruchawemu człeczynie, to włóczenie się, podpatrywanie, podsłuchy a coraz nowe przygody więcej smakowały niż zamknięcie między czterema ścianami. Znając Płock i niedawno go zwiedziwszy, był pewien że w żebraczym odzieniu wśliznie się tam niepostrzeżony. Gdy rozkaz do pochodu odebrawszy, przestroił się w łachmany do téj podróży, garnuszek na sznurku u pasa uwiesił, kij wziął do ręki, stare łapcie na nogi, sakwę na plecy, tak nową przybrał postać iż poznać go trudno było.

Zaledwie on znikł, znanemi sobie dróżnikami w las się puściwszy, gdy w obozie zjawił się zbiegły z płockiej niewoli ziemianin, Nosala, który ledwie z duszą uszedł z jamy. Natychmiast zaprowadzono go przed króla, przed którym opowiadał, iż cudem życie ocalił, posądzano go bowiem o zakopanie skarbów i męczono by miejsce ukazał. Tak z dnia na dzień zwlekano śmierć, a wreszcie udało mu się nocą wykopać z więzienia. Nosala mówił że Masław w szalonym gniewie do Płocka powrócił, natychmiast rozsyłając ludzi do kunigasów pruskich i na Pomorze o posiłki; że gromadził całe wojsko swoje mając zamiar napaść na króla nimby więcej Niemców przyciągnęło. Upewniał on, że to co Masław miał z sobą

na Olszowém uroczysku, było tylko cząstką za- ledwie znacznych wojsk jego. Główne pulki stały pod Płockiem, a oprócz prusaków i pomorców, mazurów jeszcze oczekiwano z lasów.

Znękany niewolą, wylękły Nosala, gdy się potém w obozie rozglądać począł i rozliczać, odradzał z tak małą garścią porywać się na silniejsze daleko zastępy mazura. Pomimo lepszej zbroi i większego ładu, szaleństwem zwał by się mierzyć chciano z tłumami, którym zacięty, wytrwały i żelaznej woli człek dowodzi.

Pozostała mu trwoga imienia Masławowego, tak, że ilekroć go wspomniano, za głowę się chwycił i oczyma rzucał dokoła, jakby się go lękał ujrzeć przed sobą.

Król i starszyzna znalazła w Nosali poparcie, młodzież się z niego wyśmiewała, techórzem go zwąc, na co biedny nawet nie odpowiadał.

Bacniejsi z rycerstwa wysyłali jednak na zwiady, postawili czaty w okolicy, dzień i noc czuwali około obozu. Masław na wszystko się tmógł ważyć, nawet na porwanie króla. Grodzisko ież na którém się teraz znajdował, starano się obronném uczynić. Ludzi podostatkiem było, więc pospółstwu, które dziś stało się ciężarem i zawadą, ustąpić kazano i rozejść się po dawnych sadybach.

Ciżba ta o brzasku dnia, po cieniu, w milczeniu groźném, wysunęła się z horodyszcza i w la

sach ukryła. Miejsce jój zajęło rycerstwo przedniejsze, otaczające Kaźmirza, dwór i służba pańska. Zburzone szopy podniesiono znów, kładąc je dla koni i ludzi.

Dzień i noc pracowano na zamku, poruszano się w obozie, szli i przychodzili posłańcy, gromadzili się zbiegi i tułacze z ziem różnych. Od świtu do nocy Kaźmirza drzwi stać musiały dla nich otworem, bo każdy widzieć go chciał, pokłonić mu się, zabołec przed nim i poskarżyć.

Pod bokiem króla pomieszczono ciężej rannych w bitwie, których liczba była znaczna, lecz ci zaledwie się zablizniły rany powracali pod namioty. Pomiędzy okaleczonemi i Wszebor się znajdował, któremu cięcie w kark przez Masława, do kości rozplatało szyję. Kawalkowi żelaza przyczepionemu do hełmu z tyłu winien był Doliwa, iż głowę uniósł całą. Rana głęboka a niecierpliwosć wielka nie prędkie obiecywały uleczenie.

Na dole w kilku komorach drugiego podwórza leżeli wszyscy razem porąbani, tę mając pociechę że się im z wyżek niewieście głosy słyszeć dawały a niekiedy i postać ukazała.

Dla starego Spytka zrazu téż innego miejsca nie znaleziono, i on z rannemi razem się położył.

Wszebor w pobliżu się pomieściwszy, rachował na to iż codzien przybywającą do męża żonę i córkę będzie mógł widywać, a staremu się zalecać.

Choć czas nie był potemu, nad głowami srogie niebezpieczeństwo zawsze jeszcze wisiało, a Doliwa i o własnem zdrowiu, z powodu jątrzącej się rany niewiele mógł tuszyć; przecie gorącego serca wojak, ilekroć się ukazały niewiasty, podnosił głowę, w dziewczę się zapatrywał, do matki uśmiechał, i zalecał jakby w gościnie, u spokojnego ogniska.

Ojca sobie skarbiąc łaski, posługiwał mu chętnie; lecz tu przystęp, zbliżenie się i spoufalenie trudnóm było. Ze Spytka mało kto słowo wyciągnąć potrafił, a za serce go ująć, chyba nikt.

Za lepszych czasów ludzie go już zwali jeżem, cóż dopiero teraz gdy go rany, choroba, straty i niepewna przyszłość nękały.

Wszebor także krwi nie ostygłój, dawno by był ze starym jeść się zaczął i wyzwał go na język, ale dla dziewczęcia miłego, znosił dziwactwa, dasy i lajania nawet.

Nawykły do panowania w domu władyka, tu na łasce ludzi, zrównany z innemi Spyttek po dniach całych warczał i burzył się, wszystkiema nie rad, narzekając i ganiąc wszystko. Przynieszone mu wiadomości wszystkie były nie po jego myśli. Jednego dnia narzekał że się zbyt spieszono, drugiego lajał, że się brano leniwo.

Martę i córkę pędzał tak, że same nie wiedziały, co z nim i z sobą poczynać miały. Gdy doń przyszły, gniewał się że darmo się włóczyły,

kazał pilnować kądzieli, przypisywał krzątanie się ciekawości niewieściej, zalotności niegodziwój; gdy potém długo ich nie było, narzekał że o nim starym zapominały, a wołały się gzić gdzieindziej.

Dla pięknych oczów Kasi byłoby mu i z Wszeborem wygodnie i u Belinów jak w domu, gdyby jeżem umiał być przestać. Tomko, który się rozmiłował w dziewczynie, ojca by na rękach nosił, a rodzice jego, widząc to, zjednać go sobie pragnęli. Ale przystępu doń nie było. Przysposobiono mu izbę osobną, aby go od Wszebora odciągnąć; nie przyjął jój, nie chcąc za nią być wdzięcznym. Nikomu z nim, jemu z nikim dobrze nie było. Starego wojaka, męznego rycerza, szanowano choć kąsał.

Ponad głową jego, czując się współzawodnikami, Wszebor i Tomko patrzali na się takimi oczyma, jakby się pozjadać chcieli.

Mszczuj teraz, pokochawszy Zdanę, a coraz pewniejszym będąc że i ona mile nań patrzy, odstąpił nieco od brata, a do Belinów się zbżył.

Gdy w obozie wszystko było wojną i przysposabianiem się do niej zajęte, na horodyszczu około młodego króla powoli zadzierzgała się ta sieć zabiegów o łaskę pańską, o ucho, o przewagę w rodzie, która każdą siłę otacza. Ci co dali dawniej dowody wierności Kaźmirzowi, dziś upominali się o swe prawa i zaufanie; winni cisnęli się o przeblaganie, przebaczenie, usprawie

dliwiając grzechy dawne. Patrzano w oczy nowemu panu, usiłowano go odgadnąć, nikt się tém pochwalić nie mógł.

Milezący, zamknięty w sobie był król młody, o przeszłości mówić nie lubił, chciał o niej zapomnieć, dla wszystkich równie przystępny, nikomu serca nie otwierał. Obyczaj niemal zachowywał zakonny, obchodził się małym. Przed bitwą Topor i ci co mu towarzyszyli z Leodjum, wątpili zrazu ażali się w nim wojenny duch obudzi. Zawiedli się na tém. W pierwszej chwili, ropoczęcia walki, Kaźmirz stał, jakby nierozbudzony, zdumiony, niepewien co pocznie. Gdy się rycerstwo puściło, zachrząszczały zbroje, miecze zabłyśły, zwarły pierwsze szeregi, rumieniec wystąpił mu na twarz bladą, zapłonęło oko, dobył z pochw Bolesławowski miecz, i już powstrzymać go nie było można, Grzegorz i starszyzna własnymi pierściami zasłaniać go musieli, tak nieopatrznie narażał się na niebezpieczeństwo.

Z téj bitwy wyszedł rycerzem, odebrawszy w niej chrzest krwi i zwycięstwa. Od téj godziny poznać go było trudno, tak rycerz i wojak, zatarł w nim dawnego mnicha. Patrzano nań z poszanowaniem, ciekawością, trwogą, bo nikt nie znał bliżej tego pana, nawet ci co z nim za młodu bywali, jak Toporezyk co się zwał przyjacielem, i w każdej godzinie przystęp miał doń wolny. Kilka lat wygnania i zamknięcia w murach, zmie-

niły młodą naturę. Cisnęli się wszyscy tém bardziej, iż odgadnąć go pragnęli. Znalazł się już w nim rycerz, szukano teraz króla. Starszyzna tymczasem za niego myślała i troszczyła się. Choć cesarz Henryk w pomoc przyszedł Kaźmirzowi, a poczet zbrojny jaki mu dał, był pierwszym zarodkiem przyszłej siły, która się około niego zgromadzić miała, choć niemcy walczyli dzielnie obok rycerstwa polskiego w pierwszej bitwie, zawczasu szeptano sobie jakby się zbyć można opieki cesarskiej i pobratymstwa z niemcami. Nie chciano drugiej Ryksy na tronie, ani Ody.

W poufnych rozmowach, choć Masław stał z groźnemi sprzymierzeńcami swemi nad Wisłą, choć dachu nie miał król nad głową, już myślano o jego przyszłości, żeniono młodego pana, szukano dlań sojuszów, odbudowywano Kraków, Poznań i Gniezno.

Topor chciał co rychlej szukać mu towarzyszki, aby być pewniejszym że kraju nie opuści, a wymagał od niej wiele posagu, któryby skarb pusty zasilił, wdzięków, by Kaźmirzowi dała szczęście domowe i silnego sprzymierzeńca w jej rodzie.

Wtórowali mu drudzy, wymyślając najdziwniejsze dziewosłęby.

— Byle tylko nie niemka była — odzywali się niektórzy — i nie żadna wnuczka, ani powinowata cesarska, abyśmy w jarzmo niemców nie poszli. Jeszcze dwie Ody pamiętamy...

— Aby téż nie czeszka była — dodawał Lasota, którego czesi porąbali — bracia ci siedli nam kością w gardle. Korzystając z nieszczęścia naszego złupili nas po zbójceku, bez miłosierdzia. Gnieszna, Poznania i Gdecza im nie zapomniemy.

— To niechby krasną polską dziewczkę wziął — rzekł inny — po co mu królowny? którą przy sobie posadzi, choćby chłopką była, królową się stanie.

— To nie dosyć — sprzeciwiał się Topor — nam i posagu trzeba i przymierza z nią dostać. Zbyliśmy się wszelkiego mienia, a co za Bolesława srebra było jak lodu, dziś i żelaza zabrakło.

— To już nigdzie dlań po żonę tylko na Ruś — rzekł Trepka — tam ci są dostatki wielkie, a jak do kijowskich książąt rękę wyciągniemy, nie odepchną jej. Ztamtąd mu dziewczkę wziąć!

-- A czemuby nie! — wtórzyli drudzy. — Jeśli prawda że nam na Masława pomoc dadzą, łatwo ztąd przyjdziemy i do żony! Po Włodzimierzu, wielkim panu córki zostały i skarby zostały i pamięć bohatera. Niemeów mieliśmy dosyć, Czechów mamy aż nadto. Z Rusi Bolesław skarby przywoził i dziewczek tam krasnych siła. Jedną nam mogą dać!

Tak urosła pierwsza myśl swatów gdy Kazimir jeszcze o żonie, ani o stadle nie myślał, a losy się ważyły niepewne między nim a Masławem. Mówiono o tém wszędy na dole i na

wyżkach, a gdy się Marta Spytkowa dowiedziała, nosiła się i cieszyła rusinką, bo na jej dworze pierwszą się być spodziewała. Spytek zaś zasłyszawszy głową trząśł. — „Mnie no spytajcie co rusinka — mówił — krasie nikt nie przygani, a no, na łańcuchu ją trzymać, a usta na kłódkę zamykać trzeba.“

Uśmiechano się z tego, i zgryźliwy stary rusinkom nie popsuł sławy; tylko Marta, gdy jej to powtórzono srodze się łzami zalewała.

Dla króla te rady tajemnicą zostawały; wojennemi się tylko sprawy zajmował. Czekano na Sobka, aby potwierdził co przyniósł Nosala, albo pociesniejszą wieścią dal otuchę. W kilka dni zjawił się bartnik stary. Było to pod wieczór, gdy król z grafem Hebertem co dowodził cesarskiemi, Toporem i Trepką naradzał się właśnie, kiedy i jak na Masława iść mieli. U progu stał Grzegórz, który Belinę i Sobka oznajmił, bo chciało aby z własnych ust jego, król usłyszał co przynosił.

Król mieścił się w wielkiej owiej izbie na dole, nieco dogodniej przybranój dla niego. Zniesiono tu co kto miał najlepszego, ale przepychu nie było. Tok tylko skórami zasłano, sukniem pozawieszano ściany, błyszczało na niém trochę broni, a na stole naczynia srebrnego niewiele.

Lecz leżało na nim to co naówczas mało gdzie i po królewskich spotkało się dworcach; naprzeciw

krzesła pańskiego spoczywały dwie w drzewo i pozłocisty mosiądz oprawne księgi. Na jednej z nich, otwartej, złoty krzyż karty pergaminowe przytrzymał.

Każmirz siedział stojącemi panami otoczony dokoła, w większej części starcami, których siwe brody i włosy od czarnych jego pukłów młodzieńczych dziwnie odbijały. Toporezyk stał za krzesłem króla, Grzegorz z rękami na piersiach złożonemi drzwi i ognia razem pilnował. Na stróża progu był jakby stworzonym, bo mało kto z nim do walki ośmieliłby się wystąpić. Na grubych rękach i nogach, na szyi żylastej wiek i pracasznurami powięzwały muskuły, w spokojnej namarzczonj twarzy widać było niezachwianą wiarę w swą siłę.

Gdy Sobek w łachmanach żebraczych ukazał się z Beliną w progu, rozstąpili się im wszyscy w milczeniu. Bartnik padł do nóg królowi, aby uczcić majestat pański.

Nie czekając co powie Topor spytał po cichu Belinę: — „Cóż przynosi?“ — Stary gospodarz nie dobrze potrząsnął głową. Uciszyli się wszyscy, a Sobek na swój sposób, powoli, słowy urywanemi, głaszcząc się po głowie, opowiadanie zaczął.

I on potwierdzał to że Masław miał siły ogromne, i że szalony a zapamiętał, zewsząd je gromadził jeszcze, aby pomścić pierwszą klęskę. Bartnik widział wojska które się pod Płockiem

ściągały i ztamtąd wyruszyć miały, aby rycersłwo Kaźmirzowe otoczyć, a nie wypuścić ani żywej nogi. Codziennie przybywały posiłki nowe, których Sobek zliczyć nie umiał i powtarzał tylko że było ich jak mrowia, a obóz nad Wisłą pięć i sześć razy większy mu się zdał niż królewski.

Otaczający Kaźmirza, obawiając się wrażenia jakie ta powieść uczynić mogła, usiłowali odwieść bartnika od przesadzonego liku; a stary potrząsając głową, trwał przy swoim uparciu, i jedno ciągle powtarzał, iż się mierzyć z Masławem nie było można.

Król milczał, z twarzy jego spokojnej poznać nikt nie mógł, jakie to na nim uczyniło wrażenie. Słuchał nie zmrużywszy oka, nie poruszywszy się nawet, na księdze trzymając rękę...

Gdy bartnika rozpytawszy odprawiono, Kaźmirz odezwał się do otaczających:

— Mamyż się mnogości ulęknąć, jakbyśmy sprawie naszej nie wierzyli? Za krzyż i wiarę walczymy...

Topor i inni skłonili głowy; jeden tylko odezwał się wzdychając:

— Pospieszać nam potrzeba było, nim się ta czerń zebrała!

— I bylibyśmy to uczynili—dodał król—gdybyśmy na posły i posiłki z Rusi nie oczekiwali. Lada dzień się ich spodziewamy, gdy te przybędą, a odpowiedź przyjdzie pomyślna, ociągac

się nie będziemy. Miecz niech rozstrzyga w imię Boże.

Nie odezwał się już nikt więcej, męztwo i spokój króla, przeszły w nich wszystkich. Nabrano otuchy. Przypomnieli ci co walczyli w dolinie, jakie tłumy otaczały Masława i w pierwszym starciu pierzechnęły.

Królewskie słowo było jakby proroctwem dobrej wieści, nazajutrz za rana, nadbiegł przodem wysłany goniec, oznajmujący o powracających posłach z Kijowa, z którymi jechali bojarowie, wiozący dobre słowo kniazia i obietnicę rychłej pomocy.

Radość w obozie stała się wielka, której tylko Spytek, na przekór drugim nie podzielał. Sobek, wierny sługa, tyle mu o potędze Masława narozpowiadał, że stary królewskie siły miał za zgubione, jeżeliby się ścierać z nim chcieli.

Trzeciego dnia nadjechali oznajmieni posłowie, bojarowie kniaziewscy, z drużyny jego, starosta Torezyn, Tiwun Paramon i ogniszczanin Dobryń, z małym ale okazałym pocztem, z którym się szczęśliwie, mimo Masławowych oddziałów po kraju rozpierzechnych, dostali do króla.

Nizeli przybyli gotowano się na ich przyjęcie, troskał się niepomiernie Grzegórz, aby ubóstwo pańskie w oczach obcych ludzi, krzywdy mu nie uczyniło. Za jego staraniem przystrojono wspólnie izbę królewską, aby się im od „grydnicy“

kijowskiej nie wydała biedniejszą, zebrano się na stołową zastawę, aby jak niegdy Włodzimierzowi drużyna jego, nie wyrzucali posłowie królowi, że im drewnianemi łyżkami jeść każe. Król też wdział dnia tego suknie i kożuch bogatszy, łańcuch na szyję, najpiękniejszy miecz do pasa.

Przed południem ujrzano wśród gromadki konnych, owych posłów z Kijowa, na których czele jechał starosta Torezyn, mąż średniego wieku, barczysty choć niezbyt wyrosły, oczu piwnych biegających żywo, oblicza wesołego. Wszyscy mieli na sobie suknie długie, kożuchy bogate, czapki wysokie, oręż w pozłocistych pochwach, i u pasów worki a chusty jedwabne.

Paramon i Dobryń, jak starosta wyglądali poważnie zarazem i dobroduszenie, choć w twarzach ich ukrytą przebiegłość widać było. Bili tedy pokłony królowi od kniazia Jarosława przynosząc pozdrowienie i posiłki zwiastując, a Torezyn zachwalał mężów swych jako bohaterów i siłaczy, którzy świat cały podbić byli gotowi. Ze słów jego za obrów ich i czarnoksiężników wziąć było można.

Król w niewielu podziękowawszy słowach, powierzył posłów starszyźnie, by ich ugościła.

Przyjęcie już przygotowanem było, obfite i zastawne wspaniale, choć się na ten przepych całym obozem składano. A że pod namiotami nie wygodnie ich ugaszczać było, musiały niewiasty na

ten dzień ustąpić z góry, gdzie już stół zawczasu przybrano. Topor, Trepka, starszyzna cała zasiedli razem z gośćmi, którzy wśród poważnego rycerstwa, pochmurnych twarzy, wesołością swą się odznaczyli.

Torezyn, najstarszy trochę ją na wodzy trzymał, Paramon mówił niewiele, Dobryń za poselstwo całe uśmiechu miał usta pełne i dobrej był myśli. Poczęto zapraszać, częstować i kubki nalewać, które i Torezynowi staroście i Paramonowi dodały ochoty; wzięła się rozmowa żywa, jakiej tu dawno nie slyszano; a pod koniec nawet ścisnąć się i całować potrzeba stała wielka, bo się wszyscy z sobą niezmiernie drużyli.

— Wy bo coś frasobliwie patrzycie — mówił Dobryń — a tu trzeba wesoło iść na wroga, to się sobie serca doda a jemu odbierze. Było złe, będzie dobre — ciągnął wesoły ogniszczanin. — Niechno nasi mołojcy nadciągną, zobaczycie! Góry przez siebie przerzucają, a sosnami się podpierają, nie ujdzie noga z tych ludzi i śladu po nich nie zostanie!

— Pomożecie wy nam teraz — rzekł Trepka — nie daj Boże potrzeby, pójdziemy i my dla was i kniazia waszego, przelewać krew naszą.

Pili więc za swe zdrowie i ściskali się a całowali znowu, gdy z komory bocznej, nie mogąc wytrzymać dłużej, wysunęła się strojna Spytkowa, by ziomków powitać.

Na widok krasnej niewiasty aż im się oczy śmiać zaczęły, a dopieroż zakrzyknęli z radości gdy ją po rusku mówiącą usłyszeli. Spytkowa pytała o swoich, lecz kijowianie bodaj o połączeniach mało wiedzieli, żaden się do znajomości rodu nie przyznał, choć wszyscy w piękne jój oczy patrzali radzi, i chętnieby byli wieścią się dobrą przysłużyli.

Spytkowój się usta nie zamykały.

— To was tu pan Bóg do nas przyniósł — mówiła kłaniając się, jak należało niewieście przed poważnemi mężami. — Mówią że królowi naszemu posiłki kniaź przysyła. Niech mu za to Bóg płaci. A jeszczeby jedno kniaź wasz uczynić dla króla powinien, aby na wieki się braterstwo zawiązało.

To mówiąc dziwnie uśmiechnęła się Spytkowa, tajemniczo nie kończąc mowy.

— A no, co, piękna pani — ozwał się Dobryń — albo nie było poczynać, lub trzeba już dokończyć.

— Co takiego? co? — ciągnęła powoli Marta, oczyma rzucając ze Starosty na Tiwuna, a z tego na ogniszczanina... — Albo to wy, rozumni ludzie, drużyna pańska, nie domyślicie się co takiemu młodemu panu potrzeba, aby był szczęśliwy?

Dobryń dłonią się zasłoniwszy, i głowę w ramiona wciągnąwszy, śmiać się począł.

— A! chytra krasawico! — zawołał. — Pańską swachą ci się zachciało być!

Śmieli się wszyscy, nawet Tiwun Paramon, najpoważniejszy ze wszystkich, pokraśniał i zachichotał.

— A cóż nie? — ozwała się Spytkowa.

— I dobrzeście trafili—mówił Dobryń wesoło, — bo nigdzie piękniejszych dziewcząt nie ma jak u nas w Kijowie, a co źli ludzie prawią, że więdzmy są wszystkie; fałsz to wierutny! Ej! ej! co za dziewczęta! Na wagę złota je sprzedawać, i tak by było nie drogo, a druhowi i darmo dać, my nie od tego.

— U kniazia też znajdzie się pewnie — wtrąciła Spytkowa.

— Nieboszczyka kniazia, córka Włodzimierza, właśnie dla waszego króla para—mówił Dobryń.— Daj Boże w dobry czas powiedzieć dobre słowo.

Spojrzeli po sobie polsey ziemianie.

— Jak na imie kniaziównie?—spytał Trepka.

— I imie piękne i dziewczka śliczna — mówił Dobryń — Dobrogniewą ją nazwano, bo choć się zagniewa dobrą jest. Śnieg nie może być bielszy od jój twarzy, ani malinowy sok różowszy od jój rumieńca. Gdy złote puści kosy to się po ziemi wloką, gdy niebieskimi spójrzy oczyma, ludzie o smutkach zapominają, gdy się uśmiechnie, pogoda na niebie wstaje. Gdy z Teremu wychodzi krasawica, ptacy się do niej zlatują z nieba, a gołębie siadają jój na ramionach, gdy pieśń zanuci lwy się u nóg jój kładną, a złotem i je-

dwabiem gdy ręcznik wyszyje, tylko go na oltarz dać można.

— Dajcież nam ją, dajcie na królowę — zawołała Spytkowa...

I śmiejąc się w kubki potrącano, a starszy panowie milcząc głowami potrząsali... Długo w noc gwarzono i biesiadowano.

W kilka dni później z wieczora od króla wyszedłszy graf Hebert i starszyzna, do obozu pospieszali milczący... W namiotach zbierało się rycerstwo, rozeszła się wieść błyskawicą po dolinie, że nazajutrz wojska wyruszać miały ku Wiśle, nie czekając Masława, a same go chcąc uprzędzić. Taka była wola królewska, na dzień naznaczony i posiłki od Kijowa z drugiej strony na łodziach nadciągnąć miały.

Zaledwie słowo to wyrzeczono, co żyło na horodyszczu, w namiotach, na dolinie poruszyło się i drgnęło. Wszystkim czekanie długiem było i tęsknem, a walka pożądaną. Nie cieszyli się tylko nią ci, co do niej należeć nie mieli. Na horodyszczu załogę choć niewielką, zostawić było potrzeba, aby go nieogłocić zupełnie. Niektórzy ciężko ranni ruszyć się też nie mogli. Belina na swych śmieciskach stać musiał, Spytek kaleka nie zdalby się do walki.

Wszeborowi szyja zaledwie się zablizniać zaczęła, a gorąca krew zostać mu się nie dawała. Chciał iść i chciałby był zostać, bo Tomkowi,

ojcu w pomoc dodanemu, na horodyszczu przy piękném dziewczęciu kazano siedzieć. Tomko mógł korzystać z czasu i ubiedz go u ojca. Co miał począć nie wiedział Doliwa, powstawszy z ławy, ręce łamał i z głową spuszczoną chodził długo, nim mu na myśl przyszło matki się poradzić. Ku wyżkom się więc skierował, jednej z dziewcząt służebnych uprosiwszy by wywołała Spytkową.

Trochę przelękała wybiegła zaraz Marta. Ciemno już na wyżkach było, poznała jednak po głosie Wszebora.

— Co wam jest?—zawołała—i co najlepszego czynicie? O tój porze na rozmowę zwać, nuż kto podpatrzy, co pomysła ludzie?

Wszebor do kolan się jój chylił i ręce całował.

— Dobra pani—rzekł—radźcie mi, jak matka! radźcie jak królowa... Jutro na wojnę idziemy... Mamli iść a was tu zostawić z Tomkiem; aby Kasię zaswatał? Gdy ją stracę świat i życie mi nie mile...

— Cóż począć? chcecie iść?—spytała Marta.

— Dla króla muszę, muszę dla siebie sam; rana tak jak zgojona, zostać mi się nie godzi.

Pomyślała nieco Marta i w ręce z lekka uderzyła.

— Macie łaski u pana?—rzekła—czemu jego w swaty nie poprosicie. Spyttek go się lęka, bo ma coś na sumieniu przeciw niemu. Gdy go król poprosi, nie odmówi.

Słyszając to Wszebor, do nóg upadł Spytkowej, a nim na nowo mówić zaczęła, pędem z wyżek się stoczył.

Ze starym Grzegorzem dawną miał i dobrą znajomość, znał go sługa pański, jako wiernego królowi. Ku niemu wprost popędził Doliwa, chwili nie było do stracenia. Grzegórz zbroje do podróży opatrywał i czyścił, a że pora późna była ździwił się odwiedzinom...

— Do pana miłościwego mi potrzeba — odezwał się przypadając doń Wszebor.

— Ciemna noc! jutro rano w pochód idziemy, nie pora! — rzekł głową potrząsając stary.

— Ja go dziś jeszcze widzieć muszę! — odezwał się Doliwa. — Zlitujcie się wy nademną. Nie wezmę czasu długo, byłem mu do nóg mógł paść i dwa słowa rzec...

Nic nie mówiąc ręką dał znać Grzegórz aby czekał, a sam wszedł do izby. Nie trwało długo, drzwi się otworzyły i Wszeborowi dał znak stróż wierny do wnijsia.

Król sam jeden był, stał u ogniska dogasającego, od którego się ku przychodzącemu odwrócił.

Doliwa, który ani zmilczeć, ni ścierpieć, ni wyczekać nie umiał, przystąpiwszy do króla, padł u nóg jego i ranę obnażając przed nim zawołał, ręce złożywszy.

— Miłościwy panie! walczyłem za ciebie i walczyć będę do śmierci, bądź ty mi dobroczyńcą, o łaskę twą proszę!

Król mu dał znak ażeby podniósł się z ziemi.

— Czego chcesz odemnie?— spytał łagodnie— mów.

Wszebor powstawszy, ręce łamał, ze zbytniego wzruszenia mówić nie mogąc.

— Wstyd mi w tej chwili — rzekł wręście — o taką prosić łaskę, ciebie miłościwy panie, który o czem inném myśleć musisz; przebacz młodości mojej! — Schylił się znowu.

— Mów, czego chcesz? — powtórzył Kaźmirz.

— A! — dodał Doliwa półgłosem — swatem mi musisz być, miłościwy panie.

Kaźmirz się cofnął zarumieniony. Widać było że wcale czego innego się spodziewał.

— Nam nie o weselu myśleć! — rzekł smutnie — i nie rychło będzie gdzie je wyprawiać.

— Ja też teraz wesela nie żądam, tylko słowa ojca i matki — mówił Wszebor, całując natarczywie rękę króla. — Spytkową córkę chcę mieć! Miłościwy panie, rozmyślałem się na śmierć w tej dziewczynie.

Król słuchał z oczyma spuszczone i niemal kobiecym wstydem.

— Dwu nas jest braci — mówił gorąco Wszebor — rodziców nie mamy, tyś naszym opiekunem i ojcem. Spytek stary czuje że przeciw waszej

miłości zawinił dawniej, radby uzyskać przebaczenie, gdy mu słowo rzec raczycie, da mi córkę.

I znowu do kolan się schylił, a król łagodnie go od siebie odsunął, nie mówiąc nic.

— Gdy wróciemy z wojny, chętnie— odezwał się wreszcie — teraz nie pora o tém myśleć.

— A potem nie pora będzie już, bo kto inny ją zaswata — przerwał Wszebor. — Królu, panie, dziś lub jutro, albo nigdy.

Zafrasowany stał Kaźmirz jeszcze, gdy Trepka stary, który na jutro potrzebował rozkazów do ciągnięcia, wszedł do izby. Król go ku sobie powołał, jakby mu ciężar spadł z piersi.

— Stary mój przyjacielu— rzekł do Trepki— wy mnie w tém zastąpicie i w mojem imieniu wstawicie się za dobrym sługą, któremubym rad zawdzięczyć serce jego dla mnie.

Nie rozumiał jeszcze Trepka o co szło, i patrzył zdumiony, gdy mu Wszebor prędkimi słowy wytłumaczył prośbę swoją.

Starzec się namarszczył trochę.

— E! wy młodzi!— zawołał — prawda, bijecie się dobrze, ale płochu u was w głowie... Gdy kraj ratować trzeba wam dziewczęta na myśli.

— A no mi ją weźmie inny! — wtrącił Wszebor — a ja bez niej żyć nie mogę.

Ruszył ramionami stary.

— Któż ci ma wziąć ten skarb? — zapytał.

— Tomko Belina, koło niej biega. On tu zostanie z nią i rodzicami, a mnie nie będzie.

— Tomko! idzie z nami! — odparł Trepka. — Widzicie, że dla dziewczęcia królewskiej i naszej sprawy nie rzuca.

Zawstydził się nieco Wszebor.

— Wszelako, proszę — dodał — choćby z nami szedł, wolę mieć słowa rodziców, ochocho potem na wojnę pociągnę.

Każmirz stał nie odzywając się, Trepka nań popatrzył.

— Jestli to wolą waszą? miłościwy panie? — spytał.

— Uczyńcie mu to aby miał serce spokojne — dodał król smutno... — Nie odkładajcie.

Wszebor starego za rękę pochwycił.

— Panie a ojciec... chodźmy!

Rozśmiał się prawie miłosiernie Trepka, i widząc rozgorączkowanie, skłoniwszy się królowi, skierował się ku drzwiom z Wszeborem.

— A no? — mruknął w progu — nawet ręczników nie mamy?

Wyszli w drugie podwórze.

Stary Spytek zajmował zawsze to miejsce, jakie sobie obrał w początku, pomiędzy kalekami i choremi. Wysłane miał tylko staranniej łożo, i gałęzmi jodłowemi ostawione; spoczywał już na niem, choć nie spał jeszcze, a wierny Sobek klęczał u nóg jego. Reszta rannych albo już chra-

pała, lub do obozu poszła żegnać się z odchodzącymi nazajutrz towarzyszami.

Postrzegłszy nadechodzącego Trepkę, któremu był winien pielęgnowanie w chorobie, Spytek się podniósł na łokciu.

— Cóż to już ciągniecie? żegnać się chcecie?

— Jeszcze nie z pożegnaniem przyszedłem — ozwał się stary stając nad nim, i oglądając się na Wszebora, który się przybliżył. Przychodzę do was w poselstwie od króla.

Ruszył się Spytek niespokojnie, i podniósł oko zakrwawione.

— Od króla? do mnie? a cóż miłościwy pan może żądać od starego kaleki?

— Żąda abyście mu dali dowód dobrej woli dla niego — mówił Trepka. — Nie ma czém pan miłościwy nagradzać rycerstwa swego, chce abyście za niego dług zapłacili.

Nie rozumiejąc Spytek, usta otworzył szeroko, a czoło mu się namarszczyło.

— Nie drwijcie ze starego kaleki! — zawołał.

— Nie pora na żarty — mówił Trepka. — Oto stoi przed wami ten, któremu królewski dług zapłacić macie, Wszebor Doliwa!

Domyśleć się musiał Spytek, i namarszczył czoło groźnie, nie rychło począł ruszać ustami a widać było że gniewem się burzył.

— No, cóż mu mam dać! Sam nie nie mam! zawołał.

— Macie córkę... prosi o nią król dla Wszebora.

Doliwa pochylił się milezący do ręki starego, który mu ją usunął.

— Nie mam ja nic przeciw Doliwie — począł — choć Spytkówój córce, jedynaczce, należałoby się więcej niż on. I kneź by przystał, a no, wola królewska niech się stanie... Będzie ją miał.

Doliwa dziękował milezący, gdy stary, ciągnął już dalej coraz się rozgrzewając.

— Powiedźcie królowi, że to czynię dla niego, bo chcę aby mi wrócił serce, tylko dla niego to czynię... rozumiecie!

— Zatem król ma słowo wasze? — zapytał Trepka.

Zamiast odpowiedzi, skinął Spyttek na sługę. Niech tu przyjdzie Marta z córką...

Wszebor, który stał szczęśliwy nad miarę, spojrzawszy na starego leżącego z głową podniesioną do góry, i mierzącego go okiem pełnem złości stłumionój, poczuł także w piersi zaród gniewu i dumy obrażonój. Nie czas było się waśnić, ścierpieć musiał.

Sobek pobiegł, Trepka i Doliwa milezeli, Spyttek stękał tylko i wstrząsał się czasami, jakby wewnątrz walczyć musiał z sobą. Czekali tak, gdy chód dwóch niewiast posłyszeli, i we drzwi weszła z promieniejącemi zwycięstwem oczyma Marta, ciągnąc bladą i wylęklą Kasię, ta spo-

strzegłszy Doliwę, zachwiała się i rzuciła, jakby uciekać chciała, lecz matka ją za rękę trzymała silnie.

Ujrzawszy żonę Spytek jeszcze się bardziej zachmurzył.

— Król, pan nasz miłościwy, sam swata córkę naszą—odezwał się.— Królowi odmówić nie mogę.

Wskazał na stojącego Doliwę.

— To przyszły twój mąż!— rzekł patrząc na Kasię — taka jest wola królewska i moja. Gdy przyjdzie pora, sprawimy wesele.

Marta skłoniła głowę, na twarzy Kasi milczącej odmalowało się uczucie w tak młodem dziewczęciu ledwie do wiary podobne. Zamiast łez i smutku, lice jej zapłonęło gniewem, oczy groźbą, usta zacięte jakimś wyzywającym męstwem. Z wolą ojca i pana jawnie naówczas żadnaby się walczyć nie ośmieliła. Kasia też nie mogła się jej przeciwieć. Lecz Wszebor zrozumiał wejście... Spytek ani już spojrział na córkę, a Marta zbliżywszy się z nią do Wszebora, chciała, ażeby, wedle starego obyczaju, zrękowiny podaniem ręki i pocałunkiem się potwierdziły. Kasia stała w swém miejscu jak wkuta, nie dała się pociągnąć, wyrwała rękę i cofnęła krokiem.

Wszebor też nie chciał nastawać, obiecując sobie przemódz później ten srom dziewiczy; ucałował tylko rękę ojca i matki dziękując.

Trepka się ruszył.

— Pójdę więc królowi dobrą zanieść nowinę—
rzekł.

Głową mu skinął Spytek i natychmiast, nie
zważając już ani na przytomność przyszłego zięcia,
ani na córkę i żonę, opadł na posłanie wołając
na służbę:

— Sobek, obetknij mi nogi.

Oczy zasłonił i głowę zakrył...

Cichemi kroki wysunęła się ztąd Marta, za
którą szła Kasia blada, z groźnym zawsze oczów
wyrazem. Gdy się znaleźli w' podwórzu a Doliwa
chciał się śmielój do dziewczęcia przybliżyć, nie
bacząc na matkę, Kasia odskoczyła i biegiem,
nie oglądając się na wyżki poleciała.

— To dziecko! — uśmiechnęła się matka, po-
dając Wszeborowi rękę — młode ptaszcę... co za
dziw! Przyholubisz je potem, gdy twojém będzie.
Czasu mieć będziesz dosyć.

I cicho szeptać z nim zaczęła.

Na wyżkach słyhać było jakby wybuch
placzu, jęków i oburzenia. Drzwi się otwarły
nagle, wybiegła z nich Zdana, mijając Martę,
rzuciła na nią okiem gniewu pełnym i znikła...
Belina stary, Tomko, Hanna zeszli się naradzać
na górę i szepotali długo... Tomko z siostrą ode-
szli potém na stronę i mówili z sobą po cichu,
a gdy Wszebor się wysunął, ściągnięto Mszczuja
do narady. Kupka ta to się schodziła to rozcho-
dziła, długo w noc, a gdy Mszczuj do brata na

nocleg powrócił, nie odezwał się do niego słowa, i jak stał rzucił się spocząć, głowę okrywwszy.

Wszebor, czuł w nim gniew, i nie śmiał mu nawet swojego szczęścia zwiastować.

V.

Przyszła w tym roku wiosna, gdy się jęj chyba jedne spodziewały skowronki, a ludzie w zimę jeszcze wierzyli, przyszła niespodziana, jednéj nocy ciemnéj, lecąc z południa na ciepłych wiatru skrzydłach. Wczoraj jeszcze leżały śniegi białe i lśniły się od mrozu pod zeszkloną skorupą, na rzekach trzaskały lody, obłoki ciężkie jak wory napchane śnieżnicą, ciągnęły sinemi szlaki od północy. Kury zapiały niespokojne, wiatr przypadł gdzieś do ziemi i usnął, była cisza. Wtem zdala zahuczało, zaszumiało coś, nadbiegał wichur z południa, wilgotny, zmęczony, gwałtowny, do rana już tajały śniegi czerniejąc, płynęła woda po lodów skorupie, ziemia odsłaniała się jak oblubienica ze śnieżnych rąbków, skowronek poleciał do góry, zjawił się bocian wychudły podróżą, a nawet niespokojna jaskółka.

Ci co zasnęli w zimie, obudzili się przestraszeni strumykami, które mruczały torując sobie wszędzie drogi, nurtując zawiane śnieżne kupy; ku południowi czerniały płyty ogromne, wieczorem lód tylko kruchy gdzie nigdzie się trzymał. Zieleniejące trawy i zboża wyszły z pod zimowego okrycia. W powietrzu czuć było wiosnę, ziemię woniejącą, nabrzmiące pączki, ciepły dészcz i parujące wody. Ponad brzegami rzek stały jeziora, na rzekach piętrzyły się nazajutrz pokruszone lody i uparte ścisnęły się broniąc potędze ciepła i słońca. Ci co wczoraj w odwilż nie w wiosnę wierzyli, musieli przyjąć zwyciężką... Bocian ją niósł na skrzydłach, skowronek śpiewał w obłokach, wierzba witała aksamitnymi pączkami, wilcze łyko kwiatki różowemi, niebo szatą lazuruwą.

I stała się z dnia na dzień wiosna, nie ta spokojna i wonna, co później przychodzi goić rany, poszarpaną okrywać ziemię, zasiewać kwiaty i świecić słońkiem gorącym a polewać łzami ciepłemi, ale wiosna wojownicza, która ze starą zimą bierze się za bary i walczy, póki jój nie zwojuje.

Wiatr gorący leciał górą w obłokach poszarpanych, grad sypał szklannemi grochy, huczało w niebiosach, szumiało na ziemi, pędziły rozhuwane wody, szamotały się lody rozmiękłe, piaski zalewały pola, strumienie zrywały posiewy, burza łamała drzewa. Straszna to była wiosna co wio-

snę zieloną poprzedza; zwierz się krył, człowiek zamykał, ptastwo zawcześni goście, mdlało od zimna i głodu.

Takiego wieczoru młodej wiosny, wśród burzy co się mieniała z pogodą co chwila, nad Wisłą ostatnie słońca promienie, ozłacały pobożowisko.

Jak spojrzeć ponad wylanemi szeroko wodami ludzi gromady i trupa wały nieruchome zalegały. Na wzgórzu z jednej strony obóz widać było niemal pusty, u stóp jego na łące i polach walka długa zostawiła po sobie straszne piętna śmierci i zniszczenia. W dali na lewo kupy rozpięzchłe uciekały z krzykiem i trwogą, konni rycerze gonili.

Gdzeniegdzie bój zawzięty trwał jeszcze. Za uchodzącym Masławem, któremu hełm spadł z głowy a czerwone włosy wiatr rozwiewał, gonił za jadle Wszebor. Czasem się odwracał zbiegający, koń mu ustawał, towarzysze go opuścili. Zostało ich dwu tylko, pokonany mazur i zwycięstwem zagrany Doliwa... Lewą nogę z ostrogą wpił koniowi w brzuch i naglił go do biegu. Siwy ostatnich sił dobywał, coraz bliżej dosięgając uchodzącego. Mieli się zewrzeć w boju na śmierć lub życie, gdy z zarośli wypadła garść ludzi, co się tam zaczęła i w pomoc przyszła uchodzącemu mazurowi.

Sam jeden znalazł się Wszebor naprzeciw kilkunastu.

Uciekający stanął, ścigający się zawahał, potrzeba było zmienić teraz kierunek, Masław pędził na niego ze swemi, korzystając z przewagi. Wszebor uchodzić musiał, pokraśniała mu twarz, zabłyśły oczy.

— Uciekać przed zwyciężonym, pobitym, przed zdrajcą! uciekać aby ocalić życie!...

Obejrzał się dokoła, ze swoich nie widać było nikogo, pędzili będących w rozsypce, rozpierzchli się za nimi, był sam...

Trzeba więc było albo dać życie, lub ocalić je sromotą!

— Przed Masławem! uciekać...

Nie sam jeden wściekły kleską mazur pędził ku niemu, niespodziany posilek go otaczał, goździli całą kupą.

Wszebor miał złamaną dzidę w rękę, tarcz wisiała u boku pogięta, pancierz był pokłuty, siły całodziennym bojem się wyczerpały.

O kilkanaście kroków z za urwiska wychylił się Belina z kilką ludźmi i patrzył... Serce mu uderzyło zemstą.

Masław miał teraz za niego ukarać Wszebora. Na to dosyć było ażeby Tomko się cofnął i w pomoc mu nie spieszył... Doliwa padłby z rąk mazurów, a narzeczona wolną została...

Błyskiem myśl czarna przebiegła mu po głowie i kolnęło go w serce. Niech ginie ten co ci ją chciał odebrać... Niech ginie!

Wszebor się oglądał stając, ażali mu los nie ześle posiłku. Zobaczył stojącego nieruchomie Tomka i rzekł w duchu:

— Ten mnie raczej dobije niż ocali.

Belina stał a czuł jak mu się krew przelewała w żyłach, burząc i kipiąc, i po głowie chodziło:

— Niech ginie!

Masław już z kupką swych ludzi natrzeć miał na Wszebora. Wtém z oczów Tomka czarna i krwawa spadła zasłona, stało się jasno w jego sercu, lepszym uczuciem pierś się zagrzała, i rzucił się w pomoc ze swemi, wołając: „Za mną!“

Mazury już otoczyli byli Doliwę i kłuli pod nim konia, nie mogąc jeszcze obraniającego się złomkiem dzidy dosięgnąć, gdy gromem i burzą padł na nich Tomko... Masław, który już godził w przeciwnika, sam pchnięty żelazem, cofnął się, gromadka jego pierzchnęła natychmiast. Wszebor był ocalony, ale ranny z konia się zsunął na ziemię.

Działo się to na krańcu pobojuwiska, w miejscu gdzie jeszcze uchodzący prusacy i pomorcy, pochwyć ich mogli lub dobić, spieszenie ztąd ku swoim garnać się było potrzeba.

Belina z konia zsiadł z pomocą dwu zbrojnych, których miał ze sobą, Doliwę podniósłszy, znowu go na koń posadził... Milczał ocucony Wszebor, lecz oczyma wodził po swym zbawcy, jakby nie wierzył że jego widział przy sobie. Belina też nie rzekł doń słowa, wskazał ręką ku obozowi.

W tej chwili nadciągnęli inni, chcąc w pogoń iść za rozbitkami, Mszczuj spostrzegł bladego i okrwawionego brata. Dawno już nie mówili do siebie. Zobaczył przy nim Tomka i strzymał się zdziwiony, oczyma go badając...

Belina mu nie odpowiedział.

— Gdzie król? nie wiecie gdzie król?— zaczęli wołać inni nadciągający. — Gdzie pan nasz?

— Nie wiem! — odezwał się Belina.

Z początku bilem się u jego boku! Rozdzielono nas później. Puścił się w samą gąszcz!

— Gdzie Masław?... Masław zabity—krzyczeli inni. — Widział kto trupa!

— Żywy uszedł z małą garścią, nie było go ścigać komu!—odezwał się słabym głosem Wszebor. — Ostatni jeszcze ja z nim się ścinałem. Hełmu już postradał, krwią broczył.

— Dokąd uszedł?

Wskazali ręką. Puścili się w cwał pogonią zapalczywsi.

— Gdzie król?—zakrzyczał inny zabiegając...

— Co nam po zwycięstwie jeśli go nie stanie...

— Gdzie król? — rozlegało się po całym pobojowisku przez które przejeżdżali...

Nikt nie umiał powiedzieć co się z królem stało.

Słońce zachodziło tak krwawo, jakby w obłokach odbiło się to pobojowisko, po którym też płynęła strumieniami krew i posoka czarna. Czerń

obozowa jak ptastwo żarłoczne już się zaczynała zbiegać i odzierać trupy. Okrzyki zwycięzkie i szyderskie słyszeć się dawały od strony obozu.

Kiedy niekiedy przebiegał jeździec i pytał: „Gdzie król?“ albo krzyczał: „Masław czy zabity?“

Wszebor podtrzymywany przez dwu żołnierzy włókł się ku obozowi. Za nim jechał ze Mszczujem Belina, oba oczy spuściwszy w ziemię. Co im było po zwycięztwie, gdy król może je życiem przypłacił.

Jechali, gdy Trepka stary i graf Hebert i wojewoda ruski Jełowit, nadciągnęli razem.

Konie ich stapały powoli, i oni ze zwieszonymi głowami, w ponurém milczeniu siedzieli na nich, miecze już pochowawszy do pochew, tarcze oddawszy pacholkom. Spoglądali na trupami zasłane pobojowisko, nie śmieli mówić do siebie. Z milczenia ich i oczów czytać było można że króla szukali; — króla nie było.

— Bił się jak lew!—mówił Jełowit.—Samem widział na oczy moje... Jak bohater siekł sam nieprzyjaciół, a gdzie się pokazał pierzchało przed nim wszystko.

— Ranny był! krew mu płynęła z ręki! — rzekł graf Hebert.

— Któż z nim?—zapytał Trepka.—Jak mogli go opuścić? Wierna drużyna kroku od niego nie powinna była odstąpić!

Starzec załamał ręce...

Oglądali się dokoła. Mijali ich ranni i zszarżeni z koni.

— Nie widzieliście króla!

Wszyscy widzieli go w początku bitwy, gdy stojąc na wzgórzu modlił się jeszcze, wprzód nim z pochw dobył miecza, gdy liczył oczyma trzykroć liczniejszego nieprzyjaciela, pomorską dziec, w żelazo dobre zbrojną, prusaków z pałkami do pocisków u pasa, mazurów z tarczami ogromnemi i całą tę ciżbę straszną, wrzaskliwą, dziką, która dokoła objawszy wojska króla, w miazgę je zertrzeć się spodziewała; widziano go, gdy po modlitwie puścił się naprzeciw Masławowym i gonił za samym wodzem, którego łatwo było rozeznąć. Ku końcowi bitwy, gdy zwycięztwo przechyliło się na stronę polaków, rusi i cesarskich posiłków, gdy naostatku nawet twardo i uparcie stojący prusacy uchodzić zaczęli, gdy się wszczęło zamieszanie okropne, a swoich od wrogów w niem trudno było rozeznąć, znikł król wszystkim z oczów.

Nie wiedzieli ani kto z nim był, ani w którą zapędził się stronę. Strwożone swą stratą rycerstwo całe, rozbiegało się po krańcach pobojowiska, inni szli, schylali się, podnosili leżące kupami na sobie trupy i z trwogą szukali choćby ciała...

Łamali ręce ci co młodego pana tu przywieśli, co go niechcący wydali na zgubę.

Wtém z nad Wisły okrzyk się dał słyszeć, okrzyk jakby nowego zwycięztwa. Zdaleka widać

było kupkę ludzi idącą powoli, Trepka i wszyscy rzucili się w tę stronę.

Poznano wprędce wiernego Grzegorza, który szedł przodem dźwigając nosze z gałęzi, na niem w krwawej oponicy leżał ranny czy trup.

Obok noszów, szedł ksiądz, który w obozie towarzyszył panu, a rano mszę o brzasku odprawił. Gdy się zbliżyli, ujrzeli — króla...

Cały był krwią oblany, ale oczy czarne miał otwarte i usta mu się na pół bólem krzywiły, pół szczęściem uśmiechały. Spojrzał na Trepkę i zawołał głosem słabym:

— Bogu niechaj będzie chwala! zwycięstwo!

Domawiając tych wyrazów omdlał król, postawiono na ziemi nosze, cucić go poczęto wodą, poklękli przy nim wszyscy... Teraz dopiero spostrzeżono iż za noszami ścieżka była krwawa, Kaźmierz leżał cały oblany i zbuczony. Nie czas było nieść go do obozu i namiotu, na miejscu trzeba było rany pozawiazywać i krew zatamować. Pobiegli jedni za płatami, za chlebem i hubami drudzy. Grzegorz wszystkich odpędzając sam z wolna odsłaniał pokaleczone ciało, zdejmował zbroję, rozpinął suknie, ocierał czoło i z macierzyńską troskliwością chodził około wychowańca.

Z omdlenia wracając do siebie Kaźmierz powiódł oczyma, uśmiechnął się i szepnął raz jeszcze:

— Przy nas zwycięstwo!

Na samem pobojuwisku opatrzone królewskie any. Były one ciężkie, krwi drogięj upłynęło wiele, dla życia jednak niebezpieczeństwa nie było.

Już noc nadchodziła i księżyc podnosił się nad lasami, gdy Grzegórz stanął do noszów i skierował się z niemi do obozu.

Król, którego orzeźwiono trochą wina, podanego przez grafa Hebert'a, wodził oczyma po bojuwisku i cichym głosem pytał się o swoich.

— Miłościwy panie—rzekł Trepka—jeszcześmy się nie obliczyli, ani wiemy kto z nas żyw, a kto padł; o wodza, o ciebie nam szło, znikłeś nam z oczów, a z tobą wszystko...

— Wodzem przestałem być—rzekł Kaźmirz—poczuwszy się żołnierzem. Nie wiedziałem sam co się działo ze mną. To wiem tylko, że gdym ranny z zabitym padł koniem, twarz Grzegorza ujrzałem nad sobą, i jego miecz, którym siekł dokoła broniąc mnie; on na rękach swych wyniósł osłabłego z pośrodku trupów i nieprzyjaciół, jemu winienem życie...

Grzegórz który stał zasępiony nad panem, nie odwrócił odeń oczu, nie rzekł nic... Trepka zdjął przed nim z głowy czapkę i podał mu rękę.

— Najwyższego dostojenstwa godzien, kto nam drogiego pana ocalił.

Dźwigający już znowu nosze Grzegórz, nie odwrócił się nawet i słów tych może nie słyszał. Zbliżali się ku namiotowi, tu służba biegła na-

przeciw ręce załamując i krzycząc na widok noszów, uląktszy się czy nie zwłoki królewskie przyniesiono.

Radość była niezmierna, gdy o ocaleniu posłyszano.

Zewsząd ściągali się do namiotów, ci co z pogoni powracali, co już za zabitych porzuceni na pobojowisku, wstali ożywszy, i ci co szukali łupu.

Zapalały się ognie, rozlegało hukaniem i śpiewami.

Nie było wątpliwości iż klęska zadana Masławowi, stanowczą dla króla była wygraną. Dopomogły do niej posiłki ruskie, które w porze nadciągnęły, sześć set cesarskich rycerzy i wszystka siła własna, na jaką się ziemie zebrać mogły.

Walczone od poranka do nocy prawie, bo Masław liczbą przemagający, nie dawał się pokonać łatwo. Prusacy i pomorey bili się mężnie, mazury nie ustępowały kroku, kilkakroć ważyło się niepewne zwycięztwo, i w ostatniem starciu dopiero, gdy sam król z najlepiej zbrojnym rycerstwem rzucił się na Masława, główne siły jego tył podały...

Do namiotu króla zbiegały zewsząd wieści tu gromadziła się starszyzna na radę, znoszono łup, chorągwie i stanice, broń na polach poznajdowaną, oszczepy i miecze. Kupami zrucano tu tę zdobycz lichą, nad którą stokroć większą była

porażka tego, co całej wojny i wszystkich klęsk był przyczyną.

Niedaleko od królewskiego stał namiocik, w którym Wszebor z Toporczykiem i Kaniową się mieścili. Tu zniesiono pokaleczonego i osłabłego Doliwę, i położono dla spoczynku. Jedni drugim opatrywali rany, niemal wesoło się krzątając koło nich, taką radością napelniało wszystkich zwycięstwo.

Wszebor tylko, choć się orzeźwił prędko i odszedł, siedział zasepiony wśród wesołej gromadki. Służba roznosiła jadło jakie było i napój którego dostać mogła. Znalazło się nawet wino u grafa Heberta.

— Co cię tam tak boli żeś tak nosa zwiesił? — odezwał się Kaniowa, który był wesoł zawsze, a szczególnie gdy inni byli posepni, na przekór.

I trącił Wszebora w ramię.

— Ran i stłuczeń nieczuję — rzekł Doliwa — co innego mnie męczy.

— Natarła cię zbroja! — rzekł Kaniowa — dam ci tłuszczu to się zagoi.

Wszebor padł na posłanie, ręce podkładając pod głowę.

— Co mi po twoim tłuszczu! — bąknął — inną sprawę mam na sercu.

— A no, toć wiemy! Kaśki ci się prędzój chce i wesela! Czekał że, niedługo i to będzie.

Jużeśmy Masława zbili w miazgę, pokój nadejdzie, wszyscy się pożeniemy! I jam gotów.

— Co ty tam mielesz nie dorzeczy — ofuknął Doliwa.—Wiesz ty kto mnie ratował? wiesz? Masław by się teraz krwią moją cieszył, gdyby nie...

— Belina cię odciał! — dodał Kaniowa — albo co?

— A to mój wróg! mój wróg! — rzekł Wszebor — wolalbym się z nim bić niż życie mu być winnym.

— Ta to nieszczęsna Kasia Spytkówna wszystkiemu winna—począł Kaniowa uśmiechając się—boście oba około niej zabiegali. Prawda, że na miejscu Tomka gdyby drugi był, rzekłby sobie, niech go Masław bije, dziewczka moją będzie!

Wszebor się podniósł z posłania gwałtownie.

— Toż mnie boli!—krzyknął—dopieroś zgadł. Czuję, że gdybym ja na jego miejscu był, on na mojem (uderzył się w piersi) nie poszedłbym go ratować. Więcem ja gorszy od niego...

— A on głupszy! — rozśmiał się Kaniowa.

— Teraz jam mu się pokłonić jeszcze powinien i być mu bratem na życie całe!

— I będzie ci jeździł w odwiedziny — rzekł Kaniowa—a do twojej małżonki zęby wyszczerzał.

Zmilszeli chwilę.

— Gdyby z lichem byli mnie ci mazurowie trochę posiekli, wolalbym jak mu być winnym żem cały został—dodał Wszebor.

Drudzy się śmieli z niego.

Gawędzono całą noc i w obozie do dnia spokoju nie było, czeladź i służba tłukła się po bojuwisku i wracała... Trzeba też było myśleć co dalej. Nazajutrz do dnia Płock zajmować wysyłano...

Zewsząd przychodziły wieści, iż na głowę pobity Masław, musiał z małą garstką do prusaków uchodzić, niebezpieczeństwa więc nowój napaści nie było, lecz korzystać musiano ze zwycięstwa i rozsianój trwogi.

Cały następny dzień liczono pobitych i składano stosami, wiele z nich w Wiśle potonęło, a i tak na tysiące rachowano pobitych. Padło i ze strony króla wojaków mnogo, którym pogrzeb chrześcijański sprawiać musiano.

VI.

Wiosna była czarna jeszcze. Drzewa stały głuche na nią, trawa tylko zbudziła się już i stroiła mokre łąki zielenią. Spłynęły były lody, zlały śnieżne skorupy, deszcz dobił czarnych śniegów resztki i uwolnił z więzów co leżało pod nimi.

Z Południa ptaki leciały, gwarném życiem odzywały się błota i lasy. Niedźwiedź zbudził się w borach i szedł wychudły a rozespany na łowy. Z barci wyleciały pszczoły na pierwsze kwiaty, bociany przechadzały się po łąkach, obejmując panowanie. Górnym szlakiem bujały orły i jastrzębie...

Z puszczy, z głębi wychodziła o kiju stara niewiasta, szła i oglądała się trwożnie... Zgarbione miała plecy, zsiniałe usta, włos siwy roztergany rozścielał się po jej ramionach. Gruba siermiega

zdartą i zwałaną, pod nią czarne płócienne cnusty, nogi bose, nawet sakwy nie miała na plecach. Szła podpierając się kijem bez drogi, bez myśli, jakby ją parła jakaś siła, zawsze w jedną stronę.

Stawała nad leżącą na drodze kłodą i przelażila przez nią nie chcąc ominąć, przychodziła nad strumień i brnęła przez niego nie szukając kładki.

Coś ją wiodło, coś ciągnęło, ciągle tam, gdzieś, gdzie prowadziło serce. Tak przeszła puszcze, tak przebrnęła przez błota. Nocą kładła się na mokrą ziemi i spała snem kamiennym. Wiley przychodzili, patrzali i nie tknąwszy jej kryli się w lesie, patrzyły na nią siedząc niedźwiedzie i wiodły oczyma gdy poszła, z gałęzi nad głową jej żbik kocimi oczyma przyglądał się i nie ruszał. Na łące pasły się żubrów stada, popodnosiły głowy, prychnęły i pierzeły przed nią.

Głodna schylała się ku trawom, i żuła je w ustach; czasem dłonią zaczerpnęła wodę i kropel kilka połknęła. Szła tak już dni wiele, szła czując że coraz, coraz bliżej było.

Las się rozstał, w dolinie dymią chaty, na wyżynie dwór stoi, ludzie się koło niego kręcą. Stara stanęła, na kij się oparła i patrzeć zaczęła, wciągnęła w piersi powietrza... siadła.

Z nóg bosych krew ciekła, popatrzała na nie, nie czuła bólu. Wieczór nadechodził, do wsi było daleko jeszcze, a nie spieszno. Nie prędko się podniosła i poczęła iść znowu.

Szła i stawiała. Coś ją ciągnęło, coś odpychało, i chciała dalej i bała się, wzrokiem błędnym powłokła dokoła. Pusto było. Dwa kruki czarne siedziały na dębie i klóciły się z sobą. To jeden się zrywał to drugi, trzepały skrzydłami, groziły dziobami... Stara popatrzyła na nie... Wciągnęła powietrze, coś jej piersiom ono powiedziało, siadła jak zmożona. Łzy puściły się jej z powiek zeschniętych i biegły marszczkami jak strumyki po roli zoranęj, aż do ust, wpadały do nich i nikły. Piła te łzy swoje. Podparła się na rękę, głowa kołysać się zaczęła jak dziecię gdy je matka usypia. Czy tak myśl swą usypiała? Mrok zapadał, do wsi było daleko, na polu pusto, dwa kruki krakały lecąc przed nią.

Podeszła kroków niewiele, padła na ziemię, twarz przyłożyła do niej. Skarżyła się może staręj macierzy, bo jęk słychać było. Podniosła się z krzykiem i padła znowu. Coś ją ciągnęło, coś odpychało.

Mrok padał...

Z za lasów, z za czarnych pokazał się rąbek księżycy, czerwony, krwawy, straszny, jak wylupione oko z którego się sączy posoka... Coraz więcej, coraz wyżej począł się podnosić. W pół czarna chmurka go przepasała, wyszedł jakby ranny z za borów, obejrzał się, pobladł, pożółknął. Stara spojrzała na niego i głową potrząsała jak znajomemu druhowi... Zdawała się mówić mu:

— Patrz, co ze mną!!

Księżyc włókł się dalej nie odpowiadając, ręką rzuciła ku niemu z pogardą... szła dalej.

Na wzgórzu łysém, przeciw dworu stał dąb ogromny suchy. Trup to był starego drzewa. Korę z niego odarto, boki mu powypalano, wiatr gałęzie pooblamywał, kilka grubych konarów sterowało od pnia pokaleczonego, jak ręce poobeinane. Dwa kruki siedziały na nim i klóciły się z sobą. Na najgrubszej gałęzi coś wisiało. Lekki wiatr poruszał tym ciężarem i kręcił nim jak żywym go czyniąc...

Był to trup człowieka, z czerwonym włosom na obwisłej głowie, który powiew wiatru podnosił. Na czole ze słomy spleciona przybita była korona. Oczy miał otwarte, ale próżne, kruki mu je już wydlubały... I ciało, czy ludzkie czy zwierzęta pokrajały strasznie, czarnymi szmaty wisiały reszty jego na kościach. Dwa wilki bure posiadały pod nim, głowy do góry popodnosiły i czekały rychło im wiatr go zrzuci. Czekały cierpliwie, języki głodne wywiesiwszy z paszczęki. Niekiedy jeden z nich wstał, szczeknął, popędził towarzysza, pokazały sobie zęby i znowu siadły spokojnie, głowy podnosząc do góry... Kruki górami, wiley dołem spierali się o trupa, którym wiatr obracał powoli...

Stara szła i oczy jej padły na wisielca, stanęła, drgnęła, podparła się na kij i rozśmiała.

wielkim, strasznym, dzikim głosem, a w puszczy odpowiedziało jój echo, dziksze jeszcze raz i drugi. Wilki pierzechnęły oba, krucy odlecieli... Posiadali dalej, stara szła, przyglądając się trupowi.

Zbliżyła się pod sam pień drzewa, postawiła kij, siadła, ręce dwie na kolanach oparła, w dłonie ujęła głowę. Śmiała się znowu. Śmiała się, a dwie lzy ciekły marszczkami po policzkach do ust i w ustach tonęły.

Gałąź na której trup wisiał chrzęszczała, jakby się skarżyła, po co jój taki ciężar dźwigać każą. Mokremi oczyma stara patrzyła na trupa z jednej, księżyc z drugiej, wiley z trzeciej strony, a noc obwijała świat płaszczem czarnym...

Zciemniało... Stara głowę kołysała znowu, a z ust do których tyle łez nabiegło, dobył się cichy śpiew, jaki matki nad kołyską nuca, gdy niemowlę usypiają... Śpiewała długo, patrzyła w górę i płakała, aż w piersi tchu zabrakło, w powiekach łez...

Siedziała niema, bez ruchu, ale oczy miała w niego wlepione... W tem w borach zaszumiało zdaleka, wieher król przybywał. Czarne chmurki po niebie go niosły. Uradowała mu się stara i oczy jój zaświeciły.

Zaszumiało w dolinie, trup się poruszył i zwijać zaczął. Kręcił nim wieher tak iż korona spadła, włosy się rozwiały, poły siermięgi rozeszły szeroko, był to taniec śmierci wisielca. I stara pa-

trząc na to, wzięła się za siermięgę a wirować i okręcać poczęła śpiewając, coraz głośniej, coraz żywiej, przerywając sobie śmiechem.

Wiley wyć zaczęli, podniósłszy do góry pascze, wichur się wzmagał coraz silniejszy. Wszystko się zdawało w tym tańcu śmierci przez wiatr przyniesionym okręcać, trup, stara niewiasta, krucy w powietrzu, wiley co drzewo obiegali dokoła i chmury na niebie, z poza których księżyc zbladł to się odstaniał, to chował w nie i poszarpanymi otworami ich przeglądał. Jak muzyka świszczwał wichur w drzew gałęziach i po jarach i po suchych błot trzeinach.

Stara pieśń nucila, obracała się żywiej coraz, szalonym wirem, aż zachrząszczało u góry, stanęła, z gałęzią razem trup wisielca leciał na ziemię i padł u nóg jej. Stara nad nim stanęła, księżyc wyjrzał z za chmury... patrzyła zdala, zbliżyła się powoli. Siadła u pnia i ostrożnie głowę z wydziobanymi oczyma wzięła na kolana.

W tejsze chwili pieśń u kołyski, na myśl jej przyszła i śpiewać ją zaczęła i płakać znowu...

Kruki siadły na dębie i krakały jej nad głową, wiley się przysunęli tuż, tuż, i wachać zaczęli wisielca. Był dla nich dojrzałym ten owoc dębowy.

W ciemnościach czworo oczu zbojeckich skierowało się na starą, która im łup odbierała, pokazali jej zęby białe. Zmierzyli się z nią oczyma. Ona wzięła kij stojący u pnia i grozić im zaczęła.

— Precz mi, sobaki, od kniaziowskiego ciała! a won!—poczęła głosem ochryplym.— Nie wiecie kto to jest! płocki książ! król! Masław! A taki mój syn! mój syn. Precz sobaki przeklęte, a won!

Wiley się cofnęli, stara śmielsza była od nich w obronie tych zwłok drogich... Głowę tuliła na kolanach i mruzczała do siebie.

— Tak mu skończyć było! tak! Wszystkiego kosztował, a chciało się więcej! Jak był jeszcze dzieciną, rwał się tak za wszystkim. Wrogi nie mogli, druchy powiesili. Ha! ha! wiedziałam że tak będzie

Głowę kolysać zaczęła i płakać. Spojrzała księżycowi oko w oko, jakby go o radę pytała.

— Nieprawda? wilkom go zjesz nie damy? matka wychowała, matka pochowała... A matkę kto pochowa?... Wiley zjedzą!—rozśmiała się— na zdrowie!

I głowę złożywszy na ziemi, wstała odgartując siwe włosy... Z kijem w ręku poszła wprost na wilki, pędząc je jak psy podwórzowe.

— Nie możecie poczekać? paskudne sobaki!—mówiła do nich. — Oddam wam kości moje za jego! Jego, nie.

Podniosła kij i wilki odstąpiwszy, opodał posiadały na ziemi. Popatrzała na księżyc z uśmiechem.

— Pomagaj! — zawołała.

Uklękła na ziemi przy trupie, na darninie, kościste ręce zatopiła w piasku, odrzuciła zeschlą

trawę i mech, grzebać poczęła. Zrazu szło powoli, piasek się staczał nazad do dołu, zaczęła coraz gwałtowniej rękami go odrzucać, precz, daleko od siebie. Chwytała garściami całemi, oburącz, kopała, grzebała, odwalala na brzegi.

Niekiedy spojrzala na trupa i szeptała po cichu:

— Nie bój się, już ja ci miękko łóżeczko uścielę, i kamień znajdę pod głowę, płachtą go obwinę; oczy ci suchym piaseczkiem zasypię aby się pogoily. Będiesz spał jak w kołysce, spokojnie.

Zdyszana to spoczywała klęcząc, to znowu rwala się do roboty zapalczywie. Dół rosnał, rozszerzał się, pogłębiał.

Księżyc jednym bokiem w niego zaglądał, drugi cień od pnia zakrywał. Stara się zwracała do księżycyca po radę.

— Kniaziu? bracie? dość czy nie? głębiój jeszcze? prawda? głębiój? wiley też kopać umieją; ale, niedoczekanie! Zamiast kamienia ja się położę, a jak mnie zjedzą, jego się im odechce...

Klękla zdyszana odpocząć znowu, ręce jej opadły pokrwawione. Wśród jamy trafiła na dębu korzenie, wyrывая je palce poszarpała, a gdy palce nie starczyły, pochyliła się rwąc je zębami.

— To było życie! — mówiła grzebiąc dalej — oj! życie... Boso dzieckiem chodził, w złocie potem cały, tysiącom rozkazywał, a nie było grobu wykopać komu! Otóż tobie korona... korona.

Na ziemi leżało owe słomiane godło szyderskie, stara je podrzuciła precz. Dół był już głęboki, spuściła się weń dokoła rozgartując go jeszcze, miękki piasek łatwo kopać było.

Gdy już głową ledwie ponad dół sięgała, wychyliła się do trupa i cicho szeptała.

— Czekaj! jeszcze nie gotowo! matka stara, ręce jej pokostniały!

Księżyc toczył się dalej po niebie i zwolna zniżał już nawet. Stara grzebała sił ostatkiem, potem tok na dnie ubijać zaczęła nogami.

Późno w noc wicher ucichł, księżyc się schował, gdy z dołu stara wylazła zdyszana.

— Kniaziu, panie, łożnica gotowa! Kamień w niej obwinięty płachtą i siermiega moja na dnie... Chodź!

To mówiąc oburącz objęła trupa, a poczuwszy przy tej piersi, która go niegdyś karmiła, przycisnęła do niej, jakby puścić nie mogła i lulala jak dziecko, a sama jak dziecko płakała... Nad dołem stało czworo wilczych oczu i patrzyło...

Księżyc znikł, ciemności przyszły, zerwała się stara ciągnąc trupa do mogiły. Stoczył się z brzegu i twarzą upadł na dno... Skoczyła i ona za nim, aby go na sen ulżyć. Sił ostatkiem obracając twarz do góry. Obwinięła nogi, pocałowała w czoło.

— Śpij! śpij! — rzekła po cichu — tak dobrze, tu nikt nie zdradzi...

Rękami brzeg ujęła, by wyjść z dołu, piasek sypał się na nią; wilec tuż zębami kłapały.

— Poczekajcież! — zawołała — com przyrzekła, dotrzymam; do dnia daleko.

Spojrzała na syna i piasek sypać zaczęła, sypała go z pośpiechem, sypała z wścickłością, z niecierpliwością, zajadle, rękami i nogami... Coraz to spójrzała w dół.

Twarz jeszcze widać było, a twarzy żałowała; zasunęła się i ona...

— Śpij spokojnie!

Piasek jak żywy z pod stóp i dłoni jej się wymykał lecąc do dołu i wypełniał go, zakrywał, aż pozostał tylko ślad poruszonej ziemi i podeptane łożysko...

Stara skończywszy robotę telnęła ciężko, obejrzała się dokoła. Dniało ponad lasami, a z pośrodku rozbitych obłoków, blada gwiazdka jutrenki patrzała ciekawie.

— Bywaj i ty zdrowa! — szepnęła staruszka. — Komu wstawać, a mnie się kłaść trzeba...

Rozśmiała się raz jeszcze, rozciągnęła na świeżym piasku jak długą, jedną rękę jak do snu podłożyła pod głowę, drugą sobie oczy przykryła, telnęła ciężko, i — usnęła.

Wilec siedzieli z daleka, patrzali. Jeden z nich zbliżył się nieco i przysiadł znowu — czekał, podszedł drugi. W głowach siadł pierwszy, drugi w nogach; warczeli na siebie. Stara spała.

Na niebiosach dniało, dniało, rumieniało i jaśniało. Dwóch ludzi szło od dworu w las.

— Patrz, wisielca z dębu zdjęli!

— Nie ma go?

— Wiatr oblamał z gałęzią.

Podeszli bojaźliwie... i stanęli... Jeden z nich krzyknął przerażony:

— Czarownik był! patrzajcie! Chłopaśmy powiesili, a tu baba leży co ją wilec poszarpałi.

Stanęli zdumieni.

— Czarownik był! — powtórzył drugi.

— Dobrze zrobił Kunigas, że go wymęczywszy obwiesił, co naszych wrzez niego padło. Czarownik był!

I poszli do lasu.

Kości starój długo pod dębem bielaly, a wiatr słomianą pomiatał koroną.

VII.

Na kilka dni przed bitwą wielką, która Kazimirzowi dała zwycięstwo i koronę, na Olszowém horodyszczu strapienie wielkie było. Stary Spytek zachorzał.

Wiosna co drugich do żywota woła, jego ciągnęła do grobu; czuł, że zielonych liści nie dożyje. Dusił go powietrze upajające, nocą leżał w gorączce, dnie spędzał senny. — Niepokoił się i odzież rwał na sobie.

Sobka starania go niecierpliwiły, szczebiotania żony nie znosił, płacz córki był mu niemiły. Odpędzał wszystkich od siebie.

Hanna Belinowa, choć doń żal wielki miała, przynosiła mu zioła i léki, stary odtrącał wszystko, nie już nie chciał.

— A do czego mi życie! — mrucał — kaléce?

na koń nie siądę, topora nie podniosę — świata nie widzę. — Co mi życie?

Przyszedł O. Gedeon z pociechą do niego, słuchał potrząsając głową, dał się wypowiadać, dał na śmierć pobłogosławić, i prosił, by mu już snu nie przerywano. Ostatniej nocy Sobek czuwał przy nim, o północy kury piał, ruszył się chory i zawołał go.

— Stary — rzekł ledwie dosłyszonym głosem — skonać nie mogę. Słyszysz, wszystko mi wyjmij z pod głowy, lżejsze będzie skonanie...

Płacząc usłuchał sługa, wyciągnął co było pod głową, Spytek legł jak długi, ręce na piersiach założył, oczy przymknął, i nim się dzień zrobił, zimny był i skostniały.

Nadbiegła Marta z rozpuszczonemi włosami, z załamanemi rękami, zawodząc głośno, szlochając strasznie, płacząc, aż się łkanie po całym dworcu rozlegało. — Nadeszła Kasia zapłakana, przyszły niewiasty ile ich było, posłano po płaczki, aby około ciała zawodziły.

Tegoż dnia zakrzątnięto się około chrześciańskiego pogrzebu, trumnę dębową z jednego kłoca, jaką dla siebie pono gotową miał Belina, oddał dla starego, zabito wieko, wyprowadzono na pagórek zwłoki i pogrzebł je ksiądz Gedeon, a wszyscy na wieczny odprowadzali spoczynek.

Na horodyszczu mało co z nim ubyło, spokojniej wszyscy się czuli, a stary Sobek płakał.

Jejmość co tak bardzo jęczała i szlochała w początku, drugiego dnia siedziała cicho zadumana i wzdychała. — Zaśmiała się raz na trzeci dzień i sama to sobie mając za złe, zapłakała trochę.

Kasia chodziła smutna.

Wszyscy wyglądali wieści od swoich, Belina od syna, Spytkowa od przyszłego zięcia.

W kilka dni jakoś się w jej głowie zmieniło dużo rzeczy, postrzegła że tak i Kasię gwałtem za Wszebora wydawać było okrucieństwem.

— Kiedy się dziewczynie innego zachciało, a ten też ją tak miłuje, a chłop dobry, rodzice poczciwi, co królowi Jegomości do mojej córki? Mógł nieboszczyk ją przyrzekać, bo co ci mężczyźni o naszych sprawach wiedzą! A czemu bym ja nie mogła pójść sama za Wszebora?

Sciskał mnie tak za ręce, aż się gorąco robiło, patrzył takimi oczyma, jakby zjeść mnie chciał.... Kasia mu się przez zazdrość przywidziała! Jakby Kasi nie było, ze mnąby się ożenić musiał. Wojak tęgi i chłop przystojny! Jam ci też nie stara!!

Tak sobie mówiła pani Spytkowa, a jednego wieczora, gdy Belinowa przy niej usiadła, poczęła rozmowę poufną.

— Niech mu tam Bóg da spokój wieczny, nieboszczykowi panu mojemu — mówiła cicho do Hanny — ale za życia z nim ciężko nam było.— O! rękę miał żelazną! Kasi mi téj żal, co ją tak

łatwo dał na królewskie zeswatanie. Dziewka do Wszebora serca nie ma, choć na niego nie powie-dzieć nie można, a ja taki wiem, że jój ktoś inny w oko wpadł...

Hanna Belinowa niedowierzająco spojrzała.

— Na prawdę to mówicie?

— A cobym ja udawać miała! wszak wy mnie znacie, ja i grzechy moje wygadam, a fałszu ni-gdy... Dziewczyny mi żal, to nie dla niej mąż.

Potrząsała głową dziwnie.

— Myślicie, że ja nie widzę nic? ho! ho! — Kasia mi chudnie; po nocach płacze, a czyja temu wina, to ja wiem! oj wiem...

Uśmiechnęła się i na ucho Belinowej szepnęła.

— Tomko mi ją zbałamucił, bodaj zdrów był.

Hanna zmilczała jeszcze.

— Aleście ją przyrzekli Doliwie...

— Ja! jako żywo — odpala Marta — mnie się nie śniło! Wiecie, że z nieboszczykiem nie było rozmowy ani rady; jak przykazał, musiało być. Ja tam głosum nie miała.

— Ale się stało! królowiście dali słowo — szepnęła Hanna.

Spytkowa głową potrząsała.

— E! e! — rzekła — dałoby się to jakoś po-godzić — tylko ja bo wam mówić nie śmiem.

— Ano mowcie — odezwała się spokojna Han-na, wpatrując się jój w oczy — mówcie proszę, wszak wiecie, że we mnie przyjaciółkę macie...

— Tylko żeby o tém nikt nie wiedział!— niepokojnie oglądając się, mówiła Spytkowa.— Toć to wiecie, że gdy mnie z Kasią w puszczy ratowali Doliwowie, tośmy obie myślały, że mąż mój nie żył. Byłam tak jak wdowa. Caluteńką drogę do horodyszeza, Wszebor szedł przy moim koniu, a w oczy mi patrzył. — A jak patrzył, żebyście wiedzieli! — Zsadzając mnie z konia, ile razy za rękę wziął, to aż mnie rumieńce palily, tak ściszał. On się nigdy w Kaście nie kochał, ino we mnie. Chłopak zdrajca chciał się do mnie przybliżyć...

Hanna jakoś głową kiwała trochę niedowierzająco.

— Nawet później moja Hanno — ciągnęła po cichu wdowa — do Kasi nigdy się nie skradał, a mnie to i wywoływał, i jak stanie na dole, bywało, a ja na wyżkach, jak pocznie rozmowę, jak wlepi oczy!! aż mi czasem wstyd było, gdyby młodej dziewczeczce.

No, cóż tu mówić więcej! Teraz, kiedy taki uparty, a rozmiłowany, cóż robić moja Hanno, co robić, żeby się człek nie męczył, toćbym już poszła za niego.

Zdumiała się Belinowa, a Spytkowa do ucha jęj dodała.

— Niechby wasz sobie Kasię brał!

Matce, co kochała syna, rozradowało się stare oblicze, w milczeniu ręką ją objęła za szyję.

— Na prawdę, to mówicie!

— Jak mnie żywą widzicie!

I poczęły cicho szeptać ze sobą.

Wielka się przyjaźń wzięła między Belinów domem, a Spytkową.

Ona tu teraz panowała jako sama chciała,— a dogadzano jej we wszystkiem. — Stary nawet Belina był na rozkazy jejmości.

Od czasu jak wojska wyciągnęły z Olszowej doliny, prawie od nich wieści nie było.— Czasem nadszedł ktoś, nadjechał zblakany goniący za królem ziemianie, i przyniósł plotkę jakąś niedorzeczną. Belina więc się trwożył niż spodziewał. O siłach Masława mówiono szeroko, a choć ruskie posiłki były obiecane, liczyć na nie bardzo nikt nie mógł. Z tak daleka miałyż one wczas nadciągnąć? — Na polskie rycerstwo, Ruś i cesarskich sześciuset, Masław swoich mazurów, pomorców, prusaków liczył tysiące.

Masław był rozzuchwalony, królewscy strwożone rozbitki.

Dla tego Belina na zamku strzedz się musiał i myśleć o jutrze.

Gdyby króla rozbito, znowu by się tu bronić przyszło. A teraz ludzi garść była niewielka, niedobitki, kalecy i chorzy w większej części, Tomko nawet poszedł z drugimi, a czy miał wrócić?— Któż przewidzieć mógł?

Więc choć wiosna szła z zielonym wiankiem i śpiewami, na horodyszczu smutno było!

Co rana stary wychodził na wyżki nad wrota, stawał na pomoście i patrzył w dolinę, a słuchał. Nie jedzie tam co? nie tętni!

Cisza do koła! Las tylko szumi ponuro, — a górą lecą obłoki, niekiedy wysunie się koza z lasu, podniesie głowę, popatrzy oczyma czarnymi, tupnie nóżką suchą, i mknęła — widać tylko białą jej płachtę z tyłu.

Belina smutne miał przeczucia. Krucy ciągnęli ku Wiśle.

Widziały sługi i szeptały o tém sobie. Codzieln większe płynęły tam stada kracząc, a krucy wiedzą, gdzie i po co lecą. Bitwę czują zawezasu, trupa nim padł przewidzą. Siadają czasem na drzewach i widać jak ostrzą dzioby. Wszystkie stada w tamtą stronę. — Dziewki służebne, baby stare, widzą to codzien i o niczém nie mówią przy kądzieli — o tém tylko. Belinowa modli się a popłakuje. Stary z południa raz drugi wchodzi nad wrota i rozgląda się do koła, wieczorem wchodzi raz trzeci. — Czasem O. Gedeon ciągnie za nim, słyszy jak wzdycha, myśli zgaduje i pociesza.

— A nie wybawił was Bóg raz eudem? wierzcie mu i ufajcie! — Z krzyżem poszli, i zwyciężą tym znakiem!

Czas się włóknął żółwym krokiem, dnie wycią-

gały jak nici, co je zręczna ręka z kądzieli wysnuwa — bez końca.

Gdy słońce weszło, stało marudne na niebiosach, ani go się zbyć było — jak nadeszła noc, nim kury zapały, wieki to trwało.

Dziewczęta drzemały u kądziolek, pieśni się im przebrało, tajemnice sobie wyszeptwały wszystkie, chłopców nie było — życia brakło.

Prorokowały różnie, nie się nie iściło. Jedna mówiła, śniłam o ogniu, będą goście lub nowiny. — Przeszedł dzień, ni gości, ni wieści nie było.

Strach ogarniał coraz większy. Jeden O. Ge-deon mówił spokojnie:

— Dzieci moje! uchowaj Boże klęski, najpierwby tu przyszły zbiegi! — Kiedy ich niema, dobrze wszystko...

Na czole starego Beliny, choć on nigdy prawie nie mówił nic, troska stała wypisana marszczkami, które z niego nie schodziły.

— Troskasz się o syna! — mówił ksiądz — zobaczysz, nie mu się nie stanie!

— Ojeze mój! jednego mam — odpowiadał gospodarz — a miły mi on jako życie miłe. Bóg jednak widzi, i tegobym dał na ofiarę, byle królestwo to w niewolę pogan dziką nie padło!!

Jednego tak rana, stary zszedł z wyżek nad wrotami i włókł się do dworca suwając nogami. Na ostrokołach teraz prawie straży nie było, dziew-

ki, co bieliznę prały, właśnie ją na słońce wieszaly, bo wiosenny wiatr i słońce, choć twarz ludzką opala, płótno bieli. Wtém Hela stara spojrziała ku lasowi.

— Aj! — krzyknęła — patrzajcie! patrzajcie! oto tam konny leci ku horodyszczu jak szalony.— Patrzcie, na szyi się uwiesił koniowi i czwałem go pędzi. — A! pewnie z bitwy uszedł — i nasi rozbici!

Krzyknęły dziewczęta wszystkie:

— A! nasi rozbici.

— Nasi rozbici! — rozległo się po horodyszczu i od ostrokołów, porzucawszy płótno, leciały dziewczęta na wyżki, wołając:

— Nasi rozbici!

Na przestraszonych spadł okrzyk niewieści jak piorun. Nikt nie pytał z kąd to wzięły, łamali ręce wszyscy, krzycząc i zawodząc żałośliwie.

— Rozbici! rozbici nasi!

I biegli ku wrotom jedni, nad wrota drudzy, a patrzali.

W dolinie, na koniu pomykał jeździec, a zoczywszy tych, co na wałach stali, ręką im począł dawać znaki, konia popędzał co żywo... Zbladł stary Belina...

Na całym zamczysku cisza, tylko łkanie słychać i płacz tłumiony. Jeździec leci, zbliża się.— Stary Belina syna w nim poznał i Bogu podziękował, że choć on żyw powraca.

— Hanno! Tomek żyw! to on! — zawołał.

Matka ręce złożyła. Tchu im zabrakło w piersi. Ziemia tętni pod nogami konia, już pod wrotami na moście... Wpadł i z konia się zsunął, rodzicom do nóg.

Zdała blada Kasia stała, oczyma do niej poleciał, oddech mu zabiło, za piersi się wziął.

Milczenie zdało się potwierdzać klęskę.

Wtém z ust mu się wyrwało.

— Masław pobity na głowę!

— A król!

— Król ciężko ranny! Pole trupami zasłane! Bitwa była sroga, okrutna, długa, zabójcza, narzecie motłoch ustąpić musiał, uszli.

Wszyscy ukłękli ze złożonymi rękami, Bogu dziękować.

— Hosannah! — podnosząc dłonie do góry, zawołał O. Gedeon.

Jak wielki był przestрах, tak radość potem szalona. Sciskali się wszyscy, płacząc, a ksiądz gwałtem przed oltarz prowadził...

— Bogu naprzód dziękować! — wołał. — On dał zwycięstwo -- On męztwo dał -- On wiódł do boju!

— Tak! — przerwał Tomko — widzieli ludzie wśród najcięższej walki, unoszące się nad wojskiem naszym w obłokach, postacie w bieli, zbrojnego męża z mieczem ognistym, niewiastę promienną, z płaszczem w gwiazdy szytym, która

nas osłaniała.... Z pod stóp jój pioruny leciały na niewiernych.

Kląkł O. Gedeon u ołtarza i pieśń zwyciężką na chwałę Bożą zanucił.

Ledwie się skończyło, otoczyli wszyscy Tomka, siostra mu się uwiesiła na szyi, matka głaskała go po głowie, a zdaleka kradzionym od ludzi wzrokiem Kasia coś mu mówiła, co on chyba jeden rozumiał.

I Spytkowa nigdy dłań tak czułą jak dziś nie była; a pytali wszyscy, obsiedli go do koła i słuchali, a nasłuchać się nie mogli...

Opowiadał od rana do nocy, zawsze było mało, a co się ruszyć chciał, wstrzymywano go — mów jeszcze.

Wieczorem dopięro Zdana go sobie zabrała — wybiegła z nim w podwórze i rękami go objęła.

— A Mszczuj! — spytała cicho.

— Mszczuj! zdrów i bił się dobrze — odparł Tomko. — Nie wiem, gdzie on ją zdobył, i czy wolno, a godzi się, śle ci tu chustę jedwabną. — Jeśli jój nie znalazł na zabitym mazurze, to kupił u Rusina.

Chustka była piękna, ale nie do niej pewnie lice się Zdanie zarumieniło. — Szybko porwała ją i schowała, aby jój ludzkie nie śmiało zobaczyć oko... Łzy stanęły na powiekach.

Tomko westchnął ciężko.

— Słuchaj Zdana! Wiem, że się to nie godzi,

zrękowana innemu, ale ja kochać jój przestać nie mogę... Mam sznur pereł dla Kasi — ty jój oddaj po cichu, niech matka nie zobaczy! Ile pereł, tyle dziesięćkroć lez po niój wyleję!

Słowa mu się urywały.

— Los tak chciał! — kończył po chwili, a urąga mi się on. Gdyby nie ja, Wszebor by dziś piasek gryzł, a jabym może Kasię miał. — Jam go z rąk Masława ocalił!

Spuścił głowę, jakby mu dobrego czynu żał teraz było.

-- Nie rzekł mi i Bóg zapłać! tylko okiem rzucił takiem — jakby zjesć mnie za to chciał jeszcze.

Zdana słuchała jednem uszkiem, oczyma w chu stkę swą patrzała i przyciskała ja do piersi.

— A wiecie, że umarł Spytek? — dodała.

Nie było czasu wśród dnia, ani się dowiedzieć o to, a jejmość o nieboszczyku nie rada wspominała, Tomko z podziwienia krzyknął.

— Co zaś?

— Zmarło mu się biednemu! Spytkowa teraz wdową. — Któż wie! Kto wie! wiele się rzeczy zmienić może... Taka dla nas serdeczna, taka z matką blizka!

Otuchy trochę wstąpiło młodzianowi do serca. Zdana mu rękę ścisnęła i z perlami w dłoni do Kasi pobiegła.

Znowu na horodyszczu pojaśniło, poweselało,

nie obawiano się ni wrot otwierać, ni na łowy ciągnąć. — Czerń siedziała po chatach i ciągnęła z pługami na pola; kup żadnych nie widać już było.

Od króla przyszły wieści, że na Mazury pociągnąłipo drodze kościoły opustoszałe podnosił. Kilka tygodni upłynęło, pączki na drzewach puszczały, zieleniały łoży nad rzeczką, i czeremchy rozwijały liście, gdy jednego rana dwaj Doliwowie u wrót się pokazali.

Tomko właśnie stał w bramie, Mszczuja powitał po bratersku, na Wszebora nie patrząc nawet. Jak się tylko dowiedziała o nim Spytkowa, ubrała się zaraz jak na święto i wyszła ku niemu. Kasi iść nie kazała, ta się też w komorze ze łzami zamknęła.

Wśród drugiego podwórza się z sobą spotkali. Piękna wdowa z zięciem przyszłym. Rzucił oczyma po za nią, czy gdzie córki nie zobaczy, matka mu się tylko uśmiechała...

— Wiesz o mojej niedoli! — krzyknęła zaraz ręce łamiąc — zmarł mi mążysko! Zostałam sierotą! co mam teraz poczynać, kto się ubogą zaopiekuje niewiastą!

Mówiąc, spojrzała mu w oczy, i z wielkiego smutku razem uśmiech na ustach się zjawił.

— Jam w was tylko ufala, o was myślała — mówiła za rękę go biorąc...

Wszebor wciąż Kasi szukał oczami, spytać

o nią nie śmiał jeszcze, wdowa też nie mówiła o córce wcale.

— Żebyście wiedzieli jak umierał — poczęła do nieboszczyka wracając — tak mu skonać ciężko było... I przed śmiercią żeby mi dał dobre słowo. Niech mu Bóg przebaczy, ale ciężkie z nim miałam życie... Stary bo był.

Mszczuj z Tomkiem poszedł szukać Zdany. — Znaleźli ją łatwo, niby przypadkiem poszła była na wały z dziewczętami, co przedzę na murawie stały. — Stała cała różowa, fartuszek trzymając w ustach, z głową niby spuszczoną, a oczkami podniesionemi, także z pod powiek ukradkiem zdala na Mszczuja patrzyła. Maleńki rożek chustki jedwabnej wyglądał jój z za koszulki białej.

A gdy się spotkali, tak im było, że przemówić nie mogli ni słowa i Tomko co stał blisko, słyszał wyraźnie serc bicie, a potem uśmiezek cichy — i Zdana niekła do dziewcząt.

Kasia siedziała w ciemnej komorze, główkę przyparłszy do ściany i płakała rzewnie.

Wszebor tymczasem słuchać musiał, jak mu wdowa o sobie mówiła. — Długo wyczekawszy, o Kasię zapytał.

Spuściła oczy matka, jakby jój to nie w smak było.

— To dziecko jeszcze — rzekła — czegoś teraz słaba. — Ot i nie wiem, gdzie się dzieje!

Stało się tak, że jój Wszebor tego dnia nie

zobaczył i zły był, najwięcej na matkę, a niepokojny.

Doliwówie jechali ztąd na swoje śmieciska, pokój wrócił, każdy się za domem oglądał, choć stał w gruzach, trzeba było na nowo budowlę podnosić, gospodarstwo kleić, ludzi rozbiegłych zbierać i do posłuszeństwa zmuszać. Było im obu pilno, a ruszyć się nie mogli. — Kwaśny siedział Wszebor, i Mszczujowi nie lepiej było. Drugiego dnia czy trzeciego, za Tomka poradą poszedł był do macierzy, do kolan jęj się skłoniwszy, o słowo prosić, że mu Zdaneę dadzą.

Hanna Belinowa nie była wielomówną niewiastą — posłyszawszy to, o czém wiedziała, głową tylko zaczęła potrząsać.

— Zdana taka młoda! gdzie to jęj tam o mężu myśleć. My jęj wprzódy nie damy, aż się Tomko ożeni.

— Miłościwa pani! możeż to być?

— Taka wola pana mego! — rzekła Hanna. — Ożęcie Tomka ino, zobaczemy...

Zrozumiał Mszczuj o co szło i wieczorem wpadł na brata.

— Co ty myślisz o Kasi?

— A jużci! zrękowana mi! ino ksiądz pobłogosławi i do domu ją zabioreę.

— Domu jeszcze nie ma — rzekł Mszczuj — a no z tém mniejsza — dwór się postawi prędko.

Nie wiele na to potrzeba. Gorzój, że Kasia ciebie ani na oczy nie chce puścić.

— A co mi tam! — odparł Wszebor — Niech mi ją tylko dadzą, zgodzimy się.

— Słuchaj Wszebor — gdybyś rozum miał, nie żeniłbyś się z nią — dodał Mszczuj. — Wziąłbyś Spytkową, a po niej majątności połowę i co jeszcze przyjdzie jej z Rusi. Ta ci w oczy strasznie patrzy...

Oburzył się Wszebor strasznie.

— Starą babę mi będzie swatać! — zawołał. Jać to na wylot rozumiem i znam czego się tobie chce. Zdanę byś wziął, więc bratu jej i Belinom dworujesz, a ja za ciebie mam płacić! — A! nie-doczekanie.

— Zapłaciłbyś ino za siebie sam, miły bracie — odezwał się Mszczuj — boć nie kto, tylko Tomko ci życie uratował, — a gdyby nie on, nigdybyś Kasi na oczy nie widział.

— Uczynił co był powinien — zawołał Wszebor. — Daj ty mi pokój.

— Nie chcesz wdowy?

Wszebor nie odpowiadając, na ziemię się położył do snu i gadać więcej nie chciał.

Siedzieli Doliwowie, codzien Spytkowa wywabiała na rozmowę Wszebora, trzymała go na niej póki mogła i już się gniewać poczyniała, że co miał słodszy coraz być, stawał się coraz mniej miłym, a więcej chmurnym.

Jednego dnia nawet, wprost ją zagadnął, kiedy się wesela może spodziewać.

— Ho! ho! a toé po ojeu żaloba — odparła Spytkowa. — Czy to 'wam nie wiadomo. Wdowie, sierocie, to tam jeszcze uchodzi, choćby niedosiedziała do roku, niedziel sześciu, bo sobie sama rady nie da, a córce! to się nie godzi.

Nie było już co mówić. — Widząc go chmurnym, wdowa mu się uśmiechać i ząbki wyszczerzać zaczęła, a chichotała, zabawiała, aż wreszcie go do lepszej myśli przywiodła. Śmieli się oboje.

Knula się tym czasem zdrada okrutna, pod Wszehorem dolki kopano, on o Bożym świecie nie wiedział.

Co najgorsza, sama pono Spytkowa z wielkiej miłości ku córce, która nagle się jej czuć dała, albo do spisku należała, lub przez szpary nań patrzała. — Kto wie czy do poczeiwój tej zdrady i O. Gedeona nie wciągnięto, a Belinowie wszyscy się zmawiali.

Kasię porwać chciano.

O mil trzy od Olszowego horodyszcza, w głąb kraju, Belinowie mieli kawał ziemi, osadę i dworzec. — Cudem go nie spalono, zniszczono tylko co było, zabrano, co się wziąć dało.

Jeden ze starszyzny osadników, który tam czer nią dowodził, napatrzył bodaj dwór dla siebie i po panach sam go wziąć miał nadzieję, dla tego pono go ocalił...

Stał dwór teraz pustkami, bo po zwycięstwie nad Masławem, gdy czerń zemsty się ulękała, wszystko samo w karby wracało.

Tomko z kilkunastu ludźmi zbrojnemi wyjechał na oględziny do Borów, które ojciec mu na gniazdo naznaczył. Znalazł tam cicho i spokojnie, jak w grobie.

Dwór stał wprawdzie otworem, ptastwo się do niego pownosiło, kuny i łasice gospodarowały, ale ściany były całe. Ludzie co tak głośno krzyczeli, odgrażali się, napadali tak zuchwale, teraz po kątach siadłszy, o niczym co się tu stało, — i wiedzieć nie chcieli.

Zaklinali się, że obcy jakiś motłoch, nabiegł do Borów, aby je złupić, a oni się mnogości jego oprzeć nie mogli — w chatach siedzieli spokojnie, nigdy o niczym złym nie myśleli.

Zaklinali się, że nie oni powywracali krzyże, nie oni napadali na grodki i dwory, wszystko to robiły jakieś nieznane włóczęgi.

Czy Tomko wierzył temu czy nie, udał, że gotów był o niczym nie wiedzieć i co było zapomnieć, kazał tylko dwór odnawiać spieszuie, ploty stawić na nowo, ogniska porozwalane odbudować, i ściany lepić i włodarza postawił, aby robotników pilnował.

Tegoż dnia siekiery koło drzewa zaczęły chodzić i żywo zabrano się do odnowy.

Póki Tomko siedział w Borach, tyle tylko, że

się dziwów nasłuchał. Przychodzili doń stękając ludzie, kłaniali aż do nóg, narzekali na nieszczęśliwe czasy, a szeptali jedni na drugich.

— Mutka to prawda że z tym motłochem chodził, grabieży ma pełną komorę, i Turga też nie lepszy... O, ci! a no ja cały czas domam rzepę surową jadł!

Drugi potem na pierwszego składał.

— Wszystkiemu winien Kisiel, a teraz wypadł do ziemi, i niewinnego udaje.

Nie pozywał Tomko nikogo, opatrzył, rozporządził i pojechał nazad do horodyszcza, nikomu się nie przyznając, oprócz ojca, kędy bywał.

Doliwowie siedzieli jeszcze, ciągle niby wyjeżdżać mieli, a odjechać im było nie sporo.

Mszczuj chciał mieć sobie zapewnioną Zdanę, Wszebor Kasię.

Bracia z sobą ni źle, ni dobrze nie byli. Gdy przyszli do izby wieczorem, spojrzal jeden na drugiego, ledwie który słówko jakie bąknął, ziewnęli i spać się kładli.

Jednego rana, nim powstawali jeszcze, tylko co się obudzili, w podwórzu słyszą krzyk srogi, zawołanie okrutne, jakby kto umarł, lub konał. Wszebor się zerwał i ucha nastawił. Poznał że głos był nieczyj inny tylko wdowy, Spytkowój. Co prędzej więc począł brać odzież na siebie i pobiegł w podwórze.

Mszczuj się jeszcze wyciągał i całe się nie spieszył.

Wśród podwórka stała Spytkowa, ubrana już bardzo strojno, jak była zwykła, z rączkami załamanemi, z chustą białą, jakby do ocierania łez naumyślnie przysposobioną i — płakała.

— Ratujcie mnie niebogę! Pomóżcie mi sierocie! Córkę moją, jedynaczkę mi porwano!... Kasia moja kochana! gdzie się ty dziewczasz! o dolo ty moja, niedolo!

Dziwna była rzecz, że choć oczy chustką białą ocierała, jakoś łzy nie ciekły, a choć tak narzekała głośno, nikomu się w jej straszną rozpacz wierzyć nie chciało.

Stał tuż Belina stary, Hanna i Zdana i czeladzi dużo i niewiasty wszystkie, na rękach popodpie-rane, z fartuchami w paleach, patrzali na nią wszysej, nikt się jakoś nie ruszał.

Tomka jednego nie było.

Wszebor wpadł nagle jak burza.

— Co się wam stało? miłościwa pani, co się stało?

— A! co się stało? Nieszczęśliważ ja sierota, jedynaczkę moją, oko moje w głowie jedyne, Kasię mi ukradziono!

— Jak? gdzie? kto? kiedy? ztąd? od waszego boku? — zakrzyknął Doliwa. — Być że to może? o dniu białym?

— Nie ja nie wiem, ni kto ni kiedy! nie wiem! Ot tak, znikła, wpadła jak w wodę! Nie ma mojej pociechy! Kasiuni mojej nie ma! o! ja matka nieszczęśliwa, sierota!

Zaczęła płakać Spytkowa i chustką oczy zakryła.

Wszebor w pierwszym zapale do szopy skoczył po konia, oczy mu się zaiskrzyły okrutnie.

— Zabiję — wołał! — Wiem ja kto to mógł uczynić! wiem. A no, biada mu! Dopędzę, zabiję! nie ujdzie mi z życiem, choćby się pod ziemię skrył, z pod ziemi go dobędę! nie ujdzie mi.

Aż w tém zmiarkowawszy iż sam jeden w pogoń się puścić nie może, nazad do izby się rzucił, po Mszczuja.

Mszczuj, choć drzwi stały otworem, i słyszał prawie wszystko, całe się nie spieszył, ledwie za jeden rękaw oponczę wzięwszy, bosc nogi z pod skóry dobywał.

— Wstawaj żywo! na koń! ze mną! narzezoną mi porwano! w pogoń iść musimy! gwałtownika zabić!

Mszczuj jak siedział na posłaniu, tak się ani ruszał, głowę podniósł do góry, wzrok skierował na brata, i patrzał nań, aż się wykrzyczy.

— A wiesz że ty kto ją porwał? — zapytał niedbale.

— Ty się jeszcze mnie pytasz? Ty! alboż to niewiadomo? Któż to mógł uczynić inny a nie Tomko? — krzyknął Wszebor.

— A no, może to i być — odparł brat spokojnie. Więc kiedy ci ją wzięto i poszła za nim, nie nie krzyknąwszy, po dobrej woli, czyś ty oszalał rozbijać się za nią? A co ci po niej? Ludzie ci w oczy będą świecili, żeś ją wziął po drugim, co tobie niedogryzki swoje zostawił!

— Ubiję gwałtownika! ubiję! — zaryczał Wszebora. Krew zmaże mój srom...

— Ubijesz go za to że on tobie życie ocalił? — zawołał Mszczuj. — He? czy twoje życie i lada dziewczyny nie warto?

Śmiał się Mszczuj obojętnie, z cudzej biedy dobrze mu się śmiać było. W tém do drzwi otwartych przypadła Spytkowa.

— W pogoń chcecie iść za niemi! a! ja naj-nieszczęśliwsza! Jeszcze i was zabiją! nie puszcę! Zapamiętały człek, w obronie dziewczyny gotów siec i mordować. On was zabije! Ja nikogo w świecie nie mam, ino was jednego! Nie puszcę was! niech się co chce sobie dzieje!

Wyrazy te i zimna krew brata, ostudziły Wszebora. Padł na ławę z głową spuszczoną, klnąc tylko po cichu, a zębami zgrzytając i włosy targając na głowie. Pięści mu się ścisnęły, oczy wychodziły z powiek, pot gorący kroplami ściekał po czole, nogami bił o ziemię.

W pogoń nie pogonię, ale z tego domu -precz musimy jednej godziny! Zdrada mnia tu spotkała nie gościna. Znać ich nie chcę! Mszczuj, -wstawaj,

na koń, jedziemy! Spać nie będę pod tym dachem, chleba z niemi nie rozłamię.

— A jedź — odparł Mszczuj — ino mnie daj pokój, ja nie pojedę bo nie mogę, koń mi wczoraj zakulał wszetecznie, i ochoty nie mam. Czego ja się będę spieszył?

Spytkowa słuchała téj rozmowy, nie odstepując nieszczęśliwego, siadła nawet przy nim na ławie, jedném okiem płacząc jeszcze, a łagodnym głosem kojąc jego strapienie.

— Wyrzeknę się niewdzięcznego dziecka! — mówiła — na oczy jój widzieć nie chcę! Ale co się stało to trudno odrobić! Kto wie gdzie oni już dziś są i ślub pewnie im dał ksiądz. Uspokójcie się, pogadajmy z sobą. Wy mnie tu tak nie możecie przecie porzucić, ja nieszczęśliwą zostałam sierotą, a kto mnie wesprze w wdowieństwie swém, jeśli nie wy?

Słyszając tak rozpoczętą rozmowę, Mszczuj opończył na się narzucił i wymknął się do kulawego konia, samych ich z sobą zostawując.

Siedzieli tam na téj ławie, bodaj ze dwie godziny, nikt im nie przeszkadzał. Stało na tém, że się Wszebor koniecznie z horodyszcza wybierał natychmiast, ale tylko za bramę... Dalej miał czekać na Spytkową i razem z nią jechać do Ponieca.

Tak prosiła go pięknie, tak umiała i płakać i oczyma zawracać, i różne postawy przybierać, że się Wszebor dał pociągnąć.

Do Ponieca zdawało się, że jechać mogli bezpiecznie.— Sobek już po dwakroć był tam wysyłany na zwiady.— Zapewniał, że spokojniej być nie mogło nigdy, jak było.— Ludzi się rozbiegło dużo, szkody się stały ogromne, ale i tam, jak w Borach, jak wszędzie, wszystko znowu do staro go ładu wracało.— Wdowa chciała koniecznie obejmować majątność i gospodarzyć, w pomoc i na obronę ciągnąc z sobą Doliwę, aby jej bracia Spytka z ojcowizny swój nie wyrzucili.

Wmawiała w niego, że on tę opiekę przyjął na siebie najuroczyściej, że nieboszczyk mu ją chciał powierzyć, a bodaj nawet przekazał.

W jaki sposób skłonić potrafiła utrapionego Wszebora, żeby jej towarzyszył, to jej było tajemnicą, dosyć, że Doliwa przyrzekł.

Natychmiast z horodyszcza wyruszywszy za wrota, nikogo nie żegnając, namiot sobie kazał rozbić na łące i tam na wdowę do następnego ranka miał czekać.

Cały ten dzień Spytkowa się żegnała z Belinami, usta się jej nie zamykały. Mówiła głośno, to na ucho jednej, to po cichu drugiej, ścisła wszystkie, płakała, śmiała się, wzdychała, modliła, spieszyła — a o Kasi prawie mowy nie było.

Nazajutrz rano w małym poczie, który jej dla bezpieczeństwa dodano, ruszyła Spytkowa w podróż do Ponieca, w towarzystwie swojego

opiekuna, który jechał jak struty, milezący, zły i blady.

W kilka dni potém, Mszczuj, który na miejscu dla kulawego konia pozostał, zaręczył się uroczyście ze Zdana, a na ten dzień Kasia z mężem z Borów przybyła. Że się wesele nie odbyło jak należało, więc obrzęd jego odłożono na ten czas, gdy Mszczuj przybyć miał po Zdane. Trzeba było gniazdo wprzód wysłać miękkie, nim się złote wprowadzi ptasze.

Tak się skończyło wesele dwojgiem zapowiedzianych obłęzenie Olszowego horodyszcza, długo w podaniach miejscowych pamiętne.

Upłynęło potém miesiący kilka, Kaźmirz król szedł zwycięzko, przywracając w kraju porządek i wiarę krzewiąc na nowo, witany wszędzie radośnemi pieśniami.

One żartobliwe swaty Spytkowój, dworującej sobie z ruskich posłów, ziściły się po zwycięztwie z pomocą Rusi otrzymaném.

Z Kijowa obiecano posażną córkę Włodzimierzową Dobrogniewę, która skarb wycieńczony bogatém wianem zasilie miała.

Czesi, z rozkazu papieża, cofali się, zagrożeni przez Henryka, z większej części krajów zawojowanych. — Duchowni wracali, kościoły święcono na nowo...

Łaskawszém okiem Bóg spojrział na srogimi kłeskami wypróbowaną ziemię.

Jesień już nadchodziła i lasy się okoliczne złościły liśćmi pożółklemi, gdy Belinowie na uroczyste syna wesele, na wesele córki razem, spraszać poczęli rodzinę i sąsiadów.

Mszczuj, który osobno mieszkał i gospodarzył, a z bratem się widywał rzadko, i od owego dnia, za przyjaźń Belinom okazaną, niemal od niego za zdrajcę był miany; — jadąc na wesele, poczuł się w obowiązku starszego brata, głowę rodziny, choć zagniewanego, prosić o błogosławieństwo.

Jechał tedy zawczasu do niego, sposobiąc się do tego, iż nie dobrze będzie przyjętym. Lecz co się mogło stać, to gotów był przyjąć, a obowiązek względem starszego spełnić musiał.

U Wszebora, jak to wszystko zwykło było iść gorąco, dużo się zrobiło w małym czasie. — Stało już odbudowane obejście całe, podostatkiem było psów i koni, czeladzi i zbroi.

Sam on właśnie z łowów powracał, gdy brat zajeżdżał w podwórze.

— Z pokłonem do was przybywam, z ręcznikiem i z korowajem — odezwał się Mszczuj. — Na wesele was na horodyszcze prosić nie śmiem, bo wiem, żeście gniewni na Belinów i na mnie, za Kasię — a no błogosławieństwa swojego, jako brat starszy mi nie odmawiajcie.

To mówiąc Mszczuj, jak przed ojcem, ukląkł przed starszym bratem, i głowę przed nim skłonił.

Wszebor go za ramiona pochwycił i uściskał milczący.

— Niech Bóg błogosławi! — rzekł krótko. — Chodź do domu. — Dawnoś o mnie zapomniał, a ja, ty wiesz, nie rad się kłaniam tym, co o mnie zapominają.

— I ja też! — rzekł Mszczuj — bracie, jednej krwi jesteśmy!

Oba się rozśmieli weselój. Weszli do izby. — Kazał Wszebor miodu podać, choć młodego, bo stary wypily gromady — ale mocnego. — Uderzyli w kubki.

Długo jakoś nie szła mowa.

— No — a cobyś ty powiedział — bąknął Wszebor — gdybym i ja się ożenił!

— Bracie miły! szczęścia bym życzył jako sobie samemu.

— No — to i życz! — rozśmiał się starszy. — Wiesz z kim się żenię? A no ze Spytkową! Nie unikniesz swojej doli. — Wiedźma mnie opętała! Krasa i młodość prędko przechodzą! — Prawda wdowa, nie tak młoda, ale jeszcze dobrze się trzyma, a za serce mnie wzięła! Jak kto poczuje że go miłują, przez wdzięczność miłować musi! A baba się we mnie rozmiłowała srodze!

I rzekł Wszebor po chwili namysłu. —

— A cobyś ty rzekł, żeby się trzy weseliska razem odbyły??

— Toć nie można lepiej! — krzyknął Mszczuj

—w pokoju i zgodzie poczęłoby się życie nowe!
Niech Bóg płaci!

Pocałowali się bracia.

— Jedźmyż do mojej baby! jutro! — rzekł
Wszebor. — Jak jej powiem, że tego żądam, u-
czyni co ja chcę. — W ogieńby za mną poszła
i w wodę. — Zatem o brzasku, jutro do Ponieca,
babę na koń i dwór, a wozy duchem wyprawim!
na horodyszcze. . .

Stało się tak jak Wszebor życzył; pociągnęli
na ową pamiętną im dolinę, wśród której dni tak
straszne przeżyli.

Wesela ze wszystkim obrzędem ówczesnym od-
były się w niedzielę. Pogoda im sprzyjała szczę-
śliwie, rycerstwa zjechało dużo, i dworzec starego
Beliny, całe teraz inaczej wyglądał.

W wielkiej izbie na dole, w której u ogniska
siadywała starszyzna w dniach trwogi, zastawione
były stoły dla gości. — Wesolo szumiało i okrzy-
kami rozlegały się podwórza.

Bezpieczeństwo już wszelkie było w kraju,
żadnej napaści się nie obawiano, mogły więc bez-
piecznie wrota wielkie całą noc stać otworem. —
Obyczaj był przecież taki, że po zachodzie słońca
wielka brama się zamykała, a furta tylko była
wolna, u której na straży stał pachołek.

I dnia tego, choć raz wraz jeszcze nadjeżdżali
sposroszeni z daleka, bramę zaparto o mroku. Na
horodyszczu od smolnych ognisk i łuczyw gorzało

tak, że zdala gdyby w płomieniach stało.— Śród dobrej myśli, jedni u stolów miód i wino pili, drudzy młodszy do skoków się brali. Spytkowa też z młodym mężem nosiła się w koło tak, że jej córka nie bardzo sprostać mogła...

Co skoki ustały, to się pieśni rozpoczynały, a jak oboje znużyło, stawali wszyscy gromadą i śmieli się wesoło podżartowując, zwłaszcza dziewczęta i chłopcy.

Wieczór był już zapadł dobry i zabawa coraz się stawała gwarniejszą, — gdy i goście, co za stołem siedzieli i młodzież w drugiej izbie aż zadrzeli z przestachu.

Trzy trąby wielkim głosem, dziwnym, nieznanym ozwały się u bramy... Rogi i trąby sąsiedzkie po głosie łatwo rozróżniano — tych i głos i granic jakieś było nie swoje a straszne.

W izbie wielkiej rzucili się wszyscy do mieczów w popłochu pierwszym, przypomniały się dni straszne, lecieli ku wrotom. — Belina stał już na pomoście nad niemi, ale za ledwie nań wszedł, jeszcze przedź wbiegł wołając, aby bramy na rozcież otwierano.

— Król! król! — rozległo się po gródku całym.

Król to w istocie jechał. Obóz jego niedaleko ztamtąd był rozbity w pochodzie. — Dano Kaźmierzowi wiedzieć, że się aż trzy razem wesela odprawiły na Olszowém horodyszczu — i zjechał

pan, aby się dobrą myślą podzielić, ze starymi sługi i drużyną.

Na odgłos: król! — mężczyźni, niewiasty, dzieci, czeladź, ktokolwiek był na horodyszczu, wybiegł jak stał ku wrotom, i poczęto spiewać a wywoływać:

— A witajże nam! witaj miły panie!

Chyliły się głowy, podnosiły ręce, radość była niezmierna.

Król na siwym koniu jechał, odziany bogato, z łańcuchem na piersi, z pasem złotym, w szłyku sobolim, w płaszczu szkarłatnym...

Za nim wojewodów dwu w kozuchach z kun jedwabiem pokrytych, za nimi drużyna świetna i czeladź a pacholkiwie.

Król miał twarz tak wesołą, jakiej u niego nawet po największem nie widziano zwycięztwie. Patrzył do koła i rękami też witał znajomych... Do strzemięcia przypadł stary Belina, ramię mu podawszy, aby się na niem spał zsiadając — i tak go wiódł do izby oświetloniej pochodniami, a za nim szli i tłoczyli się wszyscy, by miłego pana zobaczyć.

I ciasno się zrobiło w wielkiej izbie jak nabił, bo nikt ustąpić nie chciał. Gdy dla króla siedzenie przysposobiano, zdjął z głowy kołpak, oczyma wodząc do koła.

— Gospodarzu! — rzekł — nie myślcie, żem ja tu do was jako gość przybył, zjechałem jako

sędzia. Macie tu winowajców, którzy stanąć muszą przedemną.

Skinął Kaźmirz na starego Trepkę, który głos przejąwszy, odezwał się:

— Tak jest! miłościwy pan scierpieć tego nie może, aby wola jego i rozkaz nie był poszanowany. Zbliźcie się więc pozwani przed królewski sąd, wy, wdowo po Spytku, Marto, wy, córko Spytkowa, Katarzyno, i ty Tomku Belino!— Miłościwego pana wolą było, ażeby Wszeborowi Doliwie dostała się córka Spytka, daliście na to słowo wasze i nie strzymali!

Chociaż Trepka nie w groźny sposób to mówił, spojrzeli na się wszyscy, i nie wiedzieli co mówić, ani co poczynać.— Tomko za rękę żonę ująwszy, która dnia tego piękną była szczęściem i radością wielką, przystąpił do króla i pokłękł.

— Jeżeli kto winien miłościwy panie, to ja jeden. Ukaranie Twe niech mnie spotka jednego!

Wszebor też się zbliżył i pokłonił.

— Ja u stóp królewskich, za nim proszę, bo mi życie ocalił! A że krzywda mi się nie stała, dowodem, iżem dziś do ołtarza poprowadził tę, z którą tu stoję przed Tobą...

Król się uśmiechał.

— Bodajbyście tylko takiem nieposłuszeństwem grzeszyli — rzekł śmiejąc się wesoło. — Ano się bez kary obejść nie może! — dodał, skinąwszy na jednego z drużyny.

Wystąpił tedy powołany niosąc łańcuchy złote na rękę.

— Abyście winę waszą zawsze w pamięci mieli przytomną — rzekł — noście oto te łańcuchy, a gdy spojrzycie na nie, pomyślcie o mnie!

Poklękali wszyscy przed Kaźmirzem, który z kolei niewiastom i mężom kładł na szyję przywiezione dary... Krzyki radosne rozległy się po zamczysku, i król kubek z rąk gospodarza wzięwszy, pił za zdrowie nowożeńców.

I był ten dzień przed długie wieki pamiętnym pokoleniom następnym, jak owe dni grozy i trwogi, za które zapłacił sowicie.

~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH~~

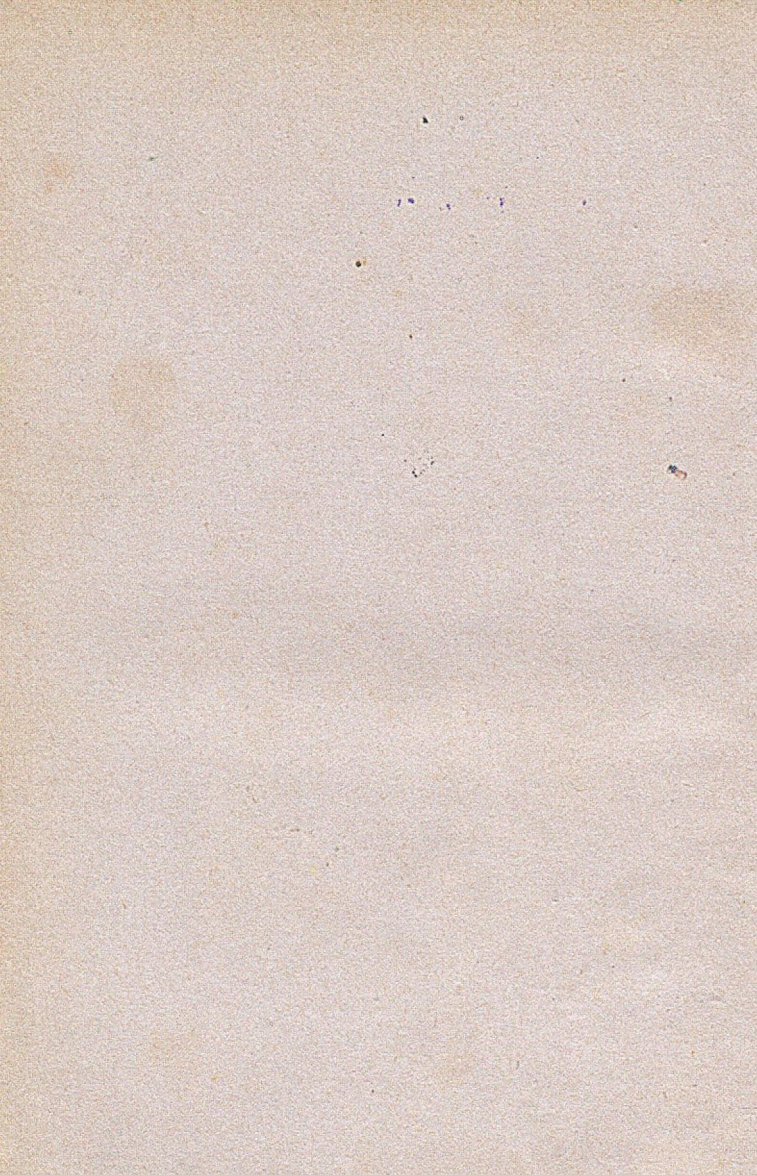
~~Nr. _____~~

K O N I E C .





—



1993 -01- 2 2

06. 07. 1999

2009 -03- 0 3

2012 -09- 1 1

2012 -01- 1 1

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

21419